ZE WSPOMNIEŃ

Tom. II.

Aleksander Smaczniński.

ZE WSPOMNIEŃ

TOM II.

Bolesław Banach

WARSZAWA
Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.
1903.

A-11877/2

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Апрѣля 1903 года.

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie

1000171566

K.368/56/100

PREMIÓWKA.

„Kochany Bracie!

Tak się odosobniłeś od nas wszystkich, którzyśmy ciebie zawsze do swoich zaliczali, i po tylekroć na moje szczere zaproszenia odpowiedziałeś wymówką, albo nie odpowiedziałeś wcale, że mi tym razem wcale niepohapnie, jak mówi lud nasz, odezwać się do ciebie, zwłaszcza, że to z czem odezwać się zamierzam, jest prośbą. Za długo się jednak noszę z tą myślą, iżbym ją bez wypróbowania miał poniechać, a zresztą alboż ja mam bliższego kogo od ciebie? Sprawa jest delikatna, trudna, a w dodatku ja czuję, że żądania mego nawet określić należycie nie potrafię. Posłuchaj w każdym razie— jeśli możesz, posłuchaj uważnie. Gdyby to, z czem przychodzę, miało być niewykonalnem, albo zgoła nie do rzeczy,

powiedz mi wprost, a ja, uczciwością moją ci poręczam, żalu mieć nie będę. Rzecz przedstawia się tak:

„Staś mój skończył w roku bieżącym szkoły. Jak on je skończył, i co z nich wyniósł, tego ci nie powiem, bo nie wiem. Przypuszczam, że wyniósł nie więcej i nie mniej, jak ci wszyscy, którzy tego dzieła razem z nim dokonali. Nie wypieram się, że usiłowałem wielokrotnie czegoś pewniejszego w tej sprawie się dowiedzieć, ale to było daremnem zupełnie. Gdyby żyła nieodżałowanej pamięci Józia moja, możeby mi ona w tej trudności dopomogła, bo i wpływ jej na dziecko nasze był większy niż mój, i jakoś całej między nami spójni póty było, póki jej życia. Teraz my ze Stasiem jesteśmy dobrymi znajomymi, ale żeby mi ten nasz stosunek miał w czemkolwiek przypominać to naprzykład, co było niegdyś między naszym ojcem a mną—nie powiem. Ze wszystkiem dobry chłopiec jest ten mój Staś, tylko żeśmy tak zupełnie odmienni, więc nam do siebie zbliżyć się niepodobna. Ja mu z tego zarzutu, broń Boże, robić nie myślę, a nawet

skłonny byłbym przypuszczać, że w tej różnicy wszystko na jego korzyść przemawia, i wszystko się na ludzki pożytek zczasem obróci, ale żeśmy z dwóch krańców epoki, to fakt. Jak tam jest wreszcie, tak jest, dość, że gdyby kto nas, rodziców dzisiejszych wogóle, chciał porównywać do onej kokoszy, która wysiedziała kaczęta, a teraz stoi zdumiona u brzegu, jak one idą na wodę—gdyby kto chciał się posłużyć tem porównaniem, myślę, że odmalowałby rzecz blado i niedostatecznie.

„Oto i masz, co do naszego stosunku rodzinnego, prawdę całą, a z tego wolno ci sobie wysnuć co zechcesz o mojej nieporadności, gdy chodzi o oddanie jakiejkolwiek usługi własnemu dziecku, oprócz usługi czysto materyalnej natury.

„Do tej jednakże jednej się ograniczając, nie powiem ci, abym się miał w sumieniu mojem ojcowskiem czuć spokojnym, ale co począć człowiekowi, który nie zna drogi do przekonań dziecka— nie zna przekonań samych, który patrzy, a nie może dojrzeć — słucha, a nie może dosłyszeć—stara się pojąć,

a nie pojmuje. Zresztą nikt nie pożąda tu wpływu mojego, nikt mię nie pyta o radę; gdy idzie np. o obiór powołania, o przyszłość całą—ja jestem od tego, żeby przyjmować do wiadomości, więc przyjmuję—nadto nic.

„Z roli mojej nie wyjdę, bo się zdrowy rozsądek oponuje przeciw temu, ale przyznaję i to, że w tym stosunku tkwi tragizm niezwyczajny. Chłopiec skończył szkoły na prowincyi, teraz jedzie tam, gdzie się ogniskują myśli i kierunki, gdzie się wyrabiają zasady, gdzie się buduje przyszłość. Ani ja mu słowa na drogę, ani rady, ani wskazówki nie daję! Czy to właściwie godzi się nazwać ojcowstwem?

„Gdybyś ty jednakże, Bracie, mógł jakimkolwiek sposobem nie spuszczać go z oczu zupełnie? Co mówisz o tem? Słuchaj i staraj się zrozumieć mnie: Ani niańki, ani pedagoga robić nie chcę z ciebie — starzejącego się odludka — czuję wreszcie niemoc własną i nie myślę kogoś dalszego obarczać zadaniem, którego ja bliższy spełnić nie mogłem, a Bóg niechaj mi świadkiem będzie, że nie mogłem.

Nie wymagam nadzoru, rad natrętnych, które zresztą oddaliłyby was tylko od siebie, ale nikt mi się dziwić nie może, że chciałbym przynajmniej wiedzieć—tylko wiedzieć. Nie jedna matka dała życie nam obu, ale jedno nazwisko nosimy, jeden i ten sam człowiek był nam ojcem, ten dobry, szlachetny staruszek. Wszak pamiętasz go chyba jeszcze?

Twój brat
Hilary S.“

Na tę odezwę odebrał wyżej podpisany pan Hilary w tydzień niespełna, tej treści odpowiedź od swego przyrodniego brata:

„Mój Ty stary biedaku!

„Zawsze byłem przeciwny niewczesnym wyrzutom, doradom spóźnionym, a także strzegłem się bardzo zdradzenia z egoistycznem zadowoleniem, jakiego doświadczamy na widok potknięcia się bliźniego tam, gdzie nam potknięcie nie zagraża. Dlatego ani ci powiem, że źle robiłeś, bo zresztą przekonany jestem, że robiłeś, jak okoliczności pozwalały,

najlepiej — ani doradzać nie będę, co masz robić dalej, bo domyślam się, że ci tu niewiele do inicyatywy zostawiono pola, a co się tyczy samolubnych uczuć moich z racyi troski twojej—o tych przemilczę zupełnie.

„Nie myślę ci też nic obiecywać, bo i ty, właściwie mówiąc, niczego określonego odemnie nie żądasz, ale skoro chcesz wiedzieć za mojem pośrednictwem, przeto deklaruję, że tem, co będę wiedział sam, podzielę się z tobą—chętnie czy niechętnie, mniejsza o to. Że zaś ten, kto chce wiedzieć, potrzebuje patrzeć i słuchać, a jedno i drugie łatwiejszem jest na bliższą niż na dalszą odległość, przeto i ja tę małą przysługę—którą odrazu pozwolisz mi nazwać niedźwiedzią—mógłbym ci oddać tylko w takich warunkach, któreby mi dopuszczały słuchać i patrzeć zblizka. Na to są dwa sposoby: albo syn twój będzie się musiał sprowadzić do mnie, albo ja do niego. Ostatnie uważam prawie za nie wykonalne raz dlatego, że on, o ile wiem, nie ma dotąd siedziby stałej w Warszawie, a co najważniejsza, to że on wedle

przewidywań wszelkich będzie cyganem na mocy stosunków i upodobań swoich, a ja za ostatnią i jedyną z cnót, jaka mi pozostała, uważam systematyczność i niewzruszony w jednostajności swojej, tryb życia. Pozostaje tedy alternatywa pierwsza, i tę, myślę, że będziemy musieli przyjąć obadwa, raz dlatego, że jest najprostsza, a wreszcie ze względu, że jest jedyna.

„Niechże więc Staś zainstaluje się u mnie, co mu przyjdzie o tyle łatwiej, że mam w tej chwili mieszkanie jak raz na moje kawalerskie potrzeby o dwa pokoje za obszerne, połączone wprawdzie z moimi, ale w razie potrzeby same w sobie i niezależne.

„To są środki, które mogą mi umożebnić owo patrzenie i słuchanie, a myślę, że obfitość materyału do studyów powinnaby mi hojnie wynagrodzić ten niewielki kłopot. Takie przedśmiertne studya mają to do siebie, że z nich pożytek ludzki jest żaden a dyabłu uciecha ogromna— cóż jednak począć ze starymi nałogami. Ale... bo jest tutaj i „ale,“ a raczej

warunek pewien z mojej strony, jeśli go się tak nazwać godzi. Wbijże go sobie dobrze w pamięć, bo ja od postanowień moich nie odstępuję nigdy: Żadnych wynurzeń—żadnych t. zw. podziękowań—żadnych porachunków! Ani dziś—ani w przyszłości. Wdzięczność jest uczuciem przeciwnem naturze, i dlatego starałem się zawsze o ekstyrpacyą tego nowotworu u siebie i u drugich—mściwość z drugiej strony wymaga pewnej energii, więc choćbym może i rad oddać ci czemś za udręczenia, któremi karmiłeś mię przez miesiąc, zdając mi jakieś porachunki ze sprawowanej nademną opieki, wyrzekam się tej satysfakcyi, i zastrzegam nieodwołalnie raz jeszcze: Porachunków żadnych!

„Skorośmy nareszcie obgadali wszystko, co było do obgadania, powiem ci szczerze, że mocno ciekawy jestem tego chłopca twojego, z którym ty jesteś w tak pożądanem porozumieniu rodzinnem. Mógłbym wnioskować z tego, że niewiele ma on tutaj do nauczenia się. Widzę, że będzie to moich obserwacyi

serya piąta i ostatnia—godna, jak się zdaje, czterech poprzednich.

„Ano zobaczymy!

„ Do widzenia

Twój brat

Joachim S.“

I oto na skutek tej korespondencyi znalazł się w miesiąc potem 19-letni Stanisław S. w Warszawie w domu przyrodniego, o lat kilkanaście młodszego brata swojego ojca.

Powitanie między tymi blizkimi krewnymi, którzy się zaledwie parę razy dotąd spotkali w życiu, było ze strony Stanisława trochę sztywne—możnaby powiedzieć nawet, przechodzące w chłód obmyślany zgóry; stryj natomiast prostotą obejścia i chęcią postawienia się odrazu na stopie poufałej zażyłości mógł był w istocie zbliżyć do siebie każdego, ktoby przybywał bez niechęci i uprzedzeń. Stanisław jednakże, przyznać należy, przywoził ze sobą i pierwszą i drugie. Pielęgnując ze szczególnem upodobaniem, przez cały ciąg wakacyj poprzedzających wejście do uniwersytetu, miłą nadzieję wydostania się raz przecie na szersze wody

i swobodę nieograniczoną zarazem, natknął się w sam prawie dzień wyjazdu na propozycyę ojcowską zamieszkania u jego brata, której że nie odrzucił stanowczo, to chyba przez wzgląd na niepogarszanie stosunku—i bez tego, wystudzonego już prawie aż do naprężenia. Nawiasem mówiąc, sumienie szeptało Stanisławowi, że to nie ojciec bynajmniej obniżył temperaturę—nie jego wola, ani uprzedzenia jakiekolwiek. Po prostu dom stawał się młodemu chłopcu obcym coraz bardziej; między sobą a tem, co tu znajdował, nie czuł łączności żadnej, więc to, co się stało i co nie było zdaniem jego do odrobienia, stało się siłą konieczności.

Nie można mu się tedy dziwić, że podejrzliwie rekognoskował i klatkę nową, i domniemanego nadzorcę kroków swoich, że nie brał prostej serdeczności jako takiej, a uważał ją za rodzaj podejścia i wdarcia sią przemocą w jego zaufanie. Nie przejednały go też wcale słowa gospodarza domu, gdy go ten wieczorem odprowadzał do milutkich, od podwórza położonych pokoików, zupełnie przygotowanych na jego przyjęcie.

— Oto masz, chłopcze — mówił pan Joachim — drzwi, które wadliwą budową swoją powinny cię objaśnić o naturze naszego wzajemnego stosunku. Patrzaj tedy sam: Ta ich połowa szersza, otwierająca się na rozcież do mieszkania mojego, objaśnia, że ile razy podoba ci się ten próg przekroczyć, tylekroć po tamtej jego stronie będziesz miłym i pożądanym. Drugą własnością tych drzwi cudacznych jest, że ciaśniejsza część otwiera się w stronę twoją, a ztąd wniosek prosty i jedyny, że ja mogę być twoim gościem o tyle tylko, o ile tobie może to być po myśli. Nie uśmiechaj się—mówię szczerze—teraz równie jak zawsze. Ludzie starzy radzi są wprawdzie ogrzewać się niekiedy przy ogniu serc młodych, ale im doświadczenie szepce przy każdej podobnej pokusie, że nic tutaj niestety nie wnoszą ze sobą. Ztąd ich ostrożność i dyskrecya, dyktowana przez zdrowy rozsądek i poczucie sprawiedliwości. Zresztą pojmuję wszelki stosunek ludzki tylko na podstawie niczem niekrępowanej swobody. Swoboda i niezależność to bożyszcza, którym

składałem ofiary przez życie całe: w młodości nawet gorączkę moich uczuć po części, a w wieku dojrzałym nadzieję lepszej przyszłości. Możesz tedy ufać, że uszanuję u drugich to, co dla mnie samego jest największem, a jak dzisiaj to i jedynem już dobrem.

Bez pewnych ścieśnień jednakże nie będziesz, i oto właśnie o najważniejszem z nich chcę z tobą pomówić. Wśród powszedniości mojego życia mam i ja w dniu jedną godzinę—nie powiem uroczystą, ale poważną. Tej nikomu profanować nieakuratnością nie pozwalam. Nie wypływa z tego, abyś zajęcia twoje koniecznie niewolniczo do niej miał stosować, ale raz się z temi zajęciami uporządkowawszy, i raz naznaczywszy tę godzinę jako obowiązującą, będziemy się do niej musieli stosować obydwa z całą skrupulatnością pedantyczną. Domyślasz się zapewne, że mam na myśli godzinę obiadową. Oszczędzę ci dalszych wywodów, bo mógłbyś je wziąść za cynizm z mojej strony, a to jest żywioł, w którym ja, wbrew pewnym pozorom, stanowczo nie przebywam. Zresztą rozpatruj

się w domu i poza domem; czasu masz dosyć, a życie warto jest trudu, boć ono tylko prawdziwym mistrzem naszym. Wszak kończyłeś gimnazyum, i nie obcą ci być musi sentencya: „Non scholae, sed vitae discimus," powiedziana nie pamiętam już przez kogo....

— Senekę—dorzucił doktoralnie aspirant do godności studenta, nie dostrzegający lekkiego pod wąsem uśmiechu stryja, który wyraźnie nie pomijał żadnej sposobności do rekognoskowania dyskretnego swojej nowej znajomości.

I zaczęły teraz iść jeden po drugim te dni, poprzedzające wstąpienie Stanisława do uniwersytetu—dni bliźniaczo podobne do siebie, a tak przepełnione dla wstępujących w życie treścią i urozmaiceniem. Młody człowiek biegał po mieście, załatwiał formalności wstępne, zaznajamiał się z przyszłymi kolegami, w liczbie których znalazło się kilku ze szkolnej ławki towarzyszów. A że każda rzecz była dla niego nowością, że nadto czuł się w istocie swobodnym i niekontrolowanym, więc rozkrochmalał się coraz bardziej nawet w stosunku swoim do stryja. I ta godzina

obiadowa, na którą gospodarz domu położył taki nacisk szczególny, nie okazała się w tym stopniu pozbawioną powabu, jak przewidywał zrazu; doszło owszem do tego, że po tygodniu już wyczekiwał jej młody człowiek, przyznając w duchu, że bądź co bądź, umiał niegdyś patrzeć na świat ten dziwaczny człowiek, że miał bogaty zasób materyału do pogawędek, a sposób sam opowiadania szczególnie zajmujący.

Wykluczonem bo też było z tych rozmów pomiędzy nimi wszystko, co dotyczyło osoby opowiadającego, a głównie to, coby w jakikolwiek sposób wyglądało na porównywanie epoki minionej z obecną—porównanie, któremu nigdy nie są radzi młodzi. A Stanisław nawet, który przewidywał szereg cały snutych w tym duchu morałów, starć i nudziarstw, i który sobie z góry na ten cel przygotowywał arsenał argumentów tryumfalnych, był tą powściągliwością stryja naturalną lub sztuczną w upokarzający sposób rozbrojony. Rozpędzać się do skoku, mającego wyważyć drzwi, a znaleźć te drzwi na rozcież otwarte, nie bywa nigdy

przyjemnem, zwłaszcza kiedy się wstępuje w progi uniwersyteckie, a z ławy szkolnej wyniosło już katechizmową pogardę dla tego co było, i potężny zarodek reformatorskiego powołania.

— Czy myślisz — pytał przy jednym z takich obiadów p. Joachim bratanka — traktować wiedzę przyrodniczą, jako specyalność naukową, czy też uważasz ją tylko za pomocniczą w twoim przyszłym zawodzie?

— W jakim zawodzie?...

— No, sądziłem, że rolniczym, boć rolnikiem zostaniesz prawdopodobnie?

— Nie... oh nie!... gdzieżby zaś!...

— Pytałem—nic więcej. Ale dlaczego protestujesz tak gorąco, a nadewszystko, dlaczego wydało ci się tak dziwnem z mojej strony przypuszczenie samo?

— Jeśli to można protestacyą nazwać, protestowałem w rzeczy samej dlatego, że myśl taka nigdy mi jeszcze nie postała w głowie, odkąd zacząłem zastanawiać się nad wyborem powołania, a jeśli idzie o ten mój uśmiech, to wywołało go zapewne to,

że stryj nazwał to butwienie próżniacze zawodem, podczas gdy...

— No dokończ; ze mną nie potrzebujesz się formalizować, bo ja wszelkim przekonaniom, byle tylko były szczere, przyznaję racyę bytu, a zresztą nie rolnika przecie masz przed sobą, jak o tem wiesz dobrze, więc śmiało! Co w duszy, to na języku, jak mówią ludzie.

— No jużciż przecież zawodem czy profesyą nie godzi się nazywać tego bytu dziwacznego, polegającego właściwie na bronieniu się z większem lub mniejszem powodzeniem pierwiastkowi tak przedsiębiorczemu i energicznemu, jakim jest u nas element żydowski.

— Czemże tedy będzie według ciebie posiadanie większej własności ziemskiej?

— Alboż ja wiem jak to nazwać? Mnie się zdaje, że tę pasożytną egzystencyę możnaby z czystem sumieniem nazwać synekurą społeczną, połączoną z uprawianiem na wielką skalę wyzysku—wreszcie, jak kto chce, byle nie powołaniem, zawodem, fachem, bo to do żadnego

z tych określeń przystosować się nie daje.

— No, a czy ze stanowiska czysto ekonomicznego biorąc, nie nazwałbyś też tak naprzykład ojca twego producentem chociażby?

— A to z jakiej racyi? Producentem jest ten, kto tę ziemię uprawia, zasiewa, ten który zbiera...

— A czy tego wszystkiego nie robi twój ojciec?

— Nie widziałem nigdy.

— Seryo mówisz?

— Najzupełniej seryo.

— Więc to tam u was nie wesoło być musi. Patrzajże!—nie wyobrażałem sobie, żeby tak daleko zajść miały rzeczy. Skarżył się przedemną niejednokrotnie twój ojciec ustnie i listownie—biadają tam oni wszyscy, ale my w miastach oswoiliśmy się z temi skargami i nazywamy je wogóle narzekalstwem nałogowem. No, ale skoro tak jest, jak mówisz...

— Stryj nie łaskaw jest zrozumieć tego, co ja powiedziałem. Ja nie utrzymywałem bynajmniej, żeby majątek ojca

był w ruinie—zaczął teraz pośpiesznie i z pewnem rozdrażnieniem Stanisław.

— Wszakżeż opowiadałeś, że się tam ani sieje, ani zbiera.

— Owszem i sieją i zbierają, ale kto zbiera?

— Ano widzisz, to tak mów—jasno i zrozumiale. Teraz już wiem o co ci chodzi. Tak—zakończył pan Joachim—tak, jeśli z tego stanowiska rzeczy bierzesz. No tak—naturalnie!

Zapanowała dłuższa przerwa w rozmowie, podczas której stryj udawał niezmiernie zajętego przyniesionym na stół półmiskiem, a raczej jego zawartością, a bratanek ze sztucznym na młodziutkiej i sympatycznej twarzy swojej rumieńcem, nietylko zupełnie o obiedzie zapomniał, ale kręcąc gałki z chleba nerwowo, oczekiwał na dalszy szturm do pracowicie wzniesionej fortecy, którą uważał za schronisko własnych przekonań. Ten szturm jednakże nie nadchodził. Pan Joachim wiedział już to, czego na początek dowiedzieć się pragnął, i nietylko dalszego ciągu ciekawym nie był, ale owszem jak najstaranniej ze swojej strony szczegó-

łowych wyjaśnień unikać postanowił. Zrozumiał tylko grunt, na którym ścierać się musiał Stanisław z ojcem, i snuł sobie spokojnie wątek domysłów, w których niecierpliwości ojcowskiej dorównywała prawdopodobnie zaczepna napastliwość ze strony syna. Zródła zepsucia się stosunku rodzinnego stawały się dlań teraz aż nadto jawne i widoczne, ale dlatego właśnie ani mu w głowie było prowadzić tutaj ciąg dalszy tych niefortunnych dyskussyj, z których oprócz coraz wyższego stopnia rozgoryczenia, nic stronom spór wiodącym w zysku pozostać nie mogło. Wiedział z doświadczenia, że sprzymierzeńca nie miał ojciec—oprócz jednego chyba czasu—żadnego, czasowi też postanowił pozostawić wszystko, nie odrzucając wszakże w zasadzie myśli skorzystania z każdej okazyi, która mu się odpowiednią wyda w przyszłości. Do tego jednakże potrzeba mu było wiedzieć jeszcze więcej nieco, niż to, z czem mu się jego bratanek dzisiaj wywnętrzył.

Obiad kończył się; kwestyi nie podnosiła żadna ze stron, chociaż Stanisław, można powiedzieć, radby był, żeby to tak

nie było utknęło w początku samym, bo już nabrał był on i tego ducha prozelityzmu społecznego, i tej maniery wojowniczej, stosowanej względem każdego człowieka dojrzalszego wiekiem, w którym mu instynkt nakazywał przeczuwać nieprzyjaciela.

Bolała go tym razem powściągliwość stryja, tak, jak go bolała w domu niecierpliwość jawnie przez ojca okazywana; było coś niewyjaśnionego między nimi— coś niedopowiedzianego, więc pomimo tego, że stosunek dotychczasowy w niczem nie wydawał się naruszonym, młody katechumen czuł, że mu odtąd wypadnie stać z bronią u nogi Cień jakiś ukazał się młodemu chłopcu poraz pierwszy na tem ich wspólnem pożyciu, a chociaż ten cień rzucił on sam, niemniej nawet ta wyrozumiałość i to milczące godzenie się pozorne wydało mu się podejrzanem. Parę dni potrzeba było, aby wrażenie niezadowolenia wyniesionego z tej rozmowy próbnej rozwiało się zupełnie.

Pierwszym kolegą uniwersyteckim; którego pan Joachim mimochodem zauważył u bratanka, był tego ostatniego

dzisiaj towarzysz a niegdyś w szkołach jeszcze korepetytor, który z tej racyi przepędziwszy w domu Stanisława jedne wakacye, przepędził i kilka następnych, a potem stał się już jego nieodstępnym, nierozdzielnym, niezbędnym towarzyszem. Z pierwszych słów o nim Stanisława domyślił się pan Joachim w starszym koledze dzisiejszym mentora—w młodszym entuzyastycznego wielbiciela, co zresztą objaśniał i nastrój i kierunek myśli młodego chłopca, który bez dłuższego jakiegoś wpływu z zewnątrz nie mógł w swoim wieku mieć tylu na różne życiowe zagadnienia gotowych odpowiedzi. Stryj począł pytać ostrożnie, zręcznie, a Stanisław, który tego rodzaju zainteresowanie się osobą jego mistrza uznawał za zupełnie zrozumiałe, z mniejszą niż zwykle powściągliwością wdał się w szczegóły ich kilkoletnich relacyj, i nakreślenie jaskrawemi barwy krótkiej, ale wiele zapowiadającej karyery przyjaciela. Dzięki tej otwartości dowiedział się pan Joachim najpierw, że przyszły wielki człowiek zwie się Fichten, że posiada zdolności zadziwiające, ale za to ubogim jest

zupełnie. To też zmuszonym był trzy lata po ukończeniu szkół poświęcić guwernerce, aby zdobyć środki na wstąpienie do uniwersytetu. Stanisław naturalnie uważał tę okoliczność za jedno z najcięższych przestępstw, jakich się ślepy los w głupim swoim szafunku dóbr ziemskich, a społeczność cała razem z nim dopuściła, bo też ironią prawdziwą było zaprzęgnięcie tej indywidualności do tak mizernej roboty, jaką jest niewątpliwie rozświecanie w mózgownicach dzieciaków szlacheckiej kasty, którą Fichten na mocy doświadczenia uważa za zdegenerowaną stanowczo i nieodwołalnie.

Pięć miejsc miał pedagog przez te trzy lata i zewsząd to samo wyniósł wrażenie; wszędzie wywzajemniano mu się nadto najczarniejszą niewdzięcznością.

— Smutne!... — pomruknął pan Joachim.

— Nadzwyczaj smutne! — potwierdził zapędzony Stanisław, który bynajmniej nie myślał zastanawiać się nad tem, czy im obydwu jeden i ten sam motyw wywywołał na usta ów wykrzyknik.

— Dla mnie jest to także sprawa nad wyraz bolesna, a nawet upokarzająca — opowiadał dalej, wszedłszy raz na drogę wywnętrzeń, bo i w naszym domu nie zrobiono nic takiego, coby w nim powziętem przekonaniem zachwiać mogło. Nie powiem, żeby go tam u nas spotkało kiedykolwiek ubliżenie jakieś, ale nie takim porachunkiem kończyć się winny stosunki z człowiekiem tak wyjątkowym pod każdym względem. A nie wie on rzeczy dla siebie najprzykrzejszej—nie wie i nie dowie się nigdy, przynajmniej odemnie, że dzięki uprzedzeniu, jakie ma ojciec do niego, powstała u nas ta sztywność, ten przymus wzajemny, z którego już nie wyjdziemy chyba z ojcem nigdy względem siebie.

— Kto tam przewidzi przyszłość— wtrącił sentencyonalnie pan Joachim.

Stanisław nie zważając na tę przerwę, mówił dnia tego jeszcze długo i wymownie, jak to zwykle miewało miejsce, gdy dosiadał ulubionego konika, opowiadał o wielkiej pana Fichtena popularności— o wziętości, jakiej się dobił po kilku tygodniach w kołach studenckich, bo już

i tu poznano się na nim, oceniono go jak należy, jak zasługuje.

Teraz nie przerywał już stryj ani jednem słowem, a kiedy nareszcie sam apologista znużony wstawał od stołu, rzucił mu na zakończenie to niby pytanie, niby uwagę nieznaczącą:

— Czy to jest całe jego nazwisko, to, które przy mojem poznajomieniu się z nim wymieniłeś?

— Jakie nazwisko?—pytał z wyraźną niechęcią i zarazem z rumieńcem na twarzy Stanisław.

— No jużciż jego nazwisko—nie nasze, bo o to bym nie zapytywał.

— Ach tak! — mówił teraz z żalem i goryczą obrońca—o nazwisko chodzi najbardziej—ja to wiem dobrze. My nie pytamy, co nam przynosi człowiek, ale zkąd przyszedł i jaka go sfera społeczna wydała. Jak on niema być tak usposobionym, jak jest?...

— Przykro mi, jeślim mimowoli potrącił jakąś drażliwość jego, a przeto i twoją; gdybyś mię znał lepiej — tłómaczył się pan Joachim — nie upatrywałbyś w tem złośliwej intencyi z mojej strony.

W każdym razie winszuję ci z serca twoich uczuć, i przyznaję chętnie, że umiesz być przyjacielem, ale zarazem pozwól sobie złożyć życzenie, aby ci los oszczędzał zawodów na ludziach, bo bardzo są dotkliwe takie przejścia, zwłaszcza dla podobnych tobie. Daj ci Boże, abyś tak był bronionym, jak sam bronić umiesz tego, co uważasz za sprawiedliwe.

Ton pojednawczy złagodził drażliwość chwilową, i odtąd też w domu pana Joachima nazwisko tego pana Fichtena nigdy nie było podanem w wątpliwość.

W krótkim czasie zaokrągliło się to gronko młodzieży; przybyły doń trzy indywidua, które obserwatorską manię pana Joachima zadowolnić mogły w zupełności, bo każde z nich przynosiło ze sobą odrębność całkowicie charakterystyczną, każde przychodząc z innej sfery towarzyskiej, służyć mogło za jej typ wielce znamienny a pouczający dla tego, kto potrafił patrzeć i wnioskować.

Pan Joachim umiał jedno i drugie, i dlatego niezwyczajnie zainteresował go młody człowiek, którego mu bratanek w parę dni po przytoczonej powyżej

rozmowie przedstawił. Był nim niejaki Jakób Bieluń, zapisany w pierwszym roku na fakultet medyczny student, który dzięki sposobowi, jakim się dostał na uniwersytet, znanym był młodzieży wszystkich wydziałów, i całemu nawet profesorskiemu składowi. Bieluń, jak to wreszcie z nazwiska odrazu domyśli się każdy, pochodził z rodziny chłopskiej i miał ojcem żyjącego dotąd na dwudziestu morgach gospodarza, w jednym z północnych powiatów kraju. Przy zdolnościach, jakie się w nim obudziły już w siódmym roku życia, załatwił się ze szkołą elementarną, potem dzięki protekcyi i pomocom pieniężnym ludzi dobrej woli dostał się do seminaryum nauczycielskiego, a tam już zepchnąć się nie pozwolił z drogi, mimo poważnych przeszkód, jakie przed sobą spotykał.

Dziwną bo w istocie miał ten dzieciak siłę woli; szedł jak lunatyk ku przeznaczeniu swemu omackiem, utykał, potrącał się, zatrzymywano go; on wyrywał się nie oglądając po za siebie, nieświadomy prawie tego, co go otaczało— bez zapału, bez entuzyazmu młodości,

bez żadnej chyba wiary w przyszłość, szedł automatycznie, jak idą ci, którym sądzono przekonać, zdobyć, albo popsuć coś na świecie. Co widział u kresu karyery? zapytać ktoś może.

Prawdopodobnie nic nie widział, albo dostrzegał o wiele więcej i dalej, niż prosty, zdrowy rozsądek, którym się odznaczał, przewidywać pozwalał. Za pierwszem przypuszczeniem przemawiało to, że w stosunku do jego życiowego rozmachu, zdobycie po niezmiernych wysiłkach stanowiska nauczyciela wiejskiego było raczej zawodem gorzkim, aniżeli kompensatą do podjętej pracy odpowiednią—drugą hipotezę popierał pewnik, że tylko fanatycy myśli jakiejś kusić się mogą o jawne i oczywiste niepodobieństwa, a niepodobieństwem wydawało się każdemu, aby ten osiągnięty nakoniec w 21 lat wieku sukces wyjątkowy tylko za szczebel do dalszej karyery uważać.

Bądź co bądź, stało się tak, że w dwa lata po objęciu posady zażądał w dyrekcyi naukowej uwolnienia, i wyjechał z kilkunastu rublami oszczędności zdawać

Biblioteka U.M.C.S. w Lublinie

egzamin z 8 klasowego kursu gimnazyalnego, jako kandydat z edukacyi prywatnej. Jak on do tego doszedł, jakim sposobem i z czyją pomocą przygotował się ten zawzięty samouk—niewiadomo, to tylko niepodlegało wątpliwości, że pomimo obostrzonych rygorów, egzamin ten zadziwił najupartszych niedowiarków i stanowił w ciągu lat trzydziestu wydarzenie zupełnie wyjątkowe, o którem w swoim czasie wiele w różnych kołach było mowy.

Że taki człowiek zawsze, a w naszej epoce przedewszystkiem, wchodził w życie uniwersyteckie młodzieży szerokiemi podwojami, zaledwie warto nadmieniać.

Jakób Bieluń oglądany był, zaznajamiano się z nim, podawano go sobie, a kółko młodzieży, które go dla siebie pozyskało, a raczej kółko, w którem się on automatycznie zatrzymał, zwracało na siebie uwagę, jako wybitne.

Dodajmy do tego powierzchowność niesłychanie sympatyczną, spojrzenie jasne, pogodne, obejście, w którem prostota wybornie zastępowała znajomość form towarzyskich, a zrozumiemy wziętość jego

natychmiastową, z której on ani myślał jednakże korzystać, gwoli zyskania sobie przewagi czy przewodnictwa. Zdawało się, że nie dba o nie, że mu niepotrzebną jest zupełnie ta wziętość, która zapewne dlatego właśnie, jeśli większą jeszcze, to z pewnością mniejszą nie była.

Pan Joachim z wielką ciekawością oglądał to dziwo, ilekroć zdarzyła się sposobność, a co za sąd wyrobił sobie o człowieku po kilku widzeniach i dłuższych rozmowach, w których Bieluń żywszy udział przyjmował, tego nie wiedział nikt z młodych, bo odludek nie śpieszył się z wypowiedzeniem swego przekonania, a zresztą nikt się go też o to nie dopytywał, nie wyłączając bratanka. Ten ostatni mianowicie byłby to za rzeczywistą ujmę dla powagi chwili obecnej i jej ludzi uważał, gdyby o którymkolwiek z wybitniejszych przedstawicieli miał wymieniać zdania z jakimś niepowołanym do tego mamutem.

Ani jednej cechy wspólnej z Bieluniem nie miał w charakterze Wincenty Piątkiewicz, który się w tej grupie młodzieży znalazł dzięki temu jedynie, że był

tu wprowadzonym i bardzo odznaczająco poleconym przez Fichtena, a ten jak wiadomo miał wszelkie prawo wprowadzać i polecać. O tem, zkąd przychodził Piątkiewicz wiedział ze wszelkimi szczegółami pan Joachim, zarówno jak brat jego, ojciec Stanisława, a mógł był wiedzieć, gdyby chciał i sam Stanisław, ale jemu właśnie podobało się ignorować wszelkie względy, dotyczące pochodzenia, rodziny, domu—względy, które się tutaj liczyły do tak zwanych starych przeżytków. Przychodził człowiek, opowiadał przed czem się kłania, a czem gardzi, zdawał tym sposobem jedyny odpowiedni egzamin, a jeśli jego credo było wystarczającem, nie obchodziło nikogo co jest poza nim i poza tymi, których nosi nazwisko. A miało to nazwisko swoją skandaliczną w pewnym zakątku kraju historyę, i jak raz złożyło się tak, że obok tego imienia wymienianem było zawsze inne, mianowicie ojca Stanisława, który w swoim czasie, i w pewnych okolicznościach, odegrał z ojcem tego Piątkiewicza rolę dziwnie łatwowierną dobrodusznością nacechowaną—rolę, którą drogo bardzo w następstwie

opłacił on i jego rodzina. Pan Joachim był pamiętnym zajścia całego, zresztą musiano dużo o tem mówić, skoro przy przedstawieniu panu Joachimowi, czuł się sam młody Piątkiewicz niezwykle nieswoim, a stryj Stanisława mimo dużego panowania nad sobą, nie zdołał ukryć uczucia odrazy czy niechęci, co zresztą nie uszło uwagi zgromadzonej w tym dniu młodzieży. Wrażenie przeszło szybko, nikt wreszcie tutaj o wyświetlaniu go nie myślał, zwłaszcza, że spiritus movens kółeczka wyzywającą postawą dawał do zrozumienia, iż powagą swoją gotów jest kolegę w fałszywem położeniu ratować. Jedynem następstwem było, że pan Joachim pod jakimś pretekstem wcześniej dzisiaj opuścił młode towarzystwo, a przyznać mu wypada, iż zrobił to dopiero wtedy, gdy Piątkiewicz, zapewne w drodze odwetu za ambaras, jakiego doświadszył, z pozycyi obronnej wyraźnie w zaczepną przechodzić zaczynał.

Stanisław zniecierpliwiony kręcił się na krześle niespokojnie, Fichten uśmiechał wyzywająco, reszta obecnych spoglądała po sobie, nie rozumiejąc wcale

zagadki, ani domyślając się celu pocisków, którym był w istocie pan Joachim.

Nazajutrz przy obiedzie wydało się Stanisławowi, że winien jest stryjowi pewne wyjaśnienia, ale że się do nich zabrał z myślą nieustąpienia na krok jeden, więc przyszło mu tego pożałować niebawem.

— Stryj nie był łaskaw wczoraj pozostać z nami dłużej—odezwał się głosem, w którym dźwięczał ton afektowanej pewności siebie.

— Miałem rozpoczętą pracę zmudną, którą chciałem ukończyć...

— Czyż to tylko praca niedokończona pozbawiła nas towarzystwa stryja?...

— Może być, że nie ona jedna, ale co do reszty przyczyn, to wyznaję, że nie radbym wchodzić w szczegóły, zwłaszcza, że jak widzę, obce ci są zupełnie sprawy rodzinne.

— Tak zupełnie obce—nie; owszem zasłyszałem coś niecoś...

— Zanotuj sobie dobrze w pamięci, że nie ja wywołuję rozmowę, ale skoro sam zacząłeś, i skoro wiesz, to

pozwól mi powiedzieć, że nie rozumiem cię...

— A ja jednakże, o ile mi się zdaje, konsekwentnym jestem zupełnie. Ojciec tego Piątkiewicza był podobno człowiekiem złym, bo wszak o to—nie o co innego idzie stryjowi? Bardzo dobrze— przypuszczam, że tak było, ale przypuszczenie nie jest pewnością matematyczną. W każdym razie, w czem to może spadać na jego syna, i dlaczego ja mam pamiętać o tamtego jakiejś nikczemności?

— Jak tylko tak stawiasz kwestyę, to zgódźże się i na to, że na odpowiedź niema z mojej strony miejsca.

— Jakżebym ja to mógł pojmować inaczej? Przecież udźwignięcie całego brzemienia pojęć dawnych, przesądów, uprzedzeń, dążeń, opartych na założeniach fałszywych i na wadliwości ustroju dawnego, stało się dla nas niemożebnem— zkądżeby zdobyć się nam dzisiaj na jakieś łączności, na solidaryzowanie się z tem, co było, kiedy my zatrzasnęliśmy za sobą te drzwi na amen, i klucz od nich zgubili już nawet do tej pory. Nas to

poprostu nie obchodzi, i ani na jedną chwilę nie oglądamy się poza siebie. Był stary Piątkiewicz łotr dajmy na to, nikczemnik, wyrzutek—tem gorzej dla niego, i tem smutniej dla tych nieporadnych i niedołężnych ludzi, którzy mu się pozwolili swojego czasu gubić—jest inny Piątkiewicz, człowiek takich przekonań, które mu tylko zaszczyt przynieść mogą, człowiek idei, pożyteczny działacz—tem lepiej dla niego i dla tych wszystkich, którzy mu są przyjaciółmi i współpracownikami. No jakże? Czyż nie tak jest—czy może nawet być inaczej?

— Widać, że nie może, skoro nie jest, wedle tego przynajmniej, co ty twierdzisz w tej chwili.

— Stryj pozbywa mię, jak gdybym był dzieckiem, a nas dojrzałość nasza kosztuje drogo, my czujemy, że siłą jesteśmy, my żadnego z nabytków naszych w pojęciach i jednostkach nie możemy się pozbywać dla satysfakcyi tych kierunków, które sami uznajemy za wrogie i antypatyczne.

— A ten pan liczy się właśnie do tak cennych nabytków?

— Z pewnością.

— Tem lepiej dla niego, a daj Boże aby i dla was, jak to powiedziałeś sam— zakończył pan Joachim, powstając od stołu i podając bratankowi rękę z całą przychylnością, co, przyznać należy, temu ostatniemu wcale nie było po sercu.

Najtrudniejszem może do zrozumienia w tej grupie młodzieży, było przyłączenie się do niej studenta fakultetu prawnego, niejakiego Michała Kozery. Ci, co nie wiedzieli, że pociągnęła go tutaj idealną szczerość przekonań i naiwna dobra wiara Stanisława, którą miał sposobność po kilkakroć wystawić na próbę, kręcili głowami wątpiąco, i przebąkiwali, że staremu różnych obozów bywalcowi dawne grzechy uspokoić się nie pozwalają. Fichten i ów Piątkiewicz zarysowali się odrazu w życiu młodzieży bardzo stanowczo, Bieluń przynosił ze sobą świeżą woń ludowości, a jako taki wszelkim odcieniom mógł wydać się pożądanym, Stanisław natomiast wywoływał zagadkowe domysły, wątpliwe co do osoby swojej komentarze, z których najpobłażliwsze mówiły o intencyi rehabilitowania pierworodnego

grzechu swego pochodzenia. Pochodzenie takie wymagało też zdwojonego zapędzenia się w przekonaniach.

Kozera w istocie mógł się nazwać bywalcem uniwersyteckim. Z egzaminami się nie śpieszył, a nawet unikał ich z rozmysłem, bo po egzaminie nie widział przed sobą pozycyi wyraźnej, podczas gdy tego studenckiego bytu dostateczną zupełnie podstawą były korepetycye, któremi dzień bez mała cały miał wypełniony. Nieświadomi, a zatem nowi przybysze, robili mu nawet z tej racyi pewne zarzuty; kilku tylko bliższych i poufalszych znajomych wiedziało, że miał matkę staruszkę, do której szczerze był przywiązany, i dla niej właśnie podejmował tę pracę ciężką i nużącą. Pan Joachim spotkał go raz przypadkiem w dzielnicy staromiejskiej, prowadzącego jakąś ubogo ubraną kobiecinę z książką do nabożeństwa i różańcem w ręku; szedł za niemi niepostrzeżony dopóty, dopóki ich nie ujrzał niknących w mroku katedralnego kościoła, a że miał w tym umiłowanym zakątku miasta swoje stosunki wśród ludności pracującej, więc nie trudno mu było

dojść z najpewniejszych źródeł historyi pochodzenia tego przyjaciela swego bratanka.

Stary sceptyk nie rad bywał podobnym niespodziankom. Mawiał on do blizkich swoich, że pojedyńczy objaw choćby najdodatniejszy niczego nie dowodzi, a wywołując wzruszenia bezpotrzebne, godzi z chwilą obecną, wbrew rozsądkowi i samej nawet oczywistości.

Matka Kozery była przekupką staromiejską; pracowała póki jej starczało sił, doprowadziła chłopca do klasy piątej, a potem sam on już dawał sobie radę. Po szkołach miał przerwę dwuletnią w nauce, po której powróciwszy, zastał staruszkę w jakimś przytułku, okaleczałą i bezwładną prawie. Odtąd służył jej niezmordowanie, nietylko dzieląc z nią grosz zapracowany, ale prawie wszystkie rozporządzalne chwile swobodniejsze. Młodzież napływająca w następnych latach, coraz mniej wiedziała o kolejach jego losu i stosunku rodzinnym, ale bądź co bądź, pozostała tradycya tych lat dwu i tej wyrobionej opinii człowieka charakteru, która go stawiała wyżej ponad napaści

możliwe wszelkich Fichtenów i Piątkiewiczów, dla których on ze swojej strony zdradzał w obejściu stanowcze lekceważenie, traktując ich z wysokości swego doświadczenia jako komedyantów recytujących role wyuczone. Zresztą bystry w sądzie, sceptyczny, szyderczy, kiedy mu nie dano powodu do rozdrażnienia, miał humor niewyczerpany prawdziwego dziecka Warszawy—humor zdradzający dla dobrego obserwatora niezwyczajną czystość duchowego wnętrza. Stanisław należał do małej liczby ludzi, których Kozera traktował wyróżniająco. Mówił, że niedorzeczności, które niekiedy wygłasza ten chłopiec, mają w sobie coś dziewiczego, a każdy absurd prosi się z góry o rozgrzeszenie. Wyglądało to tak, jak gdyby czatował na sposobność rozświecenia w głowie tego doktrynera w zarodku.

W miesiąc jakiś po owem spotkaniu na Starem Mieście, o którem zresztą Kozera, jako o rzeczy najzwyczajniejszej zapomniał, zaszło coś między nim a panem Joachimem. Co było, nie mógł się dowiedzieć Stanisław, pomimo, że zasięgał

wiadomości u stron obu. Wyglądało to na nieporozumienie, a Stanisław szczególnie był nierad waśniom, wynikającym między stryjem a jego kolegami, przyczem pewnym był, że tym ostatnim dzieje się zawsze krzywda albo niesprawiedliwość. Tym razem jednak dać musiał za wygranę zwykłemu kierunkowi swoich posądzeń, bo na obrażonego wyglądał pan Joachim, a tamten drugi wbrew wiedzy i woli może nawet, spoglądał na niego w dalszym ciągu wzrokiem wyrażającym i szacunek i życzliwość zarazem, co tem więcej dziwiło i dawało do myślenia, że stary student, u którego na dnie pozostało coś z dawnego ulicznika, wynurzeniami się brzydził, a demonstracyjnych oznak szacunku strzegł gorzej, niż śmiertelnego grzechu.

Niemniej był ten fakt nieznaczący komentowany kilkakrotnie w kółku młodzieży, pod nieobecność rozumie się stron uważanych teraz jako poważnione, a nawet raz miała miejsce charakterystyczna dosyć wymiana zapatrywań, która Stanisławowi wcale nie była po myśli. Zdradzała ona w sposób szczególny dno duszy

każdego z ludzi, biorących w niej udział, a biedak, który gotów był za czystość i szczerość przekonań swoich towarzyszów głową chociażby nałożyć, instynktownie cofał się przed wyjaśnieniami wszelkiemi, jak gdyby o tem, co z pod nich ukazać się mogło, ostrzegał go głos jakiś wewnętrzny.

Ktoś zupełnie świadomy rzeczy, byłby w tym głosie odnalazł może Kozerę.

— Zauważyliście panowie zapewne— mówił Fichten—jak wyraźnie słabną sympatye między stryjaszkiem Stanisława. a tym z pomiędzy nas, którego on, o ile się zdawało, ostentacyjnie wyróżniał niedawno jeszcze.

— Owszem zauważyłem—potwierdził Stanisław—a że mi to nie było po sercu, więc dochodziłem nawet źródła oziębienia stosunku—wyznaję wszakże, że bez skutku. Obaj milczą i pozbywają mię lada czem.

— Ciekawy jestem co nam po tej wiadomości, i dlaczegobyśmy sobie tą zagadką głowę zaprzątać mieli — wtrącił Piątkiewicz.—Co do mnie, nie badam, nie

dochodzę, a nawet nie zastanawiam się wcale, bo ani jeden, ani drugi nie interesuje mię do tego stopnia.

— Dlaczego? — zaprzeczył Fichten — mnie owszem i jeden i drugi obchodzi dosyć; mam przytem słabość do wszelkich podobnych objawów, w ktorych czułe struny duszy ludzkiej, wyrywające się z głębi, zaprzeczają zgrzytliwie głoszonym deklamacyom i praktykowanej obłudzie, a mam silne podejrzenia, że tu się stało coś w tym rodzaju, i to coś nader zabawnego. Zestawiwszy jedno z drugiem, mógłbym wam dziś już wykryć tę wielką tajemnicę na mocy prostej kombinacyi.

— O czem myślisz — co przypuszczasz?—pytał z niepokojeu Stanisław:

— Nic nadzwyczajnego. Ot tak, wedle widzenia mego, musiały się odbyć te rzeczy. Nasz kolega, jeśli go tak zwać wolno, bo szczerze mówiąc, nie wygląda on na zaszczyconego tem koleżeństwem, nasz tedy kolega popadł w tych czasach w pewne drobne kłopoty, rozumie się pieniężne. Stracił aż dwie lekcye naraz, co mu wcale nie było na rękę i wskutek tego...

— Czyż stracił? — przerwał Stanisław—nie mówił nic o tem; sądzę, że masz wiadomości mylne.

— Nie miewam nigdy mylnych wiadomości, i tym razem są one najautentyczniejsze. Zresztą o tem potem, w tej chwili najważniejsza rzecz, że był, a może i jest dotąd w ambarasie. Położenia podobne mają to do siebie, że przychodzą w nich ludziom do głowy myśli szalone, nadzieje nieziszczalne, że się chwytamy nietylko wątłej deski ocalenia, ale i brzytwy chociażby, jak to i sam opowiadający wam te sprawy, aż nadto niestety znane, wie z doświadczenia własnego. Otóż mam pewne poszlaki, że jedna z myśli podobnych nawiedziła mózg kolegi Michała, a treścią jej było zdyskontowanie, jeśliby się dało, przyjaźni Stanisława, a przez nią wyraźnie okazywanej życzliwości jego stryjaszka. Trafiła jednak kosa na kamień, bo Stanisława jak się zdaje pominął, a zakołatał tam wyżej w mniemaniu, że taki burżuj, jak pan S. ma swoje chwile wzruszeń, swoje sposoby zadawalniania miłości własnej, i że chętnie zaofiaruje raz jeden jakąś minimalną

kwotkę, dosyć rozumie się głośno, aby mu to jako świadectwo filantropii na resztę życia pozostać mogło. Omylił się biedny pan Michał oczywiście, bo taką być musi kara, kiedy się wychodzi z założeń fałszywych—kiedy się ma ochotę nosić płaszcz na dwóch ramionach—jednem słowem, kiedy człowiek nie może się wkupić między burżujów, a być proletaryuszem naprzykrzyło mu się. Oto źródło kwasów, niechęci, oziębienia temperatury. Nie takie to znowu nieprzejrzyste, żeby wysylabizować nie można.

— A jednak tym razem, przekonany jestem, sylabizowałeś źle, bo ci dano w rękę nowy elementarz. Nie znasz tego człowieka—przeczył z przekonaniem Stanisław—nie znasz, bobyś nie mówił o nim, że się w potrzebie do kogokolwiek o pomoc odwołał—nie znasz i tego drugiego, bo mimo wszystkiego powiem ci, żeby sobie w takim razie odmową nie ubliżył.

— Daj pokój — insynuował ironicznie Piątkiewicz. — Nasz młody kolega wyraźnie daje do zrozumienia, że jeden jako

Kato nie mógł żądać, drugi jako mecenas nauki nie byłby w możności odmówić. Skoro mają być w tej sprawie złudzenia, niechaj będą do końca; ty zostaniesz przy swojem, tamten przy swojem, a na pociechę mogę ci powiedzieć, że trzymam z tobą. Wreszcie niema o co głów sobie urywać. Drobiazg!

— Przepraszam — zaczął znowu Stanisław—strata tych dwóch lekcyj nie jest drobiazgiem dla niego, a tem samem i my jej w ten sposób traktować nie możemy. Kto wie co więcej o tem, niechaj powie...

— Sam interesowany powie ci najlepiej, bo oto widzisz go idącego przez podwórze. Pohamuj twoją niecierpliwość — za chwilę będziesz wiedział wszystko!

— Pozwólcie się panowie pożegnać— odezwał się milczący dotąd Bieluń, który szybko powstał z miejsca, a po wyjściu jeśli się spotkał z Kozerą, to chyba w ciemnej klatce schodowej, co nawiasem mówiąc, wchodziło w jego rachunek.

Przybyłego zarzucił Stanisław obcesowo pytaniami, a że tych pytań było dużo,

a nagabywany w istocie na żadne z nich odpowiadać nie chciał, więc uchylał się jak mógł, pozbywał byle czem, a w końcu nadmienił, że jutro dostaje jakąś nową korepetycyę, a przytem ma coś jeszcze na widoku. To jednakże nie zadawalniało Stanisława; jemu chodziło o to, dlaczego Kozera utracił lekcye aż w dwu miejscach, kto je po nim objął, czy obiedwie jeden i ten sam człowiek, i Bóg wie nie co potrzebne mu było jeszcze. Gdy to nastawanie przedłużało się nadmiernie, zabrał głos Fichten i zwracając się do Stanisława wprost, rozstrzygnął rzecz odrazu:

— Skoro jesteś tak nieustępny, a mojem zdaniem taki dziecinnie nudny i uparcie monotonny, to wyręczając kolegę Kozerę, który albo nie wie, albo co byłoby o wiele szczytniejszem—nie chce wiedzieć, powiem ci, że obie te lekcye wziął nasz dzielny Bieluń. Jakże, czy wiesz już teraz, i czy nakoniec jesteś zadowolony?

Piątkiewicz parsknął śmiechem, Kozera się zachmurzył i chciał nawiązać jakąś rozmowę, co mu szło bardzo

niezręcznie, Stanisław milczał, tarł czuprynę, a w końcu rzucił:

— No, gdyby tak było, to przyznam się...

Nie dał mu dokończyć Piątkiewicz.

— Co byłoby—powiedz, zadeklamuj, bo ty to potrafisz jak nikt, albo zaczekaj, ja tobie powiem lepiej, bo ty ile razy chcesz fakt osądzić samodzielnie, pokpisz sprawę z pewnością. Wam wszystkim gagatkom chowanym przez mamy wydaje się, że walka życiowa to jest sobie jakieś gruchanie gołębie, jakiś wylew uczuć, gdzie jeden szlachetny zaofiarowywa to, co mu, rozumie się, w gębę wleźć już nie może, a ten drugi obdarowany rozpada się od wdzięczności. Wyperswaduj sobie kochanku taką sielankę raz na zawsze, bo cię pierwszy lepszy prostak dowodami przekona, że bredzisz jak w gorączce, albo kłamiesz po faryzejsku—po waszemu. Gdybyś ty sobie przed dojściem do uniwersytetu tak był nad mizernym kawałkiem chleba okrwawił pazury, jak on, toby ci pewnie nie sielanki były w głowie. Narobił swoim, bezprzykładnym w istocie, egzaminem dużo

hałasu; potrzebował to wrażenie w porze właściwej zamienić na gotówkę i... zamienił. Był w swojem prawie—jest siłą rzeczywistą; szanuję w nim tę siłę ja, a jak się dobrze zastanowisz, to uszanujesz i ty. Wy, to jest ci niby najlepsi z pomiędzy was, kochacie lud, ale po swojemu—kochacie go, kiedy stoi na słońcu przed gankiem waszym z czapką w ręku i schyla się do pokłonu ręką do ziemi samej, ale niechaj tę rękę wyciągnie samorzutnie po chleb i pracę, to gotowiście mu zawsze powiedzieć: Nie bądźże chamem i poczekaj—zbyt brutalnie się do rzeczy zabierasz! Do psa z żartami takimi! Nie zawsze będzie można odpychać, i oto jeden z takich, który odepchnąć się nie da. Bądź spokojny o to!

— Nie przeszkadza to bynajmniej, że taki Bieluń z pewnością nie intrygował, dołków pod kolegą nie kopał—wtrącił od siebie Fichten, ale gdy mu zaproponowano, nie mógł przecież powiedzieć, że pójdzie poprosić o pozwolenie, boby mu się rozśmiano w nos, nie mówiąc już o tem, że koniec byłby taki: nie utrzymałby się ani jeden, ani drugi, a lekcye wziąłby

trzeci—z pewnością najmędrszy, bo najzaradniejszy.

Zakrzyczany jak zwykle Stanisław, zamilkł. Kozera z wielkim wysiłkiem wprowadził na stół jakąś materyę ogólniejszego znaczenia, ale rozmowa się nie kleiła i niebawem dwaj nierozdzielni Fichten i Piątkiewicz opuścili kolegów, bo też po tym epizodzie na rychłe zharmonizowanie trudno było rachować. Że Stanisław wyszumi do jutra, wiedział Fichten napewno, boć przecie od lat kilku ugniatać go się nauczył niby wosk; o tego drugiego nie szło mu bynajmniej. Zrażać go było nie politycznie, bo brany samodzielnie był cyfrą niezaprzeczoną wśród młodzieży, ale jego przewagi nad Stanisławem nie lękał się, bo zaszczepiony przezeń ćwieczek dobrze utkwił w głowie ucznia, a temu ćwieczkowi jeśli kto, to nigdy Kozera nie mógł folgować. Doktrynę samą zbywał ten ostatni ruszeniem ramion—jej krzewicieli zwłaszcza, gdy byli nimi jacyś Piątkiewicze, a najbardziej Fichteny, traktował bez pobłażania, zostawiając pobłażanie dla ludzi dobrej

wiary a małego doświadczenia, do których zaliczał Stanisława.

Nie wiązała się rozmowa teraz i między tymi dwoma młodymi ludźmi, którzy zostali na miejscu. Po jakimś czasie przerwał milczenie Stanisław.

— Coby się to jednak stało z uczuciami solidarności, koleżeństwa, przyjaźni, gdyby to tak pójść miało, jak on mówi?

— O te uczucia się nie lękaj—mówił spokojnie Kozera — były, są, i nigdy ich między nami nie zabraknie zupełnie. Mnie o to nie chodzi; ja mam przed sobą bliższe pytanie. Coby to było, gdyby przewodnikami jednych, a obrońcami drugich, mieli być dalej tacy ludzie, jak ci obaj, co ztąd wyszli. Nadewszystko obrońcami. Powiedz mi, czy ciebie to nie razi—nie dziwi—nie budzi twojej podejrzliwości?

Stanisław nie odpowiadał nigdy na kwestyę tak jasno postawioną. Brnął, jak się pokazuje, w połowie nie widząc — w połowie nie chcąc dojrzeć.

Po jednym z obiadów, podczas których bratanek wykładał stryjowi swoje, domyślne dlań zresztą zupełnie, zapatry-

wania na obowiązkową w każdem przedsiębiorstwie rolnem współdzielczość, bez której wszystko jest ze strony dzisiejszego czasowego posiadacza wołającą o pomstę krzywdą, przypomniał sobie pan Joachim, że po tej półrocznej z górą obserwacyi swojego krewniaka nie może przed sumieniem własnem przyznać, iż się o nim nic dotąd nie dowiedział, i wreszcie że tego, co już wie napewno, aż nadto wystarcza jako materyału sprawozdawczego do onego raportu, do którego się względem jego ojca zobowiązał. Dzięki temu, w tydzień jakiś potem mniej więcej przyniosła poczta tej treści korespondencyę ojcu Stanisława, na którą on oddawna już i bardzo niecierpliwie oczekiwał:

„Ty tam sobie wyobrażasz może — pisał pan Joachim—że my z synem twoim żyjemy wśród nieustających utarczek, a między nami harmonia panuje najpożądańsza, taka harmonia, jakiej ani ty, ani on nie przewidywaliście zupełnie. Wprawdzie zawdzięczamy ją obydwaj temu, że dotąd on mówi, a ja przyjmuję do wiadomości, niemniej porozumienie

panuje doskonałe, w którem on uważa mnie zapewne za przypartego do ściany ostatecznie, a ja—ja powiem ci, że uważam go za najpoczciwszego chłopca, jaki się w gnieździe naszem, nie bardzo zresztą ubogiem w ludzi dobrych, do tej pory narodził. Tylko widzisz, poczciwcze mój stary, nie tak to łatwo jest dzisiaj, jak było za młodych lat twoich, znaleźć drogę swoją na świecie, a nadewszystko znaleźć odpowiedzi na wątpliwości udręczające sumienia szlachetne i szlachetnie draźliwe. Nie chwytaj się za głowę tylko po tem, co usłyszysz, nie desperuj ani złorzecz komukolwiek i czemukolwiek, a powiem ci wszystko, co wiem sam, nb. powiem ze szczerością zupełną, bo wreszcie ja kłamać nie umiem, jak wiesz, a gdybym umiał nawet, nie dopuściłbym się tego, ze względu na prawa twoje niewątpliwe do wiadomości wszystkiego, co dotyczy twojego dziecka.

„Otóż trzeba ci wiedzieć, mój drogi, że my żeglujemy tutaj sobie na pełnych wodach wszelakich solidarności społecznych, że brzydzimy się indywidualnem posiadaniem gorzej, niż za naszych czasów brzydzo-

no się grzechem śmiertelnym, i że to posiadanie traktujemy właśnie mniej więcej tak, jak traktowano ongi przestępstwo, przeciw któremu protestuje siódme przykazanie Boskie. Zresztą nie mógłbym ci koleją opowiadać wszystkiego, co się tu mówi, bo o wiele łatwiej byłoby może opowiedzieć czego się nie mówi, wolę zatem dać kilka podobizn ludzi młodych, którzy stanowią codzienne towarzystwo twego syna. Jednych znasz osobiście, innych się domyślisz łatwo, skoro ci powiem nazwisko, a nieznanych zupełnie odmaluję sam, jak będę umiał.

„Pominę zupełnie tego, który się u nas zwie Salezy Fichten, a którego ty na zapadłej prowincyi waszej nazywałeś zapewne Salomonem Fichtenbaumem. Widzę, że się skrzywiłeś bardzo. Cóż robić— ten, jak ja rozumiem, był nieuniknionym, a przytem zastrzegam się przeciw oburzeniom, bo ci mam jeszcze wymienić kogoś, który ci mniej nawet będzie chyba po myśli od dawnego nauczyciela twego Stasia Jest to Piątkiewicz, syn... już wiesz. Tylko bez awantur! Gorzkie to trochę, ale

też to już wszystko, co było najgorszego do powiedzenia—reszta będzie o wiele lepsza, a znajdzie się może na końcu coś ne osłodzenie pigułki. Trzecim tedy z kolei codziennym prawie gościem Stasia jest niejaki Bieluń, syn chłopa, starszy od nich wszystkich o lat parę, powierzchownie biorąc najprzód, mężczyzna dorodny, silny, zdrów, a nawet dosyć sympatyczny w znaczeniu towarzyskiem, bo prosty, nie narzucający się, a śmiały. Siła bije od niego jakaś, a wystaw sobie, że to jest samouk, który się dochrapał uniwersytetu, narobiwszy dokoła siebie tym sposobem wiele hałasu, z którego, o ile ja rozumiem, nie robi on sobie nic a nic. Będzie z niego lekarz, nawet dobry zapewne lekarz, tylko jako każdy prawie taki *faber fortunae suae*—w żadnym razie filantrop. Oh! za to, że nie będzie w karyerze i w życiu miękkim ani uczuciowym, głowę bym stawił w zakład. Dziś już robi on na mnie wrażenie człowieka, który się rozgląda po świecie i szuka, coby tam było do zabrania dla niego. Typowy indywidualista dostał się między ludzi poprzebieranych za kolekty-

wistów, którzy go traktują z respektem za to, że raczy być tem, czem jest.

„Dużo komizmu tkwi w tej sytuacyi, jak w wielu innych, które oni dokoła siebie wytwarzają, bo i im, zdaje się, brak jest zupełnie zmysłu krytycznego do oceny faktów i objawów, jako i wszystkim wogóle ludziom zapędzonym w kierunku wyłącznym.

„Zapędzonym“ jest to, właściwie mówiąc, termin nie dla nich wszystkich odpowiedni, bo tu zapędzonym szczerze jest Staś tylko jeden, ale że jest, to jest— przyznać mu to należy. Gdyby go jego cnota, naiwność i dobra wiara nie rehabilitowały, byłby niekiedy w całem znaczeniu tego słowa nieznośnym.

„Zapędzonym nie jest przecie taki semita, jak ten ich Fichten, bo on podpala pod innymi, nie wychodząc ze swego chłodu, a nadewszystko ze swoich wyrachowań. Jako zapędzonego nie można również uważać Piątkiewicza, który zapisał się do bractwa dającego jak najszerszą wolność rozlewania żółci i ośliniania jadem wszystkiego, co nie leży dlań na odległość jego ręki, a ma tego jadu i tej

żółci, ma! mógłby niemi kilka, a choćby i kilkadziesiąt kółek młodzieńczych obdzielić. Jest to indywiduum mojem zdaniem bezwarunkowo szpetne—typowy defloryzator młodości, i to stało się już, jak się zdaje, u niego profesyą.

„Ten Bieluń, jak on na nich wszystkich patrzy, jak on ich słucha! Co to za olbrzymia nauka mieści się w tej jego kamiennej bierności! Istny obraz siły martwej o niepomylnym instynkcie zachowawczym, który pokazuje mu gdzie rachunek i korzyść. Ideały—dla jego wnuków może, nb. jeżeli... on sam tymczasem ma tak rozwinięte szczęki, że gotów niemi zemleć to, co z przed dziesięciu słabszych uprzątnie. A uprzątnie z pewnością wszelką.

„Gdybyż dzieci podobne Stasiowi zrozumieć to mogły, ale o tem mowy nawet niema.

„Zdaje się jednakże, że nad szalonymi, dziećmi i nad nietrzeźwymi jest naprawdę jakaś osobna Opatrzność opiekuńcza. Musi być chyba, bobym bez jej współudziału nie mógł prawie zrozumieć zabłądzenia w tę grupkę studencką dosyć

oryginalnego typu jednego. Jest nim pewien student już czteroletni, z nazwiska Michał Kozera—indywiduum, jakie w nieśmiertelnej płodności swojej wyrzuca dotąd z siebie mimo wszystkiego ulica warszawska. Bo to jest ulica prawdziwa, niezaprzeczona ulica ten Kozera—proletaryusz czystej wody, ale jakiż osobliwy proletaryusz! Ani odrobiny zawiści, żółci, pretensyi do losu za szarą dolę, ani szczypty cynizmu, którym koniecznie prawie nasiąknąć powinno to, co się ściera najbrutalniej z twardymi warunkami bytu—co stoi zdaleka od szczęścia odsunięte, pozostawione sobie i przeznaczeniu. Owszem pogoda umysłu, względna wyrozumiałość nawet, nie bez przymieszki wszakże bardzo wykwintnego szyderstwa, które podszyte zdumiewającą bystrością ulicznika robi z niego nieprzyjaciela nader niebezpiecznego. Potrafi nim być gdy zechce, ale zna siłę szponów swoich i używa ich oględnie, jak gdyby dawał do zrozumienia: „I tak cię zetrę w proch, gdy mi się spodoba!“

„Pewien jestem, że to jest właśnie jego postawa rzeczywista, przyjęta względem

tych dwóch satelitów Stasia, o których wspominam na początku. Twój syn to widzi, ma się na baczności i radby zawsze godzić i jednać, ale to nie z takim jak Kozera robota podobna. Zbyt dużo widział i doświadczył osobiście—zbyt dobrze rozumie, co czyste, co brudne—co wykonalne i potrzebne, a co jest i pozostanie mrzonką. To mocny chłop, w całem znaczeniu tego słowa.

„Jesteśmy z tym panem Kozerą, my obaj niby, trochę mniej dobrze, jak byliśmy dotąd, ale to Bóg widzi, jego nie moja wina. Bo wystawże sobie, wiem, że hultaj siedzi w kłopotach i w pracy po uszy, a wiem na pewno, bo ja zawsze wiem kiedy chcę i potrzebuje wiedzieć—mam swoje drogi właściwe ku temu. Otóż zbliżam się, poufalę, wyszukuję sposobności, i kiedy mi się zdaje, żem już na należytym stopniu kamaraderyi, występuję z propozycyą przyjścia z pewną pomocą. Notabene robię to wszystko ostrożnie, z poszanowaniem wszystkich drażliwości, stawiam formę pożyczki, daję nawet sam termin zwrotu. Ani weź, powiadam ci! Hardy szelma jak senatorskie

dziecko. Czepiam się ostatniej nitki, żeby wybrnąć z głupiego położenia, a postawić przytem na swojem, więc mówię mu o tej babinie z pomarszczoną twarzą, w kraciastej chustce na głowie, którą on w swoim mundurze studenckim prowadza do kościoła, wpatrując się w nią jak w ołtarz—mówię i przekładam, a ten ze łzami w oczach patrzy się we mnie i przez łzy mówi mi:

„A więc dobrze, przyjmę dla tej staruszeczki, ale to na wypadek... kiedyś... w razie gdybym się znowu tak zawieruszył, jak wtedy. Uważa pan, pańskiemu sercu ją zostawię, i zostawię spokojny.

„Rozeszliśmy się po głupiemu wzruszeni, i dotąd nam nie swojo jest jakoś, chociaż co prawda, to ja tylko sumuję, a on zdwojoną ze Stasiem serdecznością daje mi uczuć, że jest mi obowiązanym niby. Ma waryat za co, bo waryat jest skończony, ale bardzo piękny waryat.

„Wystawże ty sobie, że mi się raz patrząc na niego wyrwało:

Czyżby dyabli mieli naprawdę nie wszystko jeszcze zabrać?

„Otóż nie lubię u siebie takich zwrotów, tego rodzaju odpływów zdrowego sądu, takich pociech tuzinkowych na widok jakiejś jednostki, którą w dodatku praca, nędza i smutek wielki gotowe przed czasem sprzątnąć ze świata. A on ma ten smutek w sobie—ma!—stylowy, posągowy smutek!

„No to i masz staruszku mój wszystko mniej więcej. Nie martw się, bo będzie co ma być, a żadne ewolucye w duchu człowieczym, zwłaszcza jeśli mają być trwałe, błyskawicznie spełniać się nie mogą. Bądźże—umiej być filozofem, umiej czekać i bądź cierpliwym. Zbyt rażącą jest przepaść między przeidealizowaną rolą naznaczoną dzisiejszemu człowiekowi, a faktycznem tego człowieka obniżeniem się i zesłabnięciem, iżby się to wszystko na przetarciu oczu, niby po zmorze sennej, skończyć nie miało.

„A więc: *inertia* — *sapientia* — nadto nic!

Twój brat
Joachim S.“

Była to połowa Maja, wyjątkowo pięknego, bo ciepłego i słonecznego Maja. W Niedzielę, w godzinach południowych znajdujemy w mieszkaniu Stanisława zgromadzone całe to gronko znajomej nam młodzieży. Nastrój ogólny wcale nie wesoły. Z wyjątkiem Kozery, który do ostatecznego egzaminu od roku z górą był zupełnie przygotowanym, i Bielunia, dla którego cała egzaminowa komedya igraszką była tylko, pozostali nie odznaczali się animuszem ani swobodą. Fichten obliczywszy się z siłami, czuł, że mu tegoroczna próba zaledwie średnio wypadnie, Piątkiewicz rachował, jakie to długie będą do przeczekania te lat parę, które go od czynnego wystąpienia, a raczej od możności wysunięcia ku światu adwokackich pazurów oddzielają, a Stanisław wyglądał jak człowiek znużony niezmiernie, który w dodatku nie ma sobie do powiedzenia nic pocieszającego. Porachowawszy przed paru miesiącami czas stracony na sprawy, z obowiązkami jego jako studenta nie mające styczności żadnej, wykuwał teraz kursa swoje z niezmiernym wysiłkiem, który o tyle większego natężenia wymagał,

że chłopak ten miał zdolności zaledwie średnie, a myśl stale błądzącą o sto mil od obranej rzekomo naukowej specyalności swojej.

To też nic dziwnego, że rozmowa w tem apatycznie nastrojonem kółku rwała się co chwila, aż nareszcie Kozera, który może miał swoje powody do wesołości, a może tylko przez przekorę i jakieś wyrachowanie odezwał się:

— A gdybyśmy tak postanowili cokolwiek!

Prawie zgodne ruszenie ramion było jedyną odpowiedzią na to wezwanie.

— Coś mądrze obmyślonego przeciw ogólnemu spleenowi!

— Tu się mądrość na nic nie przyda—zaprzeczył wraz z głośnem ziewnięciem Stanisław.

— A więc coś głupiego—najgłupszego chociażby, byle skutecznego.

— Upoważniamy wnioskodawcę do bliższego określenia projektu.

— Niech i tak będzie, jestem dziś w pojednawczem usposobieniu — mówił dalej Kozera, temi tylko słowy odpowiadając na złośliwą intencyę Fichtena. —

A ponieważ nad wysmażeniem głupstwa nietrzeba nigdy myśleć długo, bo by mogło być w dodatku niedołężnem, przeto bez wszelkiego namysłu proponuję wyścigi.

— To nie będzie dosyć głupie, ani ani dosyć szalone—to będą nudy prawdopodobnie—więcej nic.

— Zależy wszystko od tego co tam będziemy robić, a co sami powinniśmy wymyśleć, aby rozpędzić te tumany apatyi; to rzecz nasza.

— Niekoniecznie—zaprotestował jakiś głos z kąta, głos w którym wszyscy odgadli wypowiadanie się szczere człowieka, czującego w tej chwili płótno w kieszeni.

— To żaden wzgląd — perswadował domyślnie Kozera. — Uważam się w tej chwili za taką potęgę materyalną, że nawet zbiorowe niedomagania gotów jestem wziąć na swoje barki. Ha! dziwicie się, panowie koledzy! Mniejsza z tem; niepodejmuję uwłaczajacych posądzeń, do których zresztą zbyt często dawałem powód, a natomiast stoję przy zrobionej propozycyi, i przy zadeklarowaniu gotowości mojej.

— Cóż za żyła niespodziana?—dopytywał z żywym interesem Stanisław, zaczynający rozchmurzać się naprawdę.

— Kondycya dwumiesięczna zaraz po egzaminach, i bezpośrednio wynikająca z niej zaliczka na koszta podróży. Jasne?

— Zupełnie jasne. A zatem, panowie, niema co myśleć długo; godzina druga mija. Kto o własnych siłach wykonać może przedsięwzięcie, ten nie potrzebuje się krępować—kto chwilowo cierpi na brak gotowizny, temu obydwa z Michałem ofiarowywamy kredyt.

— Nieograniczony — dorzucił ze spokojną pewnością siebie Kozera.

Reakcya w umysłach młodych bywa zwykle szybka, to też w kwadrans potem wychodziło z jednej z przecznic na Marszałkowską ulicę tych pięciu ludzi młodych, którzy tak niedawno w zupełnej bezradności nie wiedzieli jak zabić resztę pięknego dnia wiosennego.

Przy wejściu na plac wyścigowy, nie przyszło nawet do głowy nikomu zażądanie innych miejsc jak piętnasto kopiejkowych, a że nie było jeszcze bardzo

późno, więc się zdołali nasi znajomi umieścić prawie wprost trybun i przy samej baryerze. Było to zatem wszystko, co w danych warunkach zdobyć się dało. Niebawem jednakże gęsto płynąć zaczęły tłumy miejskie i naciskać uprzywilejowaną część, która miała się na czem oprzeć łokciami. Jakaś przytem przelotna chmurka lekko orosiła zebranych, a po niej ukazało się słońce bystrzejsze, i przy cichości atmosfery, w tej ciżbie ludzkiej zrobiło się ciasno, duszno, nie do wytrzymania prawie.

— Uważam, że prasa nasza traktuje kwestye, tak zwane palące, połowicznie tylko, zauważył Kozera ocierając spotniałe czoło. Artykuły o kąpielach ludowych niewyczerpują kwestyi bynajmniej, jakkolwiek przyzna każdy, że są zajmujące i nader urozmaicone. Co do mnie, czuję jednak w tej chwili, że taka kąpiel załatwia sprawę w jakiejś części zaledwie, i że tanie ludowe perfumerye są równie nieodbicie potrzebne społeczeństwom, jeśli te mają rozwijać się w kierunku demokratycznym. Inaczej, za zbiegostwo pod sztandary burżuazyi nie zaręczam wcale,

a nawet coś w tym rodzaju i mnie samemu marzy się już po głowie.

— Ani to przyjemne ani nowe—mruknął niechętnie do Piątkiewicza Fichten, któremu wesoły nastrój Kozery szczególnie do przekonania dzisiaj nietrafiał, i który z tonu domyślał się zaczepnego usposobienia przeciwnika. Ten ostatni jednakże, raz zaofiarowawszy swoją kasę do rozporządzenia kolegom, nie chciał do niej nikomu, nawet Fichtenowi, sporem jakimś zagrodzić drogi, więc zamiast na ten zwrot bezpośredni a nieprzychylny dla siebie odciąć się ostro, jak to zwykł był czynić zawsze, wybrał coś pośredniego i odpowiedział z miejsca:

— To fakt jest, że to ani przyjemne ani nowe. Co się tyczy ostatniego zarzutu zrobionego przez szanownego kolegę mnie, albo temu powietrzu, którem w tej chwili oddychamy, bo niewiem dobrze komu, to myślę, że jest ono w istocie dosyć dawnem, i było prawdopodobnie znanem już w starożytności, jakby to słusznie zauważył każdy profesor niemiecki, rozpoczynający swój kurs na początku semestru. Tak jest, ten miazmik

sympatyczny, a bogaty w azot znała już Grecya i Rzym, a bodaj że i Egipt stary, który miał proletaryatów zastępy całe.

W tej chwili wszczął się huczek jakiś tuż obok naszej młodzieży, która zajęta własną rozmową mało bardzo zwracała uwagi na wyścig pierwszy rozgrywający się właśnie, a tem mniej na manipulacyę pokątnego totalizatora, którego przedstawiciela stróż bezpieczeństwa publicznego eskortował w tej chwili do cyrkułu, zapewne dla zaprodukowania koncesyi na prowadzony proceder. Zainkasowawszy fundusze od otaczających, szedł on wcale nie markotny, bo się niepotrzebował rozrachowywać z łatwowiernemi rzeszami, których grosze unosił ze sobą.

— Tego to znaleźli—zauważył zgryźliwie Piątkiewicz, — tamtym w budkach dadzą święty pokój, chociaż oni nic innego przecież nie robią.

— W połowie masz tylko racyę — zauważył Stanisław z niechęcią. — Nikt tamtego nie pochwala, ale nie idzie zatem, żeby ten, który tam oto jak widzę dochodzi już do bramy, nie miał być

prostym złodziejem, i żebym ja miał w jakikolwiek sposób współczuć jego położeniu.

Kozera był dziś w szczególnem nastroju. Korzystając z faktu zaczął on znowu drażnić się z Fichtenem.

— Jak widzę, panowie, nie pozostaje nam nic jak opuścić to miejsce. Sama gonitwa zostawiła mnie zimnym i pokazuje się, że mi jeszcze czegoś potrzeba, a sądząc po waszych śmiertelnie znudzonych twarzach—i wam także. Słuchajcież uważnie, bo mam myśl, i to wcale nie byle jaką. A gdyby tak zajrzeć oko w oko hydrze kapitalizmu? gdyby tak wtargnąć majestatycznie między tę podłą burżuazyę? Co mówicie na to? Lud możemy na tę chwilę zostawić samemu sobie, raz dlatego, że ma on dosyć inicyatywy, aby stworzyć sobie samodzielnie zadowolenia, których próbkę, wraz z jej następstwami widzieliśmy oto przed chwilą, a potem, że nasze zjawienie się tam bez pożytku dla idei być nie może; kto wie, jakich ofiar wymaga po nas położenie. Dzień dzisiejszy nie jest dniem zwyczaj-

nym, wierzajcie mi. Idziemy tedy, czy nie idziemy?

— Idziemy—odpowiedział w imieniu wszystkich Stanisław, pomimo, że Fichten kładł mu w tej chwili w ucho, że płaskie koncepta Kozery denerwują go i odbierają właśnie swobodę korzystania z chwili. Nic to nie pomogło, bo skryta ciekawość ogólna przemogła.

Oprócz Stanisława, który znał wyścigi oddawna, i Kozery, który pomimo biedy, jako urodzony tutaj, nie mógł ich nie znać, reszcie były one obcymi zupełnie, a wogóle to wszystko, co było do widzenia z drugiej strony toru, znanem zaledwie ze słyszenia. Przy kasie płacił Stanisław za Fichtena i Piątkiewicza, odpowiedziawszy zaspokajająco na ich zapewnienia co do zwrotu w najkrótszym czasie, a Kozera milcząco prostym ruchem głowy, zatwierdził identyczne zastrzeżenie ze strony Bielunia.

Trzeba przyznać, że złośliwość Kozery obiecywała sobie tutaj żniwo prawdziwe i jako żywo nie zawiódł się on tym razem.

Nie mówiąc o Stanisławie, który był w tem otoczeniu swobodnym zupełnie i Bieluniu, który jako chłop frontowy prawdziwie robił wrażenie na słaniających się kobietach i kobietkach wcale niepoślednie, tamci dwaj wyglądali jak okradzeni. Semicki typ Fichtena zaostrzony afektowaną swobodą wywoływał szydercze uśmieszki, a gapiącego się Piątkiewicza, który nastąpił jakiejś osobie na ogon sukni, nazwał towarzyszący jej pan z monoklem w oku botokudem, co obżałowany przyjął do wiadomości bez szczególnych oznak oburzenia. Długo jednakże bawić się w ten sposób nie było można; dwa biegi odbyły się bez żadnych osobliwych wydarzeń, oprócz przelecenia jakiegoś jeźdźca przez łeb koniowi przy pierwszej przeszkodzie, gdy Kozera, który miał teraz wszystkiego do syta, najniespodzianiej odezwał się do towarzyszów swoich:

— Panowie moi! Sądzić zboczenia i występki ludzkie na wiarę zapewnień cudzych, jestto w każdym razie sądzić powierzchownie. Patrzymy oto na te klasy zwyrodniałe, pisząc im uparcie

nasze: *mane, tekel, fores*. a one jak żyły, tak żyją, a nawet o ile mój dar proroczy nie myli mnie, to żyć mogą wraz z występkami swymi lata jeszcze całe. To jest źle, to bardzo źle, ale ja na to nic poradzić nie mogę. Właściwie mówiąc, potrzebaby wiedzieć, o ile rak zepsucia toczący ich wnętrze jest rakiem rzeczywistym, potrzebaby poznać *intutive* to co ich gubi, wcielać się w ich namiętności. przeżywać je, a wtedy będziemy mogli powiedzieć, żeśmy zdobyli dla sądu naszego prawdziwe, tak zwane w powieściach psychologicznych *dokumenty ludzkie*.

— Długo tego jeszcze będzie?—pytał Fichten.

— Niedługo — owszem konkluzye już nadchodzą. Otóż panowie, mądry Niemiec powiada: *Alles mitmachen! Homo sum* i t. d. mówił rzymianin...

— A ta konkluzya?—wtrącił Piątkiewicz.

— Konkluzya jest z tego wstępu jedna i prosta, a jeśli ją mamy stosować do położenia danego, wypadnie ona mniej więcej tak: jeśli będziemy apriorystycznie

potępiać emocye wynikające z hazardu, bez spróbowania hazardu—jeśli apostołować będziemy ciągle przeciw występkowi, nie zakosztowawszy nigdy słodyczy jego owocu, będziemy jako ci, którzy nie ufają sobie samym, którzy przez proste tchórzostwo stronią od zarazy.

— Za długo trwa ta tirada cała.

— A więc niech się stanie wola wasza! Widzę, że wam pilniej do grzechu, niż mniemałem. Gramy czy nie gramy?

Żadnej odpowiedzi.

— Wszak mam to wziąść za przyzwolenie?—pytał kusiciel.

— Możesz, możesz — zawtórował ze śmiechem rozochocony Stanisław, który wychodził całkiem ze swojej kwakierskiej roli i apostolskiej sztywności. Możesz, działaj ku powszechnemu dobru i rozporządzaj groszem publicznym.

— Jakto, na nas pięciu jeden bilet—pytał z afektownem oburzeniem Kozera.

— Daj pokój—nie trać czasu!

— Panowie, wielka chwila nadchodzi. Zaufajcie moim dobrym natchnieniom. Idę.

— Zaczekajże waryacie: a pieniądze.

— Mam, policzymy się.

Odszedł. Bieluń, zdawało się, nie pojmował dobrze jak się ma zachować. Wszak to tak nieprzewidzianie go zaskoczyło to wszystko, więc patrzył, uśmiechał się niekiedy, a jeśli poważniał, to na myśl, jakie się też na końcu okażą koszta tego dzisiejszego szaleństwa. Ku usprawiedliwieniu go jednakże, czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że przyjmował z rezygnacyą odpowiedzialność swoją w razie niepomyślnego obrotu sprawy, a jakieś wyplątywanie się w złym razie nie przeszło mu nawet przez głowę.

Zgoła nie takie intencye, przynajmniej dla doświadczonego oka Kozery gdyby ich mógł był teraz widzieć— zaradzali tamci obydwa. Fichten miał zachowanie niezwykle poważne, Piątkiewicz uśmiechał się szyderczo, gotów w razie porażki przejść w ton swój rezonerski i wykazać jak na dłoni brak wszelkich zasad Kozery i chwiejność zwy-

kłą Stanisława, który jako należący do rasy zwyrodniałej musiał w podobnej okazyi utykać koniecznie na każdym kroku.

Tymczasem Kozera szedł sobie najswobodniej ku budkom totalizatorowym, i ani myślał, ani rachował, ani przewidywał. Poprostu chwytał jedną z nader rzadkich chwil swobody i bawił się nią, wiedząc, że długo potrwać nie może. Naraz przyszło mu w drodze skrzyżować się z jakąś bardzo krzycząco strojną osóbką, na widok której zatrzymał się, jak gdyby przywołując jakieś wspomnienia. Po minucie takich roztrząsań uderzył się w czoło i szepnął do siebie:

— Julka! no—ktoby to powiedział! A jak mię to zmierzyła oczami, jak gdyby mię nigdy nie widziała w życiu. Zresztą ma racyę, bo moja czapka szczególnie jest kompromitująca nawet na staromiejskim rynku, nie dopieroż tutaj. Mniejsza z tem, Julka wyciągnęła jakiś duży, choć prawdopodobnie nie bardzo zaszczytny los. Ale co to—ogląda się? Przecie nie na mnie—owszem na mnie. Ach ba! Jest oglądanie i oglądanie. Takie jak to nie oznacza wcale intencyi odnowienia

znajomości. Oh! co do tego, to wyraźnie nie chce się ze mną zetknąć i kieruje się w tłum, licząc na zamieszanie się tam. Bądź co bądź, w tem coś jest. Chodźmy za Juleczką, bo na bilet jeszcze czas; konie z ostatniego biegu dopiero wyprowadzają z toru. Wreszcie co ma być— będzie. Nie dobrze jest pozostawiać takie zagadki bez rozwiązania.

Wyraźnie przeznaczonem było, aby Kozera monologował jeszcze chwil kilka, i to nie szczędząc sobie wykrzykników podziwienia. Ktoby go był teraz podsłuchiwał, mógł był poznać, że zatonął całkiem w przedmiocie swojej chwilowej obserwacyi.

— Ależ ona rozgląda się—szuka kogoś—wyraźnie szuka. No, no, co to jest oko kobiece—dojrzała. Idzie prosto ku niemu. A więc to ten. Pociecha doprawdy! Cóż za karykatura! Juleczce zależy wyraźnie, aby jej nie widziano z tym jegomością. Ma racyę, bo też to małpa czysta, przytem obskurnie wygląda. Teraz idą na bok. Co to znaczy wszystko? Patrzajcie, Julka gestykuluje—on się broni, chce odchodzić. Ona

za nim, przywołuje go. Znowu jakaś kłótnia czy jakieś targi. Aha! godzą się, podają sobie ręce. Ładna zgoda! toż on jej grozi! No, każde w swoją stronę teraz. Kto on może być jednakże? Boże mój drogi! Jak też to ta belferka ogłupia ludzi! Pytać się, kim może być ten szympans z klasycznie koszlawemi nogami? Toż to żokiej! Ach! ach! ach! Cały świat myśli! Informacye! W każdym razie jeśli Julka pośpiesza do kasy której, to ja pośpieszam za Julką.

Posłuchał tego natchnienia.

Nie upłynęło całych dwóch minut, a stał Kozera przy budce kasowej nie bardzo w tej chwili oblężonej, stał tak, że bezpośrednio po tej pani czy panience, którą sobie tak poufale w myślach Julką i Juleczką nazywał, on tylko mógł zażądać od kasyera biletu. Pomimo, że dobrze wszystko obliczył, mogło się było obliczenie przy wykonaniu okazać mylnem zupełnie, gdyby nie przytomność umysłu, którą wezwał w pomoc, aby wybrnąć z kłopotu. Dawna znajoma zażądała biletu głosem przyciszonym, zasłoniła sobą

okienko całe, pieniądze miała gotowe i rzuciwszy je, poza szybą zwinęła bilet, pozostawiając dawnemu adoratorowi na pożegnanie gorzko drwiący uśmieszek, wielce charakterystyczny. Adorator jednakże należał do przedsiębiorczych. Skorzystawszy z tego, że kasyer trzymał jeszcze bloczek w ręku, z najnaturalniejszą miną, jednostajnym, przyciszonym głosem powiedział:

— Proszę ten sam i dla mnie.

— Ten sam, który wzięła ta pani?

— Tak jest—ten sam.

— A więc numer 5-ty?

— A rozumie się.

Rownie cicho i ostrożnie jak poprzedniczka jego zwinął bilet Kozera, i zamyślony szedł teraz ku grupie kolegów, szepcząc do siebie znowu:

— Głupstwo—nie głupstwo? Chyba nie głupstwo, bo właściwie mówiąc największem głupstwem, jakiego się dopuścić można w tym labiryncie, jest nie iść za jakąś wskazówką w tym właśnie rodzaju. Na znawstwo koni, na szanse wyścigowe, temperament, humor, stan nerwów konia rachować, jest chyba o wiele głupiej, niż

na stosunek pieniężny między jakimś handlarzem tajemnic stajennych a panienką tej domyślnej pozycyi, do jakiej się prawdopodobnie liczy panna Julia. Jużciż perfuma nie jest to wszystko, ale też na perfumy nie tutaj miejsce. Wreszcie— stało się! niema o czem myśleć.

Wniósł tedy między kolegów twarz swobodną zupełnie, chciał im coś niecoś wymijająco nawet powiedzieć, ale okazało się, że na tłumaczenia nie było czasu," bo ruch poprzedzający bieg już się rozpoczynał. Ożywienie jakieś czuć było dokoła, publiczność tłumniej śpieszyła do kas totalizatorowych; w lożach, na galeryach, w trybunie nawet rozprawiano i gestykulowano zawzięcie.

Młodzież nasza spojrzawszy na trzymany przez Kozerę program, rozpatrywała się w nim, ale ani nazwiska właścicieli stajen, ani niedorzeczne imioniska koni same przez się nie uczyły niczego nieświadomych. Widzieli, że wyścig był z kolei piątym, że koni stawało do niego osiem, ale jakie szanse miał każdy z nich, tego oczywiście odgadnąć nikt nie próbował.

Stanisław po części z ciekawości, a głównie żeby wynagrodzić koledze trud przez niego podjęty, zapytał:

— Pokaż-że nam, który to jest, co wiezie nasze losy?

— Nie wiem jeszcze sam, ale jak się rozejrzę—powiem wam.

— Więc wybierałeś tak na ślepo?

— Ja większą część spraw swoich załatwiałem w życiu na ślepo, a wierzaj, że one to właśnie stanowią tego życia biednego stronę najjaśniejszą jeszcze, co zaś do tej, to...

— No, ale w każdym razie pokaż nam konia, i powiedz o barwach jeźdźca, abyśmy wiedzieli za kim słać mamy nasze westchnienia.

— Zaczekajże... a ot za tym jasnym kasztanem, który się zbliża ku nam.

— Chcesz powiedzieć, że wziąłeś bilet na tego djabelca jakiegoś, który o mało nie wyskoczy ze skóry własnej, i którego prowadzi dwóch ludzi, a jakaś małpa trzecia przyodziana kurtką żółtą w fioletowe pasy skrada się do niego z niezdarstwem stajennego chłopaka.

— Tak, to będzie chyba ten. Czy ci się nie udaje?

— Mieszczuchu! Tylko takiemu jak ty frycowi darować można podobnego bąka — wołał rozbawiony szczerze Stanisław.—Stajnia nieznana, szkapa obskurna, a jeździec typowy Maciek—niechże cię! Daj buzi, niedołęgo jeden.

— Ostrzegałem dzisiaj na rannych galopach, że ten waryat popsuje start do dziesiątego razu przynajmniej — mówiła jakaś powaga sportowa, mijająca w tej chwili naszych znajomych.—To nie można robić ludziom podobnego kłopotu. Nie zabawka żadna przecież...

— Ot masz kolega—mówił Fichten— to ci dopiero oceniają faworyta twego! przygotuj że portfel jaki, bo w żadną z naszych studenckich portmonetek nie pomieścisz wygranej.

— No, a gdybym was wypuścił ze współki? — przedrwiwał Kozera — co do mnie, ja gotów jestem.

— I ja również — odezwał się Piątkiewicz.

— A ja... — zaczął Fichten — ale mu odrazu wpoprzek przejechał Stanisław.

— Dalibyście pokój! to się nazywa psuć uciechę. Ta gra, czy inna gra, to zawsze emocya... Współka stoi, i basta!

— Będą tu emocye—wtrącił drwiąco Bieluń.—Patrzajcie, co się tam dzieje.

W istocie przy starcie mieszały się konie; ruszały z miejsca i powracały, starter niecierpliwił się, rzecz przewlekała, ale w końcu świadomy profesyi swojej pan pochwycił je w chwili, kiedy się zgrupowały jako tako, chorągiewka zamigotała, dzwonek zawtórował jej ruchowi, i niebawem cała kalwakata jak wicher zerwała się z przed oczu publiczności.

— A to jest emocya numer drugi— szydził w parę sekund potem Piątkiewicz, widząc, że kasztan odmawia skoku przy pierwszej przeszkodzie.

W istocie przy barjerze najbliższej trybuny, podczas gdy siedem koni pędziło już po torze, poza nią osławiony kasztan, naglony przez jeźdźca, powracał teraz, aby zyskać potrzebny rozpęd, i zażyty nareszcie ostrogą, przesadził przeszkodę, ale dokonał tego w każdym razie w chwili, kiedy tamci dobiegali już, o ile

na oko sądzić było można, czwartej części obwodu toru. Strata na czasie była niewątpliwie ogromna—niepowetowana.

— No, próbuj jeszcze kasztan! — szydzili po grupach rozmaitych ludzie.

— Próbuj, wprawa pozestanie ci w zysku. Odbijesz się na jesiennych wyścigach.

— Oh! jak teraz bez namysłu przesadził drugą—zwrócił ktoś uwagę.

— Ależ on się wyciąga! — zauważył inny.

— A żeby on się rozciągnął nawet, to mu to nie pomoże.

— Dajcie pokój, dyabeł nie śpi, chociaż co niepodobna, to niepodobna.

— Uważajcie, to jest jednakże pocisk w biegu—nie koń.

— A żeby on tam skrzydła miał u nóg, to na nic. Wyścig przechodzi poza połowę dystansu, a gdzie on.

— Trzymam za kasztanem!—odezwał się ktoś nagle, bo rzeczywiście nie dochodząc do trzech czwartych obwodu elipsy, kasztan zbliżał się z szybkością

strzały do grupy, trzymających się równo mniej więcej, reszty koni.

— Pioruny! patrzaj kto może! — dopadł kupy!—schował się w niej!—nie widać nic...

Zrobiła się cisza taka, że słychać było przedwieczorowy pobrzęk komarów, a niebawem wyłaniać się poczęła z tumanu—zrazu mniej wyraźnie, a z chwilą każdą zwiększając odległość, żółta w fioletowe pasy kurtka żokieja, a pod nią wyciągnięte—niby płynące po nad powierzchnią ziemi — niby unieruchomione w natężeniu najwyższem zwierzę o roziskrzonem spojrzeniu, o krwawych chrapach—zwierzę, które jeździec trzymał teraz w cuglach, pragnąc mu oszczędzić zbytecznego już wysiłku.

Wśród szalonych oklasków, jakimi tłum witał nieoczekiwanego tryumfatora, znana nam grupa ludzi młodych przedstawiała widowisko całkiem odrębne—może nawet w tym wielkim tłoku ludzi zupełnie wyjątkowe. Cztery pary oczu młodych zwracały się teraz na Kozerę, każda z odmiennym wyrazem, a przeto z różnemi zapewne uczuciami.

Bieluń obserwował go ciekawie tak, jak gdyby w nim odkrył nowy rys charakteru, talent nieznany, a może siłę tajemną, dzięki której mógł on dokazywać rzeczy innym ludziom niedostępnych.

Piątkiewiczowi chodziło o to, jakimby sposobem, bez wyraźnego zblamowania się, zatrzeć można w pamięci obecnych jego ochotę wycofania się z hazardu, a Fichten, któremu Stanisław niedopuścił wypowiedzenia całej myśli, winszował sobie szczerze, że ma teraz pozycyę o wiele od Piątkiewicza awantażowniejszą, ba! nawet gotów był wmówić w siebie, że wogóle dzisiaj Kozery przymówkami wcale nie rozdrażniał. Tylko Stanisław jeden po ochłonięciu z pierwszego wrażenia parsknął szczerym, serdecznym śmiechem, a zwracając się do zadumanego Kozery z komiczną powagą wyrecytował:

— Cześć wszelkiemu dziełu ludzkiemu poczętemu w obłędzie.

— Teraz i zawsze i na wieki wieków — odpowiedział mu interpelowany, niezupełnie mogący się otrząsnąć ze swojej zadumy, w którą go pogrążył ten

trudny do wiary dla wszystkich obrót sprawy.

— Ale ó czemże ty myślisz, czarowniku. Wyglądasz tak, jak gdyby dokonanie tego, co się stało kosztowało cię naprawdę, a raczej jak gdyby ci nie zupełnie było po myśli.

— Ani jedno, ani drugie, tylko widzisz — mówił teraz powoli i z wahaniem Kozera—tak mi jakoś przyczepiło się do głowy niespodzianie, że jeśli dawniej wierzono w hasło: *per aspera ad astra,* to dzisiaj możnaby nieledwie powiedzieć: *per turpia ad astra*, jeśli wogóle na wyżynach gwiazdowych stawia się to, co w danej chwili stanowi najwyższy szczyt pożądań ludzkich.

— Nie mogę powiedzieć, żebym zrozumiał—mruknął Fichten ironicznie.

— Przetłómaczone na język polski znaczy to, że wielki gościniec do zrobienia fortuny jest tak natłoczony, iż kto się tam chce dostać do końca, najlepiej zrobi, jak pójdzie przez ścieki.

— Teraz już wcale nie pojmuję. Nie widzę fortuny, nie widzę ścieku, nie widzę nic z tego, o czem kolega raczysz

mówić, i tłómaczę to sobie obowiązkowym nastrojem, jaki przybierają wszelkie wyrocznie. Kolega jesteś jedną z takich; czytałeś, jak się przekonywamy, w gwiazdach losy tego hipogryfa, i dlatego nie możemy tego koledze brać za złe...

— Zwłaszcza — kończył Stanisław — gdy wynik ostateczny prowadzi nas do kolacyi, i to nie w żadnym obskurnym ogródku, jak to zwykle miewa miejsce w naszych dniach uroczystych, ale do kolacyi w miejscu uprzywilejowanem, stosownie do tego, jak nam okoliczności i uśmiechy dzisiejsze fortuny wyraźnie wskazują.

— Radziłbym jednak obliczyć natężenie tego uśmiechu—doradzał roztropnie Bieluń — dary takie bywają zwodnicze i zawsze rozważniej byłoby...

— Żadnej rozwagi—żadnych tak zwanych roztropności! Nie rozwaga ani roztropność sprowadziła nas tutaj, z pewnością—nie rozwagą kierował się Michał, biorąc bilet na konia, z którego żartowali wszyscy; niechajże tedy dzień dzisiejszy kończy się jak zaczął, bo inaczej nie wypłacilibyśmy się losowi należytą ufnością.

a ja zaczynam się przekonywać, że ten kapryśnik waryatów tylko bierze w opiekę. Zabieram więc was trzech i jedziemy na plac Teatralny, a Michał policzywszy zdobycze przyniesie je na miejsce schadzki, albo w potrzebie przyniosą je za nim niewolnicy, rozumie się na wypadek, gdyby ciężar gotowizny przechodził jego siły. Wszak zgoda?

— Jedźcie — potwierdził Kozera, nie wiedząc dobrze dlaczego to mówi, ale szczerze pragnąc samotności—w kwadrans jakiś zapewne po was będę i ja, bo prawdopodobnie szybko załatwiają się tutaj te ich porachunki z grającymi.

Po raz pierwszy znajdował się Kozera na wyścigach po tej stronie toru, tem mniej znał się na zwyczajach przyjętych w grze totalizatorowej, ale prawdziwe dziecko Warszawy wie zawsze o wszystkiem, co dotyczy życia miejskiego, choćby nawet to życie niedostępnem dlań było zupełnie. To też wiedział Kozera, gdzie iść należało po odbiór pieniędzy, a nawet nie było mu obcem, że na budkach wyczytać można wywieszony rezultat biegu— mianowicie numer konia wygrywającego

i ilość wygranej przypadającej na bilet. To wszystko znał oddawna z tysiącznych opowiadań rówieników, które mu się różnymi czasy obijały o uszy, a mimo to biorąc razem wszystko, nawet wartość takiej tajemnicy, jakiej posiadaczką była panna Julia, dobrze wytrzeszczał oczy, aby uwierzyć, iż obok 5 stoją spodem nie dwie ani trzy, ale cztery cyfry z zerem na końcu. Cyfra 1,420 rs. była to niewątpliwie jedna z najwyższych niespodzianek, jakie się na tutejszym torze wydarzyły—niespodzianka polegająca całkowicie na słabem, a raczej prawie żadnem obstawieniu konia, na którego nikt nie liczył, a który mimo to posiadał przymioty potrzebne do odniesienia zwycięstwa.

— A to casus — mruczał Kozera do siebie, chowając wygranę do kieszeni— niechże ich dyabeł ma w swojej opiece! Zrobiło się ś.....o, bo zrobiło, ale jeśli ja umiem przewidywać, może się ono przydać na coś temu biedakowi naiwnemu. Bo że moi społecznicy zdadzą przy tej okazyi egzamin z bezinteresowności, nie-

złomności zasad, i tak dalej, to jest chyba tak pewnem, jak dwa a dwa cztery. Co za widowisko będzie—nie, nie żałuję niczego! Ja już widzę twarz każdego z nich, kiedy będzie chować pieniądze do kieszeni, a te pieniądze same! Mój Boże, toż to na każdej paczce możnaby z góry nalepić etykietę jako horoskop. Bieluń jako Bieluń—co do niego wróżba nie kłopotliwa; on sobie w duchu przemówi do nich: „nie rychło zobaczycie wy światło Boże, chyba kiedyś w dnie wypoczynku, kiedy was przeliczę dla satysfakcyi.“ Fichten to co innego zupełnie; za tego to już dyabeł powie słowami Pisma: „rozmnożycie się i będzie was jako piasku w morzach, a gwiazd na niebie.“ I to się sprawdzi. Najgorsza rzecz z tym trzecim. Temu dać środki do ręki, to tak jak gdybyś mikrobowi dał kulturę, i to mi dyabeł na dusisku mojem zakarbuje najgłębiej, chyba się tem wykręcę, że licho rychlej zrzuci maskę i pokaże czem jest. Pokazać, pokaże on zawsze—i on i tamci, ale co tymczasem gapiów nałapie się w ich sieci, to strata oczywista. A mnie tego gapia mojego szkoda największa.

Nie każdy idyota ma tyle dobrej wiary, co on. No, jedźmy!

W jakieś trzy kwadranse może po rozstaniu się z kolegami znalazł ich wszystkich Kozera wedle wskazówki, w nizkich dwuszybnych antresolach teatralnego gmachu, znalazł z oczyma wlepionemi w drzwi wchodowe, co podejrzliwcowi takiemu jak on dawało do zrozumienia, iż oczekiwanym był tym razem szczerzej niż kiedykolwiek.

— Bez niewolników! — przychodzi sam — mruknął pojednawczo, a nawet dosyć przyjaźnie Fichten, jak gdyby mu się dziś osoba Kozery wydała o wiele mniej antypatyczną niż codziennie.

— Jeśli nie wziąłem niewolników, to dlatego tylko, żeby nie obrażać zasad zgromadzenia, ale że niosę ciężar nieoczekiwany przez nikogo, to fakt. Mógłbym z wami robić zakłady co do wysokości wygranej, a żaden śmiałością nie sięgnąłby tak daleko.

— Więc mów, okaż się tryumfatorem umiarkowanym.

Kozera z komiczną powagą złożył pieniądze na stole, obrzucając zebranych

spojrzeniem, któregoby mu niejeden sędzia śledczy mógł pozazdrościć. Patrzyli oni na te banknoty, patrzył on na nich, a ktoś z boku miałby był wyższą jeszcze, niż sam Kozera satysfakcyę, bo obserwacyą ogarnąćby mógł i samego inscenizatora tej komedyi, który zdawało się, że za wszystkie bezowocne do rozsądku Stanisława dotychczasowe kołatania, dzisiaj chce sobie odwet wymierzyć. Wesoły był, szyderczy, urągliwy niemal, ale się zdawało, że mu dzisiaj i szaleć i szydzić, i urągać nawet wolno w tem kółku, tylko pozycya nie była ostatecznie zdecydowaną. I Fichten i Piątkiewicz mieli w pamięci świeże żarty, jakich się na placu wyścigowym względem Kozery dopuszczali, a nadewszystko nie mogli zapomnieć, że tak znowu zupełnie stanowczo nie wyraził się z nich żaden co do swego współudziału czynnego w proponowanym przez niego hazardzie. Wprawdzie przemawiał Stanisław w imieniu wszystkich, ale wszak nikt nie potwierdzał tego. Mogłoby więc być kłopotliwem, gdyby teraz Kozera chciał oddać pięknem za nadobne, i poruszył te wątpliwości.

To też Fichten pozostał przy swoim trochę szyderczym, niewyraźnym uśmieszku na twarzy, Piątkiewicz miał wyraz, który można było nazwać bardzo niedobrym, bo odbijał on tym razem całe wnętrze mętne jego istoty: drapieżną chciwość i zuchwalstwo. Bieluń stał zaczerwieniony, ciekawy, a jak się zdawało niecierpliwy, aby nareszcie skończyło się wszystko w tę lub ową stronę.

Zabawiwszy się prologiem tyle wiele należało, zaczął Kozera, ale zaczął powoli, z wyrachowaniem, ociągając się z każdem słowem.

— A teraz, panowie szanowni, przystąpmy do czynności najważniejszej. Jakkolwiek niema tu między nami—o czem najmocniej przekonany jestem—ani jednego indywidualisty, ani takiego, któryby tych znikomych znaczków bogactwa nie rad widział jak najrychlej zamienionych w bony wydawane na pracę, to przecież ze względu na okoliczności całkiem wyjątkowe, zgodzicie się zapewne w zasadzie na konieczność podziału tych łupów, które

udało się nam—ludziom zasad, wydrzeć z nieczystych rąk burżujów, synekurzystów i mamutów. Ta konieczność narzuca się sama przez się.

— Michale, dlaczego mieszać sprawy poważne do żartów—upominał przyjaźnie ale z wyrzutem Stanisław. — Bawimy się, jesteśmy weseli—nie zatruwaj nam dnia twoim humorem szubienicznym.

— Ja nie żartuję wcale—ja mówię seryo. Jesteśmy ludźmi zasad w całem znaczeniu tego słowa—my albo nikt, obstaję przytem, i dlatego w imię solidarności społecznej, którą każdy pielęgnuje w sercu i stawia wyżej niż wszelkie tak zwane przykazania, proponuję, aby... podzielić 1,420 rs. na... niechaj powie kto... na.... a tak... na pięć części równych z potrąceniem wszakże, co sobie zastrzegam, jako najlichszy między wami altruista... rubli 10 na korzyść moją, gdyż, o ile przypominam sobie, forszusowałem na bilet. A zatem komu z prawa przypada rola, niechaj dzieli!

Fizyonomie poczynały się rozjaśniać. Kozera używał. Miał widowisko, a nadto

nie przypuszczał, aby Stanisław nie zdołał nic zaobserwować tym razem.

— Z prawa przypada tobie...

— Mowy o tem być nie może; mam swoją matematykę, która mi usługuje opłakanie, przytem jestem cygan z powołania, a takich nie zaszczyca się prawem szafunku dóbr tego świata. Ty nie powinieneś także, bo jako zwyrodniały...

Widząc na co się zanosi, przerwał Stanisław:

— A mimo to ja biorę to na siebie i zaczynam dzieląc po chłopsku i pozostawiając przewidywaną ilość pod serwetą, gwoli zapłacenia rachunku. Pozostałość z niej rozdzieli znowu ten, kto przy akcie ostatnim posiadać będzie najwięcej przytomności. Za siebie nie ręczę, i to mówię z góry.

Sądząc z tego, w jaki sposób zabierano się do ucztowania, nie było do przewidzenia, aby się znalazł choć jeden z biesiadników, któryby resztę pieniędzy podzielić mógł przytomnie. Młodzież gorączkowo spełniała kielichy, i chyba jeden Bieluń, który miał widać głowę mocną na wszelki użytek, a także Kozera, który bladł coraz

więcej—chyba ci dwaj zdolni być mogli do jakiejś sprawy, wymagającej rozwagi i namysłu. Fichten z Piątkiewiczem zarzucali teraz uprzejmościami Kozerę, który patrzył na nich w tak szczególny sposób, jak gdyby im na ostatek jeszcze jakąś niespodziankę za ich przyjazne uśmiechy gotował, a Stanisław rozserdeczniał się i fantazyował tak, że całą uwagę Kozery skupiał teraz na siebie, bo folgował już na dobre raz na zawsze powziętemu kierunkowi myśli, i robił to z tak dobrą wiarą, że nawet on, jego surowy sędzia, nie mógł się w tej chwili gniewać na niego w duszy tyle, co zwykle.

— Ot, ten to po trzeźwu i nie po trzeźwu zawsze jest sobą—mruczał w połowie do siebie, uderzając go tylko od czasu do czasu energicznie po ramieniu, gdy się za bardzo zapędzał.

— Wiecie, mam myśl—zawołał naraz Stanisław.—Dzień taki, jak dzisiejszy, nie powinien przejść bez śladów. Jestem przesądny i zdaje mi się, że pieniądze z rodzaju tych, jakie mamy w kieszeni, powinny mieć w sobie talizman pewien.

— Żadnego talizmanu nie mają—szyderczo a z przekonaniem przerwał Kozera.—Te pieniądze nie są nawet wygrane, to są pieniądze zabrane, jeśli mamy mówić grzecznie, a jeśli idzie o to, aby zbliżyć się możliwie do prawdy, to skr...

Nie dano dokończyć mówiącemu, zakrzyczano, że jest pijany bardziej niż inni, żartowano z jego słabej głowy, a kiedy się uspokoili wszyscy ile tyle, Stanisław kończył myśl zaczętą.

Mówił, że właściwie użyćby ich należało na jakiś cel, co wywołało chmurę głośnych protestów, szyderczych wycieczek, a wreszcie rozsądny Bieluń zwrócił uwagę, że taka bagatelna kwota za żaden zaczątek uważaną być nie może, że to nie jest grosz, któryby w dzisiejszych warunkach zaważył, i tak dalej zbijał każdy, komu zależało, aby pieniądze zostały w jego kieszeni, tylko każdy używał innych argumentów do odrzucenia wniosku, i z innych wychodził założeń.

— A więc dobrze—wołał teraz mówca — zgadzam się, że to jest drobiazg; mówiłem wam, że mam przesądy, a nie zrobiłem wzmianki, że mam przeczucia,

które mię nigdy jeszcze nie zawiodły. W tej chwili coś mi szepcze...

— Wino ci szepcze—przerwał Fichten.

— Ono i mnie szepcze, żeby pójść spać — żartował Piątkiewicz, który wolał zgromadzenie opuścić, niż narazić na szwank to, co miał za swoje, a na co ten waryat zdawał się koniecznie obmyślać jakieś nowe zamachy.

— Nie przeszkadzajcie!—dajcie mi skończyć—wołał Stanisław z uporem podchmielonego—ja rozumiem, że to jest bagatela, ale ja i to wiem, czem byłyby środki znaczniejsze w ręku ludzi przekonań— w ręku ludzi takich jak my...

— Oh... tak!—koniecznie takich jak my—obstaję przytem — wtrącił bezczelnie Kozera, którego to „my“ nieszczęśliwe podrzucało w górę, ile razy je ktoś z członków tej grupy miał śmiałość wymówić w jego obecności.

— Naprawdę dajcie mu skończyć — perswadował Bieluń—bo jego rozsadzi ta jego myśl, a przytem zanadto głośno krzyczy; niechże powie raz nareszcie.

Zmonitowany za podnoszenie głosu, starał się teraz Stanisław przybrać minę poważną, i tonem, który, jak mu się zdawało, trafić był powinien do przekonania wszystkich, opowiadał długo i szeroko o planach, z którymi się nosił oddawna, a na które, wedle tego co sam widzi, czekać będzie musiał aż do objęcia majątku. A tu każda chwila, zdaniem jego, była ważną, i gdyby ją czemkolwiek przyśpieszyć było można, żadnym środkiem nie należało gardzić.

— My też nie gardzimy, wierzajcie mi—wtrącił znowu Kozera,—Ja wam to nawet opowiem potem szczegółowiej, bo początek zrobiliśmy dziś już na tej drodze wcale dobry, ale mów, bo to już za długo trwa, więc chociaż wiem z góry o co chodzi, ale... „skoro słyszeliście, więc... posłuchajcie jeszcze.“

— Otóż stawiam kwestyę, czy nam należy starać się o środki?

— Ależ koniecznie.

— Choćby z pod ziemi.

— Choćby z piekła wydobyć.

— Bardzo pięknie. Do tego celu niczego nie wolno nam zaniedbywać.

Wiadoma rzecz, że pieniądz robi pieniądz, wiadomo i to, że są jedne grosze skazane na bezpłodność, i inne, które się mnożą stokrotnie, wreszcie cel jest celem, a szansa jest szansą—im więcej szans za nami, tem bliżsi jesteśmy celu.

— Mówże wyraźniej do kaduka, bo nie dojdziemy końca.

— Wyraźnie? dobrze—powiem wam. Za tę wygraną sumę kupmy pożyczki premiowej...

Teraz nikt nie myślał już o pozwoleniu na resztę wniosku, i oprócz Kozery, którego twarz wyrażała współczucie—na wszystkich innych malował się wprost wyraz gniewu.

Myśl była z piekła prawdziwie, a pierwszym do niej szczeblem oczywiście wydobycie z kieszeni tego, co się tam dostało tak niespodzianie i wbrew wszelkim przewidywaniom. Zwalczano tedy myśl samą, argumentowano seryo, uciekano się do żartów, a ktoś tam nawet, niewiadomo tylko kto, nasunął wątpliwość, azali źródło, z którego wyszedł pieniądz, było dosyć moralne, odnośnie do czystości założenia.

Zdaje się, że tym razem zręczny ten zwrot udał się Bieluniowi, który w ten sposób samego Stanisława w zapale na chwilę przynajmniej powstrzymał.

— Jakkolwiek nic nie mam przeciw ostatniemu zarzutowi—odezwał się Kozera — to przecież nie widzę powodu, dla któregobyśmy mieli wstrzymywać się od zrobienia tej małej satysfakcyi poczciwemu koledze naszemu. Skoro jednakże widzę opozycyę tak jednomyślną i tak gorącą, pozwalam sobie zrobić pewną modyfikacyę w jego wniosku, a mianowicie tę: on chce dużo premiówek, a jabym zaproponował szanownemu zgromadzeniu jedną tylko. Jeśli dyabeł będzie chciał, to wystarczy tej jednej, a jak on pokręci głową przecząco, to i sto takich nie pomoże. Kupcie jedną! Co zaś do tego dyabła i jego decyzyi w tej sprawie ostatecznej, to wierzajcie, sądząc po metodzie, jaką się ten potentat posługuje w dziełach swoich, ja myślę, że wygrać powinniśmy.

Jeszcze potem sprzeczano się trochę, jeszcze więcej lub mniej wymownie bronił każdy swojej części dzisiejszej zdobyczy,

ale w końcu rozstrzygnął rzecz Kozera, który znudzony już należycie, wziąwszy wczorajszy kurs z „Kuryera,“ położył przed Stanisławem część na niego przypadającą. Nie było już tedy miejsca na dalszą opozycyę, zresztą roztropniej było przecież zatrzymać cztery piąte przy sobie, a jakąś tam jedną piątą rzucić na ofiarę uporowi i głupstwu, aniżeli pozwolić warjatowi wytaczać pretensye do całości.

Chociaż przyzwoitość nie była tutaj względem rozstrzygającym, ale bądź co bądź, nie wszystko ominąć można na świecie—zwłaszcza pomiędzy ludźmi zasad, jak zwykł był mówić Fichten przy każdej sposobności. Stanisław uważał myśl za tak tryumfalną, że postanowił utrwalić ją na piśmie i zażądawszy arkusza papieru zredagował treściwy akt spółki. Zrobił przytem wzmiankę o przeznaczeniu ewentualnej wygranej w wyrazach tak mglistych, że każdy mógł przez ich treść co innego rozumieć, co wszystko razem podpisali obecni więcej lub mniej wyraźnie, wedle tego, jak komu służyły wzrok i ręka. Dano te podpisy jednakże z chęcią, byle tylko już nareszcie raz był

koniec; Stanisław obiecał jutro kupić tytuł jeden pożyczki, przyczem Fichten, przesądny jak wszyscy jego współwyznawcy, zrobił wniosek, aby koniecznie Kozera nie kto inny wybrał numer.

— Alboście się popili doszczętnie, alboście pogłuchli, wmawiając we mnie z takim uporem to jakieś moje szczęście, mimo wszystkich wyjaśnień moich—bronił się jednakże ostatni. Wieleż razy mam wam powiedzieć, że to nie jest żaden wypadek losowy, to co się stało dzisiaj.

— A więc cóż to jest? — pytał Stanisław naprawdę już teraz zdekoncertowany.

— Św.....o jest—więcej nic. Nie podsłuchałem, bo to już zanadto byłoby szpetne na mnie, ale podpatrzyłem, co nie jest znowu tak o bardzo wiele lepsze, tylko może nie tak potwornie brzmi w słowie, jak tamto. Cóż wpatrujecie się we mnie, jak gdybyście nie rozumieli?

— Mistyfikacya!

— Żarty wolne z naszej łatwowierności!

— Ależ kolega masz wyobraźnię! — mógłbyś nowele pisać.

— Dobre sobie jest to wszystko! Więc nie wierzycie? tak dalece mi ufacie i tyle mam uznania u was, że nie przypuszcza żaden, abym ja się mógł dopuścić czegoś nielojalnego. Wszak to chcecie powiedzieć? No tak jest, o ile widzę, a więc pozwólcież sobie podziękować za to jak należy. Oto powiem wam krótko a dobitnie, a powiem przetłómaczonem na nasz język przysłowiem francuskiem.

— No powiedz kolega to przysłowie, kiedy ci tyle na tem zależy—ulżyj sobie.

— Niema bardziej głuchego, jak ten, który nie chce słyszeć—rzucił na odchodnem szyderczo Kozera, i mimo protestów słownych, i czynnych nie dał się już namówić na powrót.

Utrzymywał kiedyś w obecności Stanisława, że u niego trącanie się kieliszkiem obowiązuje. Może w tej chwili nie miał już ochoty do żadnych z członkami zgromadzenia oznak braterstwa, choćby nawet wobec kieliszka.

Nazajutrz wczesnym rankiem znalazł się w mieszkaniu Kozery Stanisław. Spodziewanym był tutaj, a cel tych odwiedzin

aż nadto przewidywał starszy kolega. Rozmawiali długo, Kozera opowiedział wszystkie szczegóły zajścia na polu wyścigowem, a opowiadał, dodając faktowi cynicznego zabarwienia, może nawet trochę przesadzając jego antyetyczną i szpetną stronę. W każdym razie bez żadnej nawet przesady pięknem, a choćby tylko ściśle lojalnem nazwać tego było niepodobna.

— Cóż ty zrobisz z temi pieniędzmi?

— Nie wiem — to pewna, że ich nie zatrzymam przy sobie.

— Ale co zrobić?... możeby opłacić jakie wpisy... albo coś podobnego...

— Chyba coś bardzo mało podobnego do wpisów. Ja, widzisz mój drogi, należę do liczby tych, za których płacono wpisy, a zdaje mi się, że nie byłbym się zgodził na korzystanie z grosza w ten sposób pozyskanego.

— Masz racyę. Poszukamy razem przeznaczenia. Ale uważaj—możeby powiedzieć i tamtym?... Jak myślisz?

Kozera dał do zrozumienia co myśli, wybuchając śmiechem na tę propozycyę.

Stanisława uraził ten śmiech dotkliwie.

— Słuchaj—jesteś uprzedzony, a przytem zawzięty...

— Jesteś nieuleczalny, to ci jedynie powiedzieć mogę, skoro nietylko jawne niepodobieństwa i nieprzyzwoitości nie rażą twego moralnego zmysłu, ale nawet fakta najwymowniejsze nie mogą cię do oprzytomnienia przywołać. Czy ty zupełnie nietrzeźwy byłeś wczoraj?—czy na nich wcale nie patrzyłeś?

— Ale co w ogóle w tym stosunku naszym koleżeńskim wydaje się tobie niepodobieństwem? — pytał Stanisław, wyraźnie nie chcąc poruszać tego, co w istocie i jego wczoraj nabawiało pewnego niepokoju.

— Zrobienie człowieka idei—jakiejkolwiek idei, tak dobrze z Piątkiewicza jak z Fichtena.

— A nieprzyzwoitością?

— Nieprzyzwoitością jest wogóle pakowanie między ciebie, Bielunia i mnie jakiegoś Fichtena—tego czy innego nb. Fichtena w charakterze inspiratora. To

bo jest gorsze od nieprzyzwoitości, to jest absurd i śmieszność!

— Gdybyś chciał być cierpliwym...

— Jestem cierpliwym i postanawiam czekać cierpliwie. Że przewidzisz kiedyś, nie wątpię, bo wreszcie oni się o to postarają sami—przekonany jestem. Alboż mało zrobili wczoraj?

Rozstali się, dosyć dzisiaj niezadowoleni z siebie i ci obydwaj.

Stanisław kupił tedy pożyczkę premiową i dodawszy do niej arkusz papieru opatrzony podpisami, włożył to wszystko w kopertę, a zakleiwszy, doświadczył zadowolenia pewnego na myśl, że mu tych przykrych chwil nic tak rychło nie przypomni.

* * *

Cały ów epizod żadnych jednakże śladów znaczniejszych w znajomem nam gronku młodzieży nie pozostawił. Kozera przepuścił jeszcze raz z rozmysłem jakieś dwa egzaminy, dając sobie słowo, że po roku ostatecznie z życiem studenckiem pożegnać się wypadnie. Bieluń nie

ruszył się na wakacye z Warszawy, a Piątkiewicz z Fichtenem uzyskawszy trochę wolności ruchów, robili jakąś wycieczkę wielce tajemniczą, o której celu jeden Stanisław powiadomionym być miał— niby w drodze szczególnego zaufania. Cel ten jednakże był w istocie tak mało prawdopodobnym, że o nim wspominać nawet nie warto. Mogli temu poczciwcowi zresztą powiedzieć, że jadą na Saturna dla rozejrzenia się w tamtych stosunkach robotniczych, a przy bielmie, które wbrew wszystkim wysiłkom Kozery uwziął się biedak nosić na oczach, byłby i w to jeszcze uwierzył z pewnością wszelką. Sam nie mógł im towarzyszyć, bo zostawienie ojca na miesiące letnich wakacyi równałoby się prawie zerwaniu, o czem oni wiedząc aż nadto dobrze, mistyfikowali go z całem bezpieczeństwem, podnosząc się w jego oczach do bohaterstwa nieledwie. Sam on też czuł się wobec nich tak małym i nieznaczącym, tak się skurczył w moralnej istocie swojej, jak gdyby na każdym kroku przepraszał ich za to, że nie miał zaszczytu wyjść z mętów społecznych, które oni pozostawiali za sobą.

Bywają takie na wywrót wynicowane sytuacye w żywotach zbiorowych młodzieży dzisiejszej, w których wnukowie onych niegdyś butnych a nieprzystępnych nad miarę nieśmiało żebrzą o kącik przy ognisku fałszu, z pietyzmem prozelitów wyprzedzając prowodyrów, śmiejących się niewątpliwie na gardło całe poza ich plecami z tej maskarady demonicznej.

Przychodziło niekiedy między panem Joachimem a Kozerą do wymiany zapatrywań w tej sprawie, i co było najdziwniejszem, to że i w opozycyi przeciw kierunkowi całemu równie pozamieniane były role między tymi dwoma ludźmi— wbrew wiekowi, położeniu towarzyskiemu i obowiązującemu doświadczeniu życiowemu. Pana Joachima, który Stanisławowi ani jednem słowem nie dał do zrozumienia, co sądzi o jego stosunku osobistym do kolegów, doprowadzało to do gniewu, a ten gniew właśnie dlatego że tłumiony siłą wybuchał przy każdej sposobności zetknięcia się z tym, który z całego grona sam jeden był mu konfidentem.

— Mnie to dziwi — mówił razu pewnego Michał—że pan ma na to wszystko tak mało wyrozumienia.

— Wychowałeś się w ich zaduchu, toż z konieczności wytrzymalszym być musisz odemnie, a przytem ja mam dosyć tej dyssymulacyi i z ojcem i z synem jednocześnie—na dwie strony.

— W takim razie, możeby wyjść z milczenia.

— Dziękuję—ładną mi rolę naznaczasz.

— No, ze Stanisławem chociażby...

— A dajże pokój—on tu bodaj winowajcą głównym.

— On jeden wierzy między wszystkimi.

— Co mi z jego wiary. Gdyby nie jego cielęca ufność—jego i jemu podobnych, ci jegomoście gadaliby do ścian chyba; zresztą prawdę mówią Francuzi: *C'est la stupidité des dupes, qui fait la friponnerie des dupeurs.*

Takie myśli wymieniali między sobą ci ludzie z dwóch krańców epoki, a nie zbywało im na materyale do pogawędek podobnych, bo rzeczywiście sprawy te nie

stały na miejscu, i kółeczko zyskiwało na przybyszach coraz to nowych, między którymi rej wodzili po dawnemu Fichten z Piątkiewiczem, a mieszkanie Stanisława jako najobszerniejsze dawało wieczorami całymi przytułek tej wrzaskliwej rzeszy.

— Oswoiłem się z tem, jak z pyłem węglowym Warszawy i turkotem dorożek po jej kamiennym bruku—odzywał się nieraz w tonie rezygnacyi pan Joachim do Kozery.

Tak mniej więcej upłynął cały rok następny—drugi z kolei w życiu uniwersyteckiem Stanisława. Teraz na wakacye uszło mu już jakoś nie pojechać do domu; upretekstował on tę nieobecność swoją koniecznością dłuższej wycieczki o charakterze ekskursyi botanicznej po różnych okolicach kraju.

Co w tej wycieczce miał do roboty Fichten i Bieluń, którym tak drobiazgowa znajomość flory miejscowej dosyć była obojętną z natury ich pracy—co nadewszystko sposobiący się do karyery prawniczej Piątkiewicz, to już była rzecz, którą

ci panowie między sobą usprawiedliwili zapewne zupełnie wystarczająco.

Kozera mówił, że jedzie zedrzeć swoje ostatnie buty studenckie, a że to właśnie było po skończonych egzaminach i dyplomie, więc i dla rozpędzenia spleenu i tremy zarazem, których go nabawiało obowiązkowe rozpoczynanie jakiejkolwiek karyery urzędniczej czy obrończej. Dla jednej zarówno, jak dla drugiej żywił w cygańskiej swojej duszy zdecydowaną niechęć, jeśli nie gorzej jeszcze.

Wybierano się na kilka tygodni, a że Stanisław mimo wieku młodego porządnym był dosyć i metodycznym we wszystkich osobistych swoich sprawach i interesach, więc nie omieszkał papierów, świadectw i przedmiotów wartości oddać na ten czas do przechowania stryjowi. Między nimi zaledwie rzucił okiem na kopertę, przyszła mu myśl, iżby na wypadek jakiś nieprzewidziany napisać na niej „Depozyt“, i z tym napisem wręczył ją panu Joachimowi, nie objaśniwszy nawet o jej zawartości, a tem mniej o sposobach, przy pomocy których przyszli wspólnicy do jej posiadania. Takich

tajemnic nie powierza się człowiekowi obcemu zasadami, a zwłaszcza nieumiejącemu poznać się na dążeniach ludzi przekonań—prawdziwych przekonań. Wieleby on to uwłaczających komentarzy i hipotez wysnuł sobie z tego wydarzenia—strach było pomyśleć! Oddał więc milcząco ten plik papierów cały, który pan Joachim przy nim zaraz w osobnej tece, a tekę we wnętrzu obszernego biura umieścił. Ponieważ zaś poprzedniego dnia odebrał był Stanisław list z domu, w którym użalał się ojciec jego na niepomyślny wogóle stan zdrowia swego, więc na żądanie stryja, miał mu dnia tego po południu, po porozumieniu się z kolegami, wręczyć notatkę, w której główne przynajmniej etapy wycieczki wraz przypuszczalnem do nich przybyciem podróżników oznaczone być miały. „Prosta formalność," powiedział potem pan Joachim Stanisławowi, wsuwając notatkę poza ramę ściennego kalendarza.

Cisza, nieznośna cisza zapanowała w domu starego samotnika po odejściu młodych. Upalne dni Lipcowe powiększyły o wiele jego zgryźliwość, a spożywany

bez towarzysza obiad wywoływał nastrój umysłu odbijający się najdotkliwiej na losach służącego Jakóba, który od dwudziestu z górą lat uczył się przecież wróżyć o humorze z podniesienia barometru, stopnia ciepła lub mrozu, słoneczności dnia i tych tysiącznych drobnostek, z których każda posiada własność wyprowadzania z równowagi pokłóconych z życiem śledzienników. Tym razem jednakże Jakób postradał, jak mówią Francuzi, swoją łacinę. Obiad był stale nieznośny, głupio obmyślony, po partacku zrobiony, kawa czarna smakiem przypominała lukrecyę paloną, a wino, wino pozamieniano chyba w piwnicy, boć przecie niepodobieństwem było jawnem, aby to miało być to samo wino, które przed laty kilku pan Joachim za wskazaniami sumiennych znawców obrał i sprowadził. Pewnego dnia nawet w rannych godzinach znalazł się pan Joachim u dobrze znajomego sobie lekarza, któremu niezmierną ilość dziwów naopowiadał o ruinie swego organizmu, tak, że ten zdumiony, po bliższem dopiero rozpoznaniu stanu zabawnego pacyenta zdołał

zrozumieć kogo ma przed sobą. Starał się tedy trafić mu w myśl, ale okazało się, że pan Joachim przyszedł tu bez myśli gotowej, więc gdy przeszli wszystkie koleją źródła mineralne, poczynając od alkalicznych, a skończywszy na siarczanych, bezpotrzebnie, gdy słowem przejechali po Tatrach, górach Harceńskich, Alpach Tyrolskich, Włoskich, a nawet Szwabskich, gdy i na Pireneje krzywił się chory Molierowski nielitościwie, dowlekli się przecie do morza, i tu nareszcie po długiem na Ostendę, Trouville i t. p. oburzeniu, utkwił niespodzianie pan Joachim w Dunkierce, z którą go niegdyś pewne, obce zresztą zupełnie lekarzowi, wspomnienia wiązały. Perspektywa gonienia za ubiegłemi niepowrotnie marami młodości jeszcze raz pochwyciła w swoje szpony człowieka, który przed paru tygodniami gotów był przysięgać, że wszystkie swoje z życiem porachunki oddawna ma za podsumowane. Musiała mu tedy, jak widzimy, pustka i bezcelowość życia w szczególnie dotkliwy sposób dać się uczuć. Ani wiedział do jakiego stopnia przywiązał się do tego chłopca, dotąd

prawie zupełnie sobie obcego, ani w części oceniał wiele go obchodziły jego losy, i co sobie na nim w przyszłości zakładał, chociaż co prawda sama drażliwość na jego życiowe pomyłki i zboczenia, powinna mu była wykryć część jakąś tej tajemnicy. Będź co bądź, powrócił tym razem do domu swobodniejszy, i odtąd ku uciesze Jakóba zajął się przygotowaniami do podróży.

Było to jakoś po połowie Lipca. Ołowiane niebo odbijało po dniu skwarnym ostatnie błyski zachodzącego słońca, a pan Joachim chciał właśnie wziąść do ręki odkładaną już dzisiaj po dziesięć razy książkę, gdy do pokoju wsunął się Jakób: Mówimy wsunął, nie wszedł, bo poufały we wszelkich ważniejszych sprawach służący, od czasu tego podrażnienia dziwnie stał się bacznym, aby najmniejszym nawet drobiazgiem pomyślniejszej konstelacyi tego zmiennego humoru nie spłoszyć. I tym razem stanął zdaleka, i niezdecydowanym głosem zaczął:

— Jest tam jakiś... coby się chciał z panem, jak on powiada, rozmówić...

— Któż to jest?

— Nie mogę go jakoś przesylabizować. On mówi, że ma do pana na osobności dwa słowa.

— A tobie tych dwóch słów nie mógłby powiedzieć?

— Nie chce—jużem go na różne sposoby próbował, ale nie chce.

— Na co wygląda?

— Albo ja wiem... Zupełnie prostej kondycyi to on chyba nie jest, ale też i z panów nie jest. Mówi tak trochę lepiej odemnie, ale na moje spojrzenie, to nie ma on miny takiego, co to paltota komuś w życiu ani razu nie zdejmował.

— Nie chce mi się tej rozmowy strasznie. Żebyś go jakim sposobem mógł się pozbyć—możeby jutro, albo kiedy...

— Kiedy bo ja nie powiedziałem wszystkiego—on to niby nie tak do wielmożnego pana przychodzi, jak do pana Stanisława. Przyszedł jakiś taki radosny, jakby go nie wiedzieć co spotkało, a dopiero jakem mu powiedział, że pan młody wyjechał, tak go zaraz z przeproszeniem pana kuraż opuścił; kręcił się po przedpokoju, kręcił, a w końcu zaczął mię męczyć, żeby się mógł widzieć z panem,

bo niby o wielmożnym panu, to on się, jak widzę, dopiero odemnie dowiedział. Ja myślę, że on chce pana Stanisława.

— No, trzeba z tem skończyć jakkolwiek. Wpuśćże go.

Za chwilę stanął przed panem Joachimem człowiek lat może czterdziestu, nie duży, nie mały, postawy szczupłej, ruchliwy, z twarzą wygoloną, oprócz niewielkich faworytów przystrzyżonych — człowiek, w którym doświadczenie życiowe pana Joachima kazało mu się domyślać starszego garsona dobrej restauracyi, lub kogoś podobnego pod względem społecznego na świecie stanowiska.

Zdziwienie gospodarza domu jednakże obudziło się niezwykłe, kiedy ten przybyły zaczął z miejsca odśpiewywać, jak gdyby przedtem przygotowaną i wyuczoną, tiradę.

— Przyszedłem jaśnie panie, wedle tego, jak obowiązek mój każe, złożyć moje powinszowania, które, jako że dotyczą tak niespodziewanego pomnożenia fortuny, powinnyby w miłosiernem sercu

jaśnie pana znaleźć łaskę względem ojca obarczonego liczną rodziną, którą z łaski Boga Wszechmocnego...

— Poczekajże mój panie — przerwał pan Joachim.—Nie wiem zupełnie o czem mówisz; pomyliłeś się zapewne, bo nic z tego, o czem wspomniałeś nie mogę wziąść do siebie. Nie pomnożyła mi się, o ile wiem, fortuna, nie widziałem pana nigdy, i nie mogę domyśleć się do czego zmierzasz.

— Ja wiem, że jaśnie pan wiedzieć nie może. Tego jeszcze w całem mieście nikt nie wie prócz mnie, a i ja tylko przypadkiem szczególnym, i dla tego myślę, że to sam Pan Bóg zesłał mi to jako los.

— Bój się pan Boga, mów jaśniej — upominał pan Joachim, który zaczynał się obawiać, czy nie waryata ma przypadkiem przed sobą.

— Będę mówił jasno — powiem od początku, jak mi to obowiązek mój każe, bo przyznać muszę, że mnie samemu, choć to bywałem na wozie i pod wozem, mowę prawie odjęło na razie. Otóż było tak, jaśnie panie. Będzie temu rok,

a może więcej jak rok, ale dobrze mówię—rok chyba będzie, jak przyszedł do nas młody pan—taki akademik proszę jaśnie pana, jak to są akademiki wszystkie, tylko że bardzo grzeczny i piękny pan, i że to niby do mnie pierwszego każdy najprzód przyjść musi, więc on też podchodzi i pyta..

— Choć szyję urznij—ani słowa nie rozumiem. Jaki młody pan? gdzie przyszedł? dlaczego z panem mówił najpierw?

— Młody pan, to syn jaśnie pana był...

— Nie mam syna.

— To ja nie wiem już, ale wiem, że nazwisko to samo i adres ten sam dał.

Tu wyjął na kartce wynotowane istotnie poprawnym handlowym charakterem imię i nazwisko Stanisława, wraz z nazwą ulicy i numerem domu.

— No dobrze, więc to jedno zdaje się sprawdzać. A teraz powiedzże pan, gdzie to jest to miejsce jakieś, o którem pan powiadasz „u nas“—co to jest to u nas?

— To jaśnie pan nie wie? „Wzajemna Eskonta.“ A prawda! to ja nic nie mówiłem, że ja jestem we „Wzajemnej Eskoncie“. Jaki też to człowiek roztargniony, a to wszystko z tego zawrócenia głowy.

— Cóż pan robisz w tym banku?

— Woźnym jestem, jaśnie panie, woźnym najstarszym—od pierwszego dnia jak stanął bank—nikogo tam niema dawniejszego odemnie.

— No dobrze. ale co z tem wszystkiem może mieć wspólnego mój synowiec?

— Aha! to synowiec jaśnie pana—teraz wiem i zaraz powiem resztę. Otóż ten młody pan przychodzi w te czasy i powiada do mnie:

— Mój panie, czy u was sprzedają pożyczkę premiową?

— Sprzedają—powiadam—pan pewnie na raty?

— Nie—powiada.

— A kiedy nie, to może wielmożny pan i za gotówkę. A jakże, tembardziej za gotówkę—mówię, bo odrazu pomiarkowałem, że mam do czynienia z osobą—

nie byle z pierwszym. I zaraz też poprosiłem tego pana do pana Kalbsschniztla, co załatwia u nas ten interes, zaprowadziłem do kratki, i to pamiętam—jak dzisiaj pamiętam, że na odchodnem powiedziałem jeszcze: Życzę szczęścia wielmożnemu panu—jak dzisiaj to pamiętam. Jak pragnę Boga przy skonaniu oglądać. No i stało się, jaśnie panie; w szczęśliwą godzinę wymówiłem. Mój Boże, czy mnie to na myśl nawet w tej chwili przyszło, że tu rok nie minie, a taki los—ha! wola Bozka już taka była, a mizerny człowiek jak ja, jej narzędziem marnem. Bo gdyby się też tak było trafiło, żebym ja powiedział był, że niema pożyczki u nas, bo i to się biednemu człowiekowi zdarza, kiedy mu się już uszami przeleje—żebym ja tak był powiedział, to młody pan byłby sobie poszedł gdzieindziej, a taki grosz byłby się dostał komu innemu, albo nie daj Boże wymówić, został przy tych żydach poganach.

— Teraz znowu nic nie pojmuję.

— Wielka wygrana, jaśnie panie! Dziś, przed godziną—nikt nie wie jeszcze oprócz mnie i pana Wollenbeutla, który

depeszę w godzinach pobiurowych odebrał, a że się tak zdarzyło, że akurat miał on klucz od ksiąg pana Kalbsschnitzla u siebie, więc my się odrazu wszystkiego dowiedzieli. On, że to niby pana udaje, choć Bogiem a prawdą wszeteczny z niego żyd, jako i każdy inny, ale że się stawia, więc tedy powiada do mnie: Mój Pakulski, bo on mi tak mówi zawsze—cóż robić, jaśnie panie, takie już teraz parszywe czasy nastały—mój Pakulski, powiada, narzekałeś mi nieraz na to, że to ja niby do napiwku prędki nie bywam, no i ot tobie napiwek za wszystkie czasy. On to tak mówi, bo on nietutejszy.

— Poszukaj sobie, powiada, adresata i zanieś mu taki konfekt na gorąco, a powinien ci zapłacić za mnie, za siebie i za całą „Wzajemną Eskontę", która żeby się pod ziemię zapadła, choćby dzisiaj wieczorem. Ja też i niezaprzeczałem, a jak się dowiedziałem nazwiska godnej osoby jaśnie pana, to sobie powiedziałem zaraz: Mój Józefie, za całe biedne życie twoje wynagrodzi cię dzisiejszego dnia Bóg miłosierny, bo i niepodobna przecie, żeby tacy panowie z panów mieli jeszcze

skąpić człowiekowi w takiej okazyi, a tu jak raz taka potrzeba jest w domu, że gdyby nie to szczęście, to choć głowę o mur tłucz sobie. Tu ten mój najstarszy Franuś aż piszczy do nauki; czas akuratnie byłby na niego do szkół od wakacyi. bo i egzamin już przecie zdał do drugiej klasy, a tu ani na wpis, ani na mundurek—ani pieprzu, ani cebulki, ani co wkrajać, jak powiadają. Ano, przecie się jakoś może wylezie z tej biedy — kończył relacyę swoją przybyły, ocierając uznojone czoło.

Panu Joachimowi serdecznie żal się robiło biednego człowieka, bo przekonanym był, że tu chyba zajść musiała pomyłka jakaś. Zkąd Stanisławowi przyszłoby kupować pożyczkę premiową? Już mu się stryj sam dwa razy z pożyczką zaofiarował, bo wiedział dobrze, że chudo było koło młodzieniaszka, a i to także sprawdził, że się z grosza na potrzeby biedniejszych wyszeptał. Jednakże po kilku chwilach rozwagi i żeby tego nieszczęśliwego zbyt prędko nie ostudzić, mówił ze współczuciem:

— Mój panie, wygląda to na prawdę, co mówisz, a mimo to musi tu być coś jeszcze, co, obawiam się, aby nadziei twoich nie rozbiło zupełnie. Najprzód, nie wydaje mi się, żeby mój bratanek kupował premiówkę, bo to ludzie w tym wieku nie kapitalizują swoich małych dochodów...

— Ha! kiedy kupował—z pewnością kupował u nas.

— Dobrze—zgadzam się i na to, ale kto nam zaręczy, że nabywał dla siebie? Mógł mu ktoś polecić po prostu. Zastanów się pan.

— A jaśnie pan nic nie wie?

— Bóg mi świadkiem—nie słyszałem.

Pan Pakulski raz jeszcze otarł czoło swoją kraciastą chustką, ale twardego to czerepu musiał być człowieczyna, bo z uporem manjaka, raz się tej zbawczej myśli uchwyciwszy, nie dał się żadnemi przełożeniami przekonać. To też po krótkim namyśle, jak gdyby podniecony nanowo zapytał:

— Proszę jaśnie pana, a gdzie jest młody pan?

— Gdzie on jest... alboż ja mogę wiedzieć na pewno, ale poczekajże pan... mamy dziś 20-go, to może, a tak 20-go... no naturalnie, dwudziestego to on chyba będzie tam—zadecydował, zakładając napowrót notatkę Stanisława za ramkę kakalendarza. No, niby ja prawie wiem, gdzie on będzie dziś wieczorem, ale po co to panu?

— Poszlę depeszę!

— Bój się Boga człowieku! Nuż nieporozumienie, nuż pomyłka! Jakże to tak można? Szkoda pieniędzy.

— Ha, trudno! Kto nie ryzykuje, ten...

— Ten niedorzeczności nie robi — kończył pan Joachim z niechęcią. — Doprawdy radbym szczerze odradzić to panu. Takie mi się to wydaje jakieś wszystko razem nieprawdopodobne.

— Jaśnie pan tak mówi, jakby to panu było wszystko jedno. Jużciż to tak jest. Jakeś bogaty, to ci już mało zależy na tem, czy będziesz dwa razy tak bogaty, czy nie. I to mi właśnie powiada, że jeśli kto może wygrać, to tylko tacy. Los, jaśnie panie, to tylko tłuste

połcie smaruje. Niech co chce będzie, ja poślę telegram. Gdzież to jest młody pan?

— No, jest dziś na wieczór w Kielcach, skoro pan chcesz koniecznie, ale zanotujże sobie dobrze w pamięci, żem odradzał, bo doprawdy...

— A gdzież on to mieszka w tych Kielcach?

— Hotel Krakowski, ale...

Nie było już czasu na dalszą rozmowę, bo woźny „Wzajemnej Eskonty,“ po zamaszystem raz i drugi posunięciu nogą był już w przedpokoju, gdzie się z Jakóbem w żadne rozprawy wdawać nie myślał, a kiedy za nim do okna pobiegł pan Joachim, dostrzegł go już przy rogu ulicy śpieszącego, i widział szybkie ruchy i gestykulacyę rąk, która mu o podnieceniu wewnętrznem poczciwca wymownie świadczyła.

— Waryat—mruczał pan Joachim do siebie—waryat czysty, ale nie bądźże tu waryatem, kiedy masz na karku takich Franusiów różnych, a w kieszeni płótno na ich wychowanie. Piekło na tej ziemi, a dodawszy do niego Fichtenów

i Piątkiewiczów, piekło wobec którego tamto, o którem nas w dzieciństwie nauczano, jest czystą tylko igraszką.

Zły i zniechęcony zabierał się tego wieczora do spoczynku pan Joachim. Gdyby był przewidział, co na niego w dniu jutrzejszym czekało, z pewnością byłby mu się humor pogorszył jeszcze.

* * *

Za niepotrzebne zupełnie uważał Stanisław wtajemniczanie stryja w ten szczegół, że całe to nieodstępne grono kolegów towarzyszyć mu będzie w jego kilkutygodniowej wycieczce. Wiedział, przekonanym był, mimo powściągliwości w mowie pana Joachima, jak on się zapatruje na wartość tych ludzi, na rzecz których on wyrzekł się wszystkiego i wszystkich. Przekonanie mówiło mu, że jest to krzywda, jaka im się dzieje, i że te krzywdy czas tylko i okoliczności wyświetlić mogą, ale pomimo, że czuł do swoich najbliższych żal szczery, nie rozdrażniał nieporozumienia, przestał nato-

miast wypowiadać się tak szczerze, jak dawniej, i jeżeli chłódł w rzeczywistości z dniem każdym mimowiednie prawie, za to postanowił dyskrecyą płacić za dyskrecyę—powściągliwością za powściągliwość. Był to sobie tedy w całem znaczeniu tak zwany *modus vivendi* na teraz—nie żaden stosunek familijny, ale raz postawiony na tej stopie przez obie strony, pogorszeniem się, a tem mniej zerwaniem nie zagrażał. Że Kozera odbywał wspólnie ze Stanisławem tę w połowie pieszą pielgrzymkę, wiadomem było p. Joachimowi, ale czy ich ten telegram miał zastać, i czy ich skłoni do jakiejkolwiek zmiany zamiarów, nad tem się bliżej nie zastanawiał, bo mu sama rzeczywistość faktu głównego wydawała się ciągle wprost chimeryczną. Ot poprostu, rozumował sobie: ruszą ramionami na tę depeszę i pomyślą, że waryat jakiś urządza mistyfikacyę. Zkąd premiówka—zkąd wygrana? Szaleństwo czyste! Wreszcie, jeżeli nie obłąkany, to oszust jakiś, który myślał, że na łatwowiernego trafi i wyłudzi tym sposobem cokolwiek. Wszystkiego dostanie tu przecież w tej Warszawie naszej.

Dlatego też zdziwiło go mocno, gdy nazajutrz rano Jakób wszedłszy do niego około godziny dziesiątej, oznajmił, że jeden z tych panów chciałby z nim mówić, bo pytał się o młodego pana, mówił służący, i dziwił bardzo, że go niema w Warszawie.

— Z jakich panów?

— No z tych, co tu bywają najczęściej.

— Proś—powiedział bez namysłu pan Joachim.

W chwilę potem wszedł do pokoju Bieluń. Nie miał on dzisiaj zwykłego spokoju w twarzy, brak mu było przytem tej staranności w ubraniu, którą się stale odznaczał. Włosy były w nieładzie, broda długo nie przystrzygana odrosła nieporządnie, przemieniając pięknego mężczyznę w jakiegoś zaniedbanego chłopa, którego tylko pomięty jego i nieoczyszczony mundur przeszkadzał komuś obcemu wziąść za tragarza, albo stajennego posługacza. Bieluń był przytem nieswój zupełnie. Nie wiedział jak zacząć, bo z tego, co się tam po odebraniu depeszy dowiedział, pewnym był, że panu Joachimowi wszystko

od początku do końca obcem było zupełnie.

— Chciałem się widzieć ze Stasiem...

— Stasia niema w Warszawie.

— Niema — pytał zdziwiony, ani siadając na krześle, wskazanem mu gestem uprzejmym gospodarza, ani zabierając się do odejścia.

Bieluń mimo finezyi wrodzonej, rodzimej, chłopskiej, światowej tresury fałszu nie przyswoił sobie jeszcze, i dlatego człowiek taki jak pan Joachim nie mógł nie zauważyć, że doświadcza on w tej chwili zawodu czy przykrej jakiejś przeciwności. A ponieważ ten młody towarzysz jego bratanka był dlań dosyć sympatycznym, i chciał mu być wedle możności użytecznym, więc poprosiwszy raz jeszcze siedzieć, zapytał z całą przychylnością, czy nie może mu pod nieobecność krewnego służyć w czemkolwiek. Bieluń tak mało panował nad sobą, że nie wynagradzając tej uprzejmości wyraźnej, tak jak gdyby własnym tylko myślom był posłusznym, zapytał automatycznie raz jeszcze:

— Więc Stasia niema w Warszawie?

— Jak to panu miałem honor już raz powiedzieć — odrzekł pan Joachim, opatrując bacznie kątem oka Bielunia, mnącego z niecierpliwością w ręku swoją zakurzoną czapkę studencką.

Wreszcie ten ostatni niezgrabnie się skłoniwszy, zaledwie sobie przypomniał, że bez podania ręki wyjść niepodobna, ale i tej formy dopełnił w połowie z oznaką, którą ktoś podejrzliwszy, niż gospodarz domu w tej chwili, mógł był na upartego i za prostą niechęć poczytać.

— A to go coś przypiekło — mówił w duchu po jego odejściu pan Joachim.— Co prawda wydał mi się bardziej grundalowaty niż kiedykolwiek. A może on był tylko zakłopotany, ale któż mu gapiowi jednemu krzyw, że z siebie nic wydobyć nie pozwolił. W każdym razie przykro mi przez wzgląd na Stasia, żem mu nie mógł niczem wygodzić. Zawszeć to użytek społeczny jest sobie ten aspan Bieluń, i to użytek nie byle jaki. Ale mocny jest szelma, mocny naprawdę! Tylko, jak on umie z podełba patrzeć—nie widziałem u niego jeszcze takiego wejrzenia.

Mógłbym powiedzieć o tym wzroku, że to niedobry wzrok.

Jeszcze nie przestał stryj Stanisława biedzić się nad odgadnieniem, co mogło Bielunia wraz z całem jego szczególnem zachowaniem do niego dzisiaj sprowadzić, kiedy usłyszał dzwonek w przedpokoju, a niebawem wszedł Jakób z miną skwaszoną. Ten czytając w myślach swego pana dosyć wprawnie, oddawna wiedział czego się trzymać względem sympatyi do różnych bratanka jego przyjaciół. To też czuł tym razem stary bywalec, że wolno mu jest do pewnego stopnia pofolgować sobie, i dlatego w słowach niezbyt wiele szacunku zdradzających dla osoby, którą miał zameldować, powiedział przy odpowiednim geście ręki:

— Jest tam ten...

— Kto taki?

— Ten...

Tu wskazał na nos, zapewne jako na najcharakterystyczniejszą część twarzy człowieka, którego oznajmiał.

— Aha! I czego chce?

— Widzieć się z panem.

— Może z panem Stanisławem?

— Pytał o młodego pana, a jak się dowiedział, że go niema w Warszawie, pokręcił głową i chce do pana się dostać.

— Prosiłeś do salonu?

— Nie.

— To proś—jakże można było!

W chwilę potem wszedł i pan Joachim, a podawszy rękę gościowi, co go za każdym razem, nawiasem mówiąc, dosyć kosztowało, sam zaczął rozmowę.

— Nie zastajesz pan Stasia w domu, a nawet w Warszawie. Nie przyjechał dotąd, a nawet wedle tego, co mnie wiadomo, tak rychło spodziewać go się nie możemy—przynajmniej nie przed terminem oznaczonym, to jest nie przed końcem miesiąca.

Panu Joachimowi wydawało się, że sprawę całą niezmiernie upraszcza, a tymczasem on ją wbrew woli niesłychanie powikłał. Fichtenowi, bo on był tym, którego anonsował Jakób, wydało się to odezwanie mocno podejrzanem. Jeszcze przecież nie wiedział o co chodzi, a już mu przejeżdża wpoprzek tą nieobecnością.

— W tem coś jest — pomyślał Fichten—trzymajmy się mocno.

— To bardzo szczególne—zaczął tedy cedzić słowo po słowie—bo podług tych wiadomości, które ja mam, a moje są daty ostatniej i bardzo świeżej, bratanek pański powinien był znaleźć się w Warszawie dzisiaj rano. Że go niema, zaledwie mogę uwierzyć.

— A jednak niema go.

— To bardzo, bardzo szczególne!

— Pozwoli pan zapytać się, co w tem być ma tak nadzwyczajnego?

— Pan nie wie?—odpowiedział z szyderczem skrzywieniem ust Fichten, stosując uprzywilejowaną metodę swego plemienia, stawiania zapytania po zapytaniu.

— Muszę niewiedzieć, skoro pytam.

— To jest prawie równie zdumiewającem jak tamto...

— Przestańmy mówić półsłówkami— przerwał pan Joachim z oznaką pewnego zniecierpliwienia.—Czem mogę panu służyć?

— Informacyą—tylko informacyą.

— Jaką mianowicie?

— Gdzie i kiedy będę mógł zobaczyć pana Stanisława S.

— Mógłbym zrobić panu uwagę, że jesteś niegrzecznym podając w wątpliwość to, co raz powiedziałem, ale pomińmy to. Odpowiadam więc raz jeszcze. Tego, o którego pan pytasz, niema w domu—kiedy będzie, nie wiem. To jest wszystko, co mam w tej sprawie do objaśnienia.

Skłonił się grzecznie nieproszonemu gościowi pan Joachim i wyszedł z pokoju. Kiedy w chwilę potem zjawił się Jakób, powitał go odrazu zapytaniem.

— Poszedł?

— Poszedł.

— Nie mówił nic?

— Co nie miał mówić.

— No, no?

— Do siebie mamrotał, ale głośno, bo go coś podleciało wyraźnie, taki był jakiś zapluty, Powiada: To tak być nie może—powiada: to się tak nie skończy! To nie ze mną taka robota!

— Powaryowali! Ale co u biesa się stało, i czy w istocie Staś nie spłatał im jakiej niedorzeczności? Co ma znaczyć

ich nachodzenie takie, boć niepodobna przecie, żeby to zostawało w jakimkolwiek związku z tem, co tamten znowu fiksat wyprawiał wczoraj. W każdym razie bez współudziału upałów Lipcowych nie działo by się nic podobnego. Ale co jest na dnie tego ruchu? bo teraz już i ja zaczynam się niecierpliwić.

Odpowiedź więcej objaśniająca nadejść miała dzisiaj jeszcze przed nocą, a przyniósł ją ten z kolegów Stanisława, któremu pan Joachim najmniej rad bywał w domu własnym.

Szarym już mrokiem przedstawił Jakób panu Joachimowi bilet wizytowy, na którym drobnym maczkiem wypisane było zaledwo czytelne imię i nazwisko, a u spodu grubym drukiem funkcya właściciela biletu, streszczona w tych trzech słowach: „P. adwokata przysięgłego.“ Pan Joachim z nazwiska przy panującym zmroku zrezygnował, na profesyę skrzywił się, jak gdyby mu ktoś coś niemiłego dał do powąchania, ale tak go to wszystko razem niepokojąco usposobiło, że kazał prosić do salonu, nie zważając

nawet, że Jakób mowił przyciszonym głosem:

— A jest tam z nim i ten trzeci. Szkuta się z nimi rozbiła dzisiaj!

Wreszcie po co miał szukać objaśnień u służącego, kiedy prawdziwe objaśnienia czekały na niego tuż za drzwiami. Tak jednakże podziałała nań drażniąco dostrzeżona w tej chwili twarz Piątkiewiwicza, że nie panował już nad sobą i nie nadał zapytaniu: „Czemu zawdzięcza zaszczyt“ żadnego złagodzonego odcienia. Odpowiedź wziął na siebie Piątkiewicz. Nie była ona z takich, które mogą usposobić przychylnie.

Piątkiewicz mówił dosyć treściwie. Opowiedział on z pewnemi zmianami, opuszczeniami i przemilczeniami o nabytej przed rokiem, mniej więcej, pożyczce, najdobitniej podkreślił prawa swoje i kolegów do tego papieru, a jak w danej chwili, i do przywiązanej do niego wygranej; wyraził zdziwienie a nawet więcej niż zdziwienie, że Stanisław, który jednocześnie wsiadł z nimi na pociąg dotychczas, jak słyszał mówiący, do Warszawy nie przybył, w końcu nadmienił, że

dlatego właśnie, iż wszystkim wiadomo z ust Stanisława, że pożyczka znajduje się w ręku jego stryja, cała ta nieobecność i to niewytłómaczone zachowanie się ich obu w najmniej nawet podejrzliwych ludziach mogłyby obudzić niepokój.

— Jeślim dobrze zrozumiał, posądzasz pan bratanka mojego o ukrywanie się przed wami i o intencyę przywłaszczenia sobie tego, co jest własnością waszą—mnie o dopomaganie mu w tem dziele, a dla uchronienia siebie i kolegów od ewentualnej straty przyprowadzasz mi do domu osobę obcą, która figurować ma zapewne w przyszłej sprawie w charakterze świadka, mającego stwierdzać moje plączące się odpowiedzi przy pańskiej indagacyi. Wszak o to chodzi?

— Zupełnie o to nie będzie chodzić z chwilą, w której pan zechcesz łaskawie wydać nam znajdujący się u niego dokument, który stwierdza nasze prawa...

— Pozwoli pan, że mu przerwę. Bratanek mój zostawił u mnie papiery; zawartości ich nie znam. Jak tylko przyjedzie, zawiadomię go o tem, co słyszę, a tymczasem pozwolicie mi panowie, jako

gospodarzowi domu zwrócić uwagę, że wizyta wasza trwa już zbyt długo. Po tem cośmy sobie powiedzieli, niema tu miejsca ani na jedno słowo więcej. Żegnam.

Uspokoiwszy się po tej ostatniej wizycie, powrócił pan Joachim do swojego zwykłego monologu:

— Teraz zaczynam coś niecoś rozumieć, ale jeszcze chyba nie wszystko— reszty dowiem się wkrótce zapewne, ale że to ciekawe, to ciekawe. O wygranę chodzi—czy ta wygrana nie humbugh jaki przypadkiem? chyba humbugh! Zresztą wyjaśni się to odrazu, byle tylko powrócił Staś. Co robi jednakże tamten— czy został z nim, czy jest w Warszawie? A może im się obu licho jakie w tej drodze trafiło. W każdym razie marną on sobie wysłużył biedak markę między kolegami swymi, skoro tropią za nim w sposób taki ubliżający. Dostało się i mnie nieźle przy tej okazyi, jeśli to wogóle nie jest panująca dzisiaj kanalijska maniera między młodzieżą. Miły Boże! coby też to już guzów do dania i do wzięcia było za moich młodych lat z tego

powodu. Na tym punkcie nie poprawili nas, co prawda. Zmalało to i obniżyło się wyraźnie. W każdym razie, jak na takich, co mają zwalczać zasadę indywidualnego posiadania, to oni są dosyć przedsiębiorczy. Co jednakże znaczyć może ta premiówka? Bo ja jakąś jeszcze lukę widzę w tem powikłaniu. Tam się coś popsuło także między nimi—zresztą nie będę już myślał o tem wszystkiem, bo mi brak danych wyraźnie.

Nie dotrzymał sobie jednakże tego postanowienia, a nawet zamiast myśleć, pan Joachim mówił głośno w samotności, co było dowodem niezwykłego u niego stanu podniecenia.

— Czy oni sobie rozdali role—czy wychodzili na rekonesans koleją, albo każdy na swoją rękę, w tajemnicy jeden przed drugim. Myślę, że oni są chyba w zgodzie. Najprzód przysłali tego symplicyusza, ale on okazał się za głupi i nie przyniósł im nic zaspakajającego, więc poszedł go poprawić drugi. Ten wyniósł odemnie już nie prosty niepokój, ale podejrzenie. Ach gdyby nie ten mój

smarkacz, byłbym mu z gustem dał w ucho za to jego kantorowiczowskie wykrzywienie wargi. Do czego to jednakże przyszło! Taka maszkara przychodzi bezkarnie próbować twojej, biedny człowieku, drażliwości na punkcie honoru! Ale żem się wziął na munsztuk, to mi największy nieprzyjaciel przyznaćby musiał. Gdyby wiedział, ma się rozumieć, ale wiedzieć nie będzie, bo to zresztą nie zaszczyt żaden to, co mnie spotkało. Ach ba! ależ korona to był ten trzeci. On u mnie w tym charakterze! Świat się wali. Oni tego szubrawca wysłali jako rezoluta ze świadkiem, aby mieć dowód prawny. Ani chybi, tylko to tak odbyć się musiało wszystko między nimi.

Mogłoby panu Joachimowi sprowadzić było sen to zadowolenie, jakie daje ludziom przenikliwym trafne odgadnięcie przez nich jakiegoś bardzo zagmatwanego zadania, bo w istocie punkt po punkcie wywiódł on sobie cały tryb postępowania, jakim szli ci trzej ludzie po powrocie z drogi. Nie spoczęli ani na chwilę, nie stracili ani jednej godziny czasu—radzili i działali. Ale tego zado-

wolenia nikt przynieść nie mógł na pociechę podrażnionemu człowiekowi, i dlatego spędził on noc, jak nie można gorzej. Do piątej przewracał się po łóżku, i dopiero nad ranem usnął, a kiedy się około dziewiątej godziny przebudził, czuł się znużonym i rozstrojonym gorzej niż wczoraj. Bóg wie, jakie tam wybuchy marudztwa oczekiwałyby już dzisiaj na biednego Jakóba, gdyby ten na pierwszy z sypialnego pokoju dzwonek nie był wszedł z miną zupełnie siebie pewną i zadowoloną, i nie uprzedził odezwania się pańskiego krótkiem, ale za to pełnem znaczenia:

— Młody pan powrócił.

— Kiedy?—zawołał pan Joachim odrzucając kołdrę.

— Dzisiejszym pociągiem o 6 rano.

— Jest w domu?

— Śpi. I pan Michał przyszedł z nim z kolei i śpi także na kanapie.

Kręcił się pan Joachim koło drzwi bratanka, uchylał je, zaglądał, mruczał gderliwie na ospalstwo i niedołęstwo młodzieży dzisiejszej, a wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać około jedenastej

wszedł do pokoju i zabrał się energicznie do budzenia raz jednego, to znowu drugiego śpiocha, gdyż obaj na żaden sposób trząsaniem i głosem do przytomności przyprowadzić się nie dawali. Nakoniec jednak powiodło mu się — ocknął się pierwszy Stanisław, ale rozmowa rwała się i kulała, dopóki Kozera nie wziął w niej udziału czynnego. Oczywiście Stanisław nie wiedzący nic z tego, co zaszło pod jego nieobecność, nie miał zamiaru spowiadać się stryjowi z wydarzeń, które miały miejsce w podróży, a ten stryj znowu rezerwował sobie swoje efekty na ostatek, gdyby rzecz cała zbyt leniwie wyjaśniać się miała. Zaczął Stanisław.

— Czy stryj dał nasz adres temu jakiemuś biedakowi, który nas zawiadomił o wygranej?

— Ja dałem adres, ale wysyłanie depeszy doradziłem nie ja—to już jego pomysł własny.

— No, w każdym razie wiadomość jest dosyć ważna...

— O tyle, o ile się sprawdzi—wtrącił Kozera.

— Ty ciągle swoje.

— A ja ciągle swoje, aż do skutku, aż do okazania się czarnego na białem. a nawet aż do wyliczenia na stole pieniędzy—jeśli pozwolisz.

— Dobrze już, dobrze, od dwudziestu czterech godzin słyszę tylko to samo.

— Owszem, usłyszałeś ty i wiele innych rzeczy przez ten czas, i nawet dziwić mi się przychodzi, że tak łatwo o nich zapominasz.

— Nie zapominam, ale mam już dosyć wszystkich podejrzeń, posądzeń, obwinień, z których połowa przynajmniej...

— Zapewne, jeśli ci mało tej drugiej połowy...

— Za pozwoleniem, o co chodzi? — wtrącił pan Joachim. — Czy o autentyczność wygranej? To rzecz do sprawdzenia natychmiastowego. Wiadomość handlowa nadeszła w sobotę po wyjściu dzienników, i dlatego w żadnym z niedzielnych nie znajdujemy jej. Za to dzisiaj musi być z pewnością i dosyć będzie zawołać Jakóba, aby nam podał wszystkie jakie są gazety poranne.

W parę minut potem siedział już pan Joachim i przeglądał numer dziennika, a dwaj młodzi ludzie patrzyli mu przez ramię. Wodząc palcem po papierze, zatrzymał się nagle, i zawołał:

— Oto macie!

— Nr. 38, serya 3561 — wygłosił pan Joachim.—Jeśli wasz jest ten sam, toście wygrali—jeśli inny, to wam los złośliwego psikusa wypłatał.

Stanisław przybladł jakoś odrazu na twarzy, a na ruchliwej fizyonomii Kozery rysować się poczynał drwiący uśmieszek.

— No rusz-że się przecie i sprawdź— odezwał się ten ostatni.

— Sprawdzić można—bełkotał Stanisław — ale mi się jakoś zdaje, że to nie był ten sam... numer.

— Gdyby to być miało między twymi papierami, to proszę cię, kluczyki — mówił pan Joachim, przypatrując się szczególnie badawczo fizyonomii bratanka. Oględziny te odbiły się jakoś na nim samym nader przykro, i zwrócił się z tem do Kozery, jak tylko Stanisław znalazł się za drzwiami.

— Nie myślałem, żeby ten chłopiec mógł mieć aż tak wielką pożądliwość pieniądza. Widziałeś go—przypatrywałeś mu się?

— Widziałem, ale pan nie zna pobudki. Nie mamy wiele czasu w tej chwili, ale to tylko mogę panu powiedzieć, że Staś zasługuje na to, aby go oszczędzać. Jego spotkało wczoraj dużo goryczy niezasłużonej — takiej goryczy, która na całem życiu odbić się może. Jest to w każdym razie chwila przełomu dla tego człowieka.

Nie mógł mówić dalej, bo do pokoju wchodził Stanisław. W ręku trzymał rozwinięty tytuł pożyczki premiowej, twarz mu się uśmiechała niby, ale znać było, że robi wysiłek, aby wypracować ten uśmiech. Położył pożyczkę na stole i raz na nią, drugi raz na gazetę spoglądał. Tamci obaj zoryentowali się odrazu, bo i nie było co długo rozważać. Premiówka miała Nr. 27 a seryę 2232; on wyglądał tak, jak gdyby nie pojmował.

— Powiem wam odrazu, co i jak się stało. To ten głupiec woźny jest przyczyną całego nieporozumienia. Wziął

nazwisko jedno wyżej, albo jedno niżej w księgach zapisane między nabywcami— w tem rzecz!

I tym razem zgadł nadspodziewanie trafnie pan Joachim, ale to odgadnięcie nie łagodziło bynajmniej zawodu. Nie tu jednakże był kres przykrości, jakich doświadczyć miał w tym dniu biedny Stanisław, bo pan Joachim najniespodzianiej odezwał się wesoło:

— No i patrzajże, mój panie synowcze, bylibyśmy się obydwa dostali pod zamknięcie, za ten, jak to mówią, wiatr co wieje.

— Jakim sposobem? Zkąd?—zawołali, powstając oba młodzi.

Tu przyszła na pana Joachima kolej dania sobie folgi za długie miesiące powściągliwości jego. Opowiadał z wszelkimi szczegółami wydarzenia wszystkie dnia wczorajszego, a że był narratorem wybornym, a materya nadawała się w istocie do humorystycznego monologu, więc dramatyzował, ubarwiał, cieniował, nie troszcząc się bynajmniej o rumieńce, wypieczone na twarzy bratanka, ani o znaki ostrzegające Kozery, który mu ciągle

dawał do zrozumienia, że biedny delikwent ma za swoje aż do zbytku.

Gdy Kozera wychodząc, wstąpił pożegnać pana Joachima, ten ostatni wziąwszy go pod rękę, zapytał poufnie:

— Powiedzże mi, co tam u was zaszło po tej depeszy?

— Krótko panu opiszę. Najprzód osłupienie powszechne wszystkich, a nawet moje—to była scena pierwsza. Następnie wybuchy egzaltacyi Stanisława i jego jakiś szał radosny, który ten szczególny wywierał skutek na wszystkich trzech tamtych, że w miarę jak on się entuzyazmował, tamci stygli, jak gdyby ich kto lodem obkładał—i to była odsłona druga. Trzecia i ostatnia była w istocie paskudna w całem znaczeniu tego słowa. Oni, jak gdyby się najlepiej porozumieli, a nie mieli czasu na to, zaczęli najniespodzianiej szukać z nim sprzeczki, co było dla mnie jako dla świadka o tyle przykrzejsze, że im on się mniej skłonnym okazywał do zrozumienia, że chcą z nim zerwać, tem oni stawali się brutalniejszymi. Tak, że w końcu musiałem się w to wdać, bo już mi taka niepoprawna

naiwność grzeszną zaczęła się wydawać. Po mojej interwencyi przycichli, ale niby jako obrażeni postanowili odjechać. Rezultat dla nich był jeden i ten sam—a rezultatem zerwanie. Tego chcieli.

My mieliśmy także powrócić osobno tym pociągiem, ale zanim zdołałem wyrwać Stanisława z jego osłupienia, na pociąg było zapóźno, a potem sam już starałem się go trochę zatrzymać na miejscu. Ani przewidywałem, że oni tak dzielnie pracować będą dla nas w dalszym ciągu.

— To ty myślisz, że on oprzytomniał—że przejrzał?

— Myślę, że to się stało, jeśli nie w całości, to w znacznej części—reszty powinien dokonać czas; my z naszej strony stać będziemy na uboczu, i nie starać się o przyśpieszenie tego, co samo przez się nastąpić musi.

— Może i masz słuszność, ale nuż...

— Niepodobna! Nierozumiem nawet, jakimi środkami odzyskaćby mogli to, co stracili. To wszystko było zbyt oczywiste, nawet dla niego.

— Ano, wiesz co, jeśli tak jest, jak mówisz, to ten osioł jakiś dardanelski, ten woźny „Wzajemnej Eskonty,“ mimo wiedzy i woli oddał nam usługę nielada. Plótł mi tam przedwczoraj Bóg wie nieco o swojej biedzie, o jakimś chłopcu najstarszym, którego nie może oddać do szkół, a który się chce gwałtem uczyć. Słuchajże, wstąp tam z łaski swojej do tej ich nory, i powiedz mu, żeby przyszedł do mnie. Może syn nie będzie takim kpem jak ojciec. Zdaje mi się, że nazywa się Pakulski...

POD STRZECHĘ.

Kiedy była dzieckiem, ojciec nazywał ją swoją jutrzenką, a matka pociechą.

Ukochaniem była wszystkich, bo wcześnie pozwolił Bóg rozwinąć się jej uczuciom. Od progu domu jej ojców nie odszedł ubogi bez datku i dobrego słowa, a na wsi, iść do panienki, użalić się przed panienką, poprosić panienki, znaczyło tyle co otrzymać to wszystko, czego się potrzebowało od jej rodziców. Błogosławił każdy tę jasnowłosą dziewczynkę, a ona wzrastała pod promieniami tego błogosławieństwa, jak rośnie kwiat pod słonecznymi blaski, i pełno było pogody w jej duszy, a miłości w sercu dla wszystkich, co żyli blizko niej, i dlatego zakątka, w którym światło Boże ujrzała.

W niemowlęctwie już potrzeba jej było do życia tej rzeki, co szmerem modrych fal swoich szeptała jej do ucha pierwsze tajemnicze słowa wielkich miłości; jak ptak błękitu i przestworza, tak ona wyglądała z wiosną pieśni skowronka i kilku jednostajnych tonów pastuszej fujarki, i wieczornego poryku trzód i nocnego krzyku żórawi. Do snu kołysały ją cisza a majestat przyrody, i one bajki starej piastunki, których nigdy sytą nie była.

Kochała stare sługi rodziców, i bosą dziatwę wieśniaczą i kaleki niedołężne w łachmanach i tego dziadka z białą brodą i nogą drewnianą, co o każdej porze dnia, przy pochylonej kapliczce na rozdrożu, szeptał swoje pacierze i pomarszczonymi palcami przesuwał ziarnka różańca. Kochała bardzo matkę i ojca, a najbardziej, najbardziej tego braciszka swego o czarnych włosach i oczach płomienistych, który wedle jej sześcioletniego rozumku streszczał w dziesięcioletniej osobie swojej wszelką doskonałość ludzką.

Byli szczęśliwi oboje, jak królewięta z bajki. Od jutra żądali tylko, aby było

podobnem do dnia dzisiejszego, a ku odleglejszej przyszłości, którą ich wzrok przeczuwał tam hen za mgłami i tumanami, wyciągali ręce z ufnością nieświadomych a szęśliwych.

Alboż oni wiedzieli cokolwiek o burzach i gromach?

O Bogu i ludziach—o tem, co było przed wiekami, i o tem, co niedawne a nie przebrzmiałe jeszcze, dowiadywali się z ust matki najpierwej, a później od ojca, a że ciekawi byli i niecierpliwi, więc dopełniali sobie to każdą pochwyconą książką, przyczem rola mentora przypadała rozumie się, bratu, w którego słowa nauczyła się ta płowa główka wierzyć, niby w głos objawienia.

Bezładne to było wszystko, co oni chłonęli tym sposobem, ale takie jakieś żywe i pełne uroku, że w te pytania siostrzyczki i odpowiedzi brata wsłuchiwali się znowu z zachwytem rodzice, i oni też nieledwie jak ich dzieci, burz i gromów nieświadomi.

Tak upływały lata dziecięctwa tym dwojgu.

* * *

Później jego odwieźli do miasta dalekiego, a ona rosła pod kierunkiem matki dobrej i ojca, który zasobami umysłu swego dzielił się z dzieckiem ukochanem, i nie przestawał go jutrzenką swoją nazywać, bo jutrzenką w samej rzeczy było jemu i ludziom to dziecię jasnowłose.

Brat przyjeżdżał trzy razy do roku. Dziewczyna czekała na niego, jak się czeka na szczęście, po odjeździe każdym płakała jak po utracie szczęścia, a co oni tam przez te tygodnie i miesiące naroili ze sobą—wiele gmachów pomyślności nabudowali ludziom wyobraźnią młodych głów swoich—o tem wiedziało tylko ich dwoje. Potem zostawała ona zawsze z tem, co on pozostawiał po sobie; a nie byle czem, przyznać trzeba było to wszystko, co młode pachole wnosiło w domowe progi. Były tam słońca i blaski; było czem zaspokoić serce i nasycić wyobraźnię, to też gorzało jedno płomieniem

i światłem od drugiego zapożyczonem, i goniły za sobą te dusze siostrzane ku światłu i dobru, a zarazem ku udoskonaleniu własnemu.

I tak przeszło im znowu lat kilka.

* * *

Nadchodził jednak czas, gdzie wszystko miało się odmienić w starym, wioskowym dworku; ta zmiana zaszła rodziców tych niespodzianie; niby to oni coś nie coś odgadywali—przeczuwali, ale jako dzieci innego wieku, nie wiele zrozumieć mogli z tego, co im zagrażało.

A młodzi? Oh! między młodemi szybko przeobrażało się teraz wszystko. Pora wymiany zachwytów młodzieńczych dawno już minęła. Teraz on do niej mówił inaczej, bo jemu ludzie, wedle słów jego własnych, rozświecili w głowie, a on zapragnął podzielić z siostrą to, co dlań zdobyczą nieocenioną było. Siostra wpatrywała się w niego jak dawniej, wierzyła mu zawsze jednako, ale zrazu trudno jej było bardzo zrozumieć go,

a później czuła tylko to, że w miarę, jak go pojmuje coraz lepiej, ubywa jej szczęścia i spokoju. Chwytała się biedna, jak deski zbawienia, tych mar swoich z ubiegłej niedawno przeszłości, i chciała chwilami jego i siebie w tym edenie zatrzymać, skarżyła się Bogu, modliła i płakała, ale nie po temu były jej siły.

On ją pociągał, jak przeznaczenie, a jego ciągnął huragan jakiś; ona wahała się, oglądała, ale szła za nim. Już to nie słoneczne światy były te, w które on wiódł teraz za sobą to dziewczę jasnowłose, ale jakieś krainy ponure, a zimne, gdzie miasto świątyń spotykali gmachy surowe, zamiast błękitu niebieskiego stropu tumany, a mgły i opary nienawiści unosiły się nad niemi.

Coraz posępniej robiło się teraz w starym modrzewiowym dworku. Dusza jego—to dziewczę modrookie, niby ptak raniony, przestało snuć pieśń szczęścia dokoła siebie—już jej tu nie swojo było. Ani ona do tych ludzi, ani ci ludzie dla niej! Rodzice nieśmiało rzucali sobie nawzajem jakieś kłamane słowa pociechy; wmawiali w siebie, że to tak zawsze

bywa, gdy pisklętom wyrastają skrzydła do lotu, że to oni sami zapewne tacy zaspani, starzy i zgrzybiali, i Bóg wie, co jeszcze, ale przed sobą przyznawało każde, że szczęście z pod tej strzechy uleciało—oby nie nazawsze!

Wkrótce potem chłopiec wybiegł w świat daleki; zostawił rodziców chylących się ku starości i to dziewczę dojrzewające ze smutkiem w sercu, z wielkim rozdźwiękiem w myśli i znamienną zmarszczką zadumy i frasunku na pogodnem tak niedawno jeszcze czole. Ach, jakże jej tu ciasno i duszno było teraz w tych ścianach; wszystko co cieszyło wczoraj, wstrętnem się wydawało teraz, ludzie pożal się Boże—siebie samą gotową była znienawidzieć za to, że jej to kiedyś tak miłem było.

Od niego listy przychodziły pełne jakichś nowych dla niej zleceń i rad, coraz więcej mówił o wielkich celach, coraz częściej powtarzał wyraz: ludzkość, coraz śmielej darzył pogardą stare przesądy, bolał przytem nad siostrą, żałował jej, że taki duch, jak jej, zmarnieje tam, skazany na zagładę, jeśli nie poczuje i ona w sobie

siły potrzebnej, aby strząsnąć pleśń przesądów. Ach te przesądy!

Dziewczę robiło, co mogło, aby mu wierną pozostać, myślała tak jak zalecił, wczytywała się w to co kazał, zachowując dla rodziców spokojny uśmiech męczennicy. Tymczasem zaczęła coraz częstsze, coraz bardziej naglące listy odbierać; większej ich części nie pokazywała rodzicom, bo w niej samej walka coraz cięższa—pasowanie z sobą coraz mozolniejsze.

Aż dnia jednego—strasznego dla ojca i matki dnia, wypowiada i ona nareszcie to, czego dłużej utaić nie może. Ona musi tam za nim, bo tam świat i spełnienie jej przeznaczeń, tam światło i życie czeka na nią, a tu grób, pustka i nicość—tu śmierć!

Pytają jej nieśmiało, jak ich tak samych starych zostawi—ona powiada, że ma do spełnienia obowiązek, że człowiek się w niej zbudził; dużo mówi takich rzeczy, których oni nie rozumieją wcale. Czują tylko biedni, że im ból niezmierny piersi rozrywa, ale to przecież ich dziecko

ukochane powiada, że tu śmierć dla niej, jeśli jej nie puszczą.

Puścili. Pojechała.

* * *

Zostawmy ich przez te dwa lata blizko; nie o dwoje starców dogorywających nam chodzi w tem opowiadaniu. A przytem są boleści, którym oko w oko patrzeć się nie godzi.

* * *

Kilka wyrazów nieznaną ręką skreślonych odebrała na dalekiej obczyźnie ta, którą ojciec niegdyś jutrzenką nazywał. Jakiś dziwny powiew przyniosło jej ze sobą to pismo, a na szczególną chwilę przełomu dokonywającego się w jej duszy sądzono mu było zdążyć tutaj.

Tą, która je z chwilowym rumieńcem na wybladłej twarzy teraz odczytuje, wstrząsa jakiś dreszcz nerwowy. Ona nie chce się jeszcze sama nazwać ofiarą—niemniej ofiarą jest prawdziwą. Narzucił jej ten brat ukochany przez nią swój sposób

widzenia rzeczy, postawił doktrynę na ołtarzu wzniesionym w miejsce wszystkich ołtarzów dawnych, nie dopuścił nawet, aby sobie udoskonalenie własnego umysłu z pożytkiem ludzkim, wedle potrzeb jej serca, pogodzić mogła. I to ostatnie odebrano odebrano jej nawet. Suchą naukę ekonomii, teorye społeczne z właściwem epoce zabarwieniem dano jako karm duchowi niewieściemu wzamian za zrezygnowanie ze wszystkich bożyszcz dawnych. A w dodatku, on sam! Boże odpuść! Cóż on zrobił z sobą? Toż to dezerter z pod tej chorągwi nauki, w imię której zwabił ją tutaj; on ją samą w połowie drogi zostawił, on teraz już nie fanatyk wiedzy, za jakiego miała go dotąd—on widać tylko marzyciel nałogowy—niepoprawny—daj Boże, szczery!

A ona? Ona przez poczucie godności, upór, miłość własną—ona stoi przy swojem i powiada, że tak pójdzie do końca. Do końca..

List mówił, że rodzice starzy i chorzy; list radził, żeby do nich zajrzeć—zobaczyć ich.

Wyjechała, i oto zbliża się teraz do granic posiadłości tych staruszków, których rysy czas niemal całkowicie zatarł w jej pamięci. Zawiadomiła ich o przybyciu swojem, bojąc się przerazić niespodzianem zjawieniem, a teraz żałuje, bo złą wybrała chwilę. Toż to pojutrze Boże Narodzenie. Jak ona się teraz przystosować potrafi do tego co ją tam czeka? Jej zmalało, zbladło—w niewidzialność zbladło to wszystko, a oni z pewnością tacy, jak dawniej. Nie chciałaby im zrobić przykrości swoją postawą wyłączną, ale ona przecież odwykła od tych obrzędów antydyluwialnych Boże! jak ona sobie poradzi? Gdybyż to przynajmniej ten brat był obok niej, ale on tak splątał losy swoje, że chyba tu już nigdy nie zajrzy, choćby chciał najbardziej. Musiała jechać sama. Jak ona ich powita? Co im powie? Nadewszystko, jak im powie, że ona wkrótce powracać musi? Tyle tam pracy zaczętej, takiej pracy poważnej, która już nawet uwagę zwracać zaczęła, a tu potrzeba przecież podtrzymać honor tych, o których mówią, że w połowie drogi ustawać zwykły.

Stary Jan, który ją wiezie, ciągle się ku niej zwraca i po raz setny usiłuje nawiązać rozmowę. Ale nie idzie—nie idzie wcale. Jemu dziwno, że to ta sama panienka, co jego dwie córki do chrztu trzymała i miała dla nich dobre słowo, choć pod koniec, co prawda... Teraz słucha go ona, przez grzeczność nawet zapytuje, ale to prostak taki, co nic nie rozumie, zaraz rozpozna przymus od skłonności serdecznej. Ona sama dziwi się sobie, dlaczego jej to tak rozpaczliwie obojętne to wszystko, dlaczego po paru latach nie jest choćby ciekawszą tylko. Przepaść między nią—dziewczęciem zrodzonem na tych równinach, a nią—kobietą uszlachetnioną przez naukę. Dla niej droga powrotu zamknięta z pewnością na zawsze.

Rodzice tylko z myśli jej zejść nie mogą, ale jakże ona zakłopotana tem blizkiem spotkaniem z niemi! Ha! dziej się wola Boga czy przeznaczenia!

Przybyła! Powitali ją, jak skarby odzyskane, podawali sobie i odbierali nawzajem; jej samej serce na chwilę uderzyło żywiej. Żal jakiś niezmierny tylko

głos jej tamował. Boże! jacyż oni pochyleni—jacy starzy! Pytają o tamtego; oni już domyślają się, że go nie zobaczą nigdy, więc łzy za nim, straconym na zawsze zalewają im oczy.

Jak oni spali tej nocy pierwszej ci staruszkowie? Ona nie spała wcale. Coś ją gniecie i przytłacza. Ani to niechęć, broń Boże, ani brak przywiązania nawet. Ale bo dlaczego oni tak nagle się zbliżyli do grobu—dlaczego tacy nieszczęśliwi! Kiedy o tem myśleć zacznie, zrywa się na łóżku, siada i czuje na twarzy płomień gorący. Nie wie sama, jak nazwać to uczucie, którego doświadcza.

Aj, ty Jutrzenko biedna!—gdybyś ty nie była zapomniała tych prostych prawd, które ci w serce wpajała matka, tybyś wiedziała, jak się to uczucie nazywa. Ale ty nie wiesz, ty już nic nie wiesz z tego, co stanowiło bogactwo i szczęście twego dzieciństwa. Daj ci Boże nie nazwać sobie nigdy twojego żalu mianem właściwem, bobyś bardzo, bardzo nieszczęśliwą się czuła, a twoje spodziewane tryumfy ani w części nawet na ból twój poradzićby nie zdołały.

Jak cień przechodziła cały dzień wigilijny. Radaby matkę staruszkę, z trudnością włóczącą nogi, wyręczyć, ale ta jej niczego dotknąć się nie pozwoli. Pieści ją, całuje, odwraca się i łzy ociera, ale w tem obejściu jest jakby skarga jakaś, tak jakby mówiła temu dziecku, co wczoraj zawitało pod rodzinną strzechę: A czyż to dla ciebie zajęcia takie powszednie?

Jak to boli i drażni tę córkę, bo gdyby chociaż staruszka zdrowiej i rzeźwiej wyglądała!

Ojciec co chwila wchodzi do pokoju i wpatruje się w nią, a potem drży mu twarz jakoś tak dziwnie, i stary wysuwa się cicho.

Ona przecież wie, że wyjechać musi, i oni zapewne rozumieją to równie dobrze, ale jak im to powiedzieć teraz? Gdyby była przewidziała tę mękę, nie miałaby chyba siły, aby ich i siebie na nią narazić.

Zmierzchać się poczyna. Już niedługo, a potem odpocznie; może sen ulgę przyniesie. Jeszcze tylko cały szereg tych nużących zwyczajów, i to łamanie opłatkiem, o którem nieraz z bratem w domu

jeszcze z taką niechęcią mówili. Przypomina sobie to, ale dzisiaj to już nie żadna niechęć jak niegdyś, to trwoga i lęk jakiś chyba. Ale, Boże miły! alboż to się taki stan nie da najlepiej terminem: „napięcie nerwowe“ określić? Odzyska za dni parę równowagę, i będzie panią siebie, jak była zawsze, co jej nawet najniechętniejsi przyznać musieli.

Nareszcie wszystko, co złe i przykre, skończyć się raz przecie musi. Gwałt, jaki sobie przez dzień cały zadawała, wyczerpał jej siły. Przeprasza teraz rodziców, wymawia się utrudzeniem podróży długiej i prosi, aby jej do siebie odejść pozwolili. Oniby jej sprzeciwić się mieli? Toż w całem ich obejściu z nią na tyle tylko widać przymusu, że oni nie wiedzą, jak jej ten pobyt umilić; oni się takimi małymi ludźmi wobec niej czują. A przytem lękają się o jej zdrowie; taka wybladła teraz, taka w niczem niepodobna do tego promyka światła, jakim była oczu ludzkich.

Rzuciła się w ubraniu na łóżko; może w ten sposób prędzej zaśnie—ta noc wczorajsza taka była okropna—taka pełna mar i widziadeł strasznych. Nawet

ją, ją kobietę światłą, ścigają wizye jakieś pod tym dachem omszałym; wszak tam wolną była od nich zupełnie. Tu dopiero zstąpił na nią ten niepokój, ten lęk jakiś szczególny.

Usnęła.

Ależ tu kresu męce jak widać nie będzie! Czy to pożar? Te okna takiem światłem płonące, te głosy jakieś!... To z czeladnej izby płynie to światło i ta fala głosów ludzkich, takich gromkich— takich niesfornych a takich znanych, takich znanych...

Całą przeszłość wywołuje z niepamięci ta pieśń szczególna. Słowa aż tu do niej dochodzą wyraźne...

„Bóg się rodzi, moc truchleje.“

Teraz już nie wie, co się z nią dzieje Omackiem, z wyciągniętemi rękoma idzie ku tej pieśni, i staje nareszcie olśniona blaskiem świateł i tłumem ludzkim, klęczącym, pokornym, a tam na przodzie ta siwa głowa staruszki jej kochanej... Zboku wsparty na lasce ojciec, a łzy dziwne jakieś—spadają mu na wąsy białe. Sama czuje, że gorzkie one jak skarga.

Ta izba umajona świerkiem i jedliną! Toż to ona z bratem stroiła ją niegdyś na ten dzień uroczysty... Boże, gdzie te czasy!

Panienka... panienka.. zachorowała! słychać dokoła, i w jednej chwili te dwie, troską pobielone głowy są obok, i podnoszą ją i prowadzą do jej pokoiku dziecinnego, a wypytują, co jej się stało, dlaczego nie powiedziała, że przyjdzie. Byliby blizko niej, nie byliby pozwolili, żeby tak upadła na progu.

Ona im nie odpowiada—ona tylko z własną duszą rozmawia, ale się tak miłosiernie czepia ich rąk, jak gdyby przeciw zmorze tego, co tam zostawiła daleko, i przeciw sobie samej u nich szukać chciała obrony.

Utulona przez tych biedaków dwoje spoczywa teraz, jak niegdyś, na białych poduszkach ta główka jasnowłosa i śpi, a oddycha tak spokojnie, jak gdyby jej snu strzegły wszystkie dobre duchy tej omszałej strzechy.

Niedaleko na krześle siedzi na straży tego snu ojciec; płacze i teraz ten starzec, ale to nie te same łzy, któremi

się tak boleśnie skarżył Bogu przed paru godzinami, a tam w pokoiku obok, klęczy pochylona postać staruszki u stóp Ukrzyżowanego, który w dniu narodzin swoich pozwolił jej dziecięciu narodzić się po raz drugi.

JEDEN Z TYCH,
O KTÓRYCH NIKT NIE WIE.

Nazywał się Antek Podkowiak; miał lat dwadzieścia sześć i był przewoźnikiem. Nad tą płową rzeką się urodził i wychował, tu go ojciec, przewoźnik także, do rzemiosła zaprawiał, tu nauczył się on wszystkiego, czego potrzeba, aby być dobrym rybakiem; wiedział, kiedy fala przybierze, gdzie brodu sprobować można, gdzie mielizna, a gdzie wir, od którego zdala trzymać się wypada. Bo to niestała była ta rzeka—niestała i zmienna, jak to słonko w jesieni, jak dola ludzka i ludzka przychylność.

Antkowi od dziecka śmiało patrzało z oczu; silny był już w lat piętnaście, niby jaki chłop dwudziestoletni, ale zwady unikał i wogóle do ludzi się nie garnął. Mrukiem go nazywali niekiedy, bo w ciżbę ludzką nie wchodził, a zawsze

nad tą rzeką swoją i zawsze w jej wody jednako zapatrzony. Nurkował, jak ryba; z pod wody go czasem przez kilka pacierzy nie widać, i już jaki taki nad brzegiem stojący powtarza:

— Oho! przyszło Antkowi chyba na koniec tym razem!

A on o kilka stai ztamtąd wypływa i dwułokciowego suma trzyma pod skrzele.

— Co prawda—mówili ludzie,—okrutną ma chłopak zmyślność do tej wody.

— Bo też ona jego prędzej czy później będzie miała,—dodawali inni;— przecież, na to mówiący, człowiek to tylko człowiek, a nie żadne takie wodne Bozkie stworzenie.

W chałupie u siebie Antek szczęścia nie miał. Ojciec odumarł gdy miał lat dziesięć; zostało ich dwóch braci i matka, kobieta nie wiekowa jeszcze, ale szwankowna na zdrowiu, która sobie starszego Jędrka osobliwie umiłowała, a Antek to był sobie tak od biedy, od pilnowania przewozu i matczynego gderania. Jędrkowi oddano gospodarkę, bo miał już lat szesnaście, kiedy ojciec pomarł; niby to tam miał on kiedyś tego Antka z ojco-

wizny spłacić, ale lata biegły, o spłacie nie było słychać, a i Antek też się o nią wielce nie naprzykrzał.

Albo mu to zresztą krzywda była nad tą jego rzeką? I z przewozu grosz kapnął, i ryby arendarz z sąsiedniego dworu co piątek zabierał, a chociaż licho płacił, ale płacił, a Antka rachunku nikt przecie nie słuchał. I tak się to jakoś ułożyło, że matka ze starszym bratem sobie, a on sobie. Powoli, powoli przyszło do tego, że o spłacie onej przestano mówić, bo kiedy sobie radę daje, milczy i od nich nic nie potrzebuje, to widać, że mu dobrze.

Przyszedł na Jędrka czas żenić się; raiły matce kumy synową taką, coby tylko Bogu podziękować, jeśli ją dadzą, ale czy dadzą aby? Bo to gospodarka nie wielka a ich przecie dwóch na nią. Gdyby tak jeden, to niechby tam jeszcze, ale jak ma pójść na dwie połowy, to chyba na nic.

Matka w płacz; nuż w prośby do Antka. „A mój ty chłopcze, powiada, toż ty wiesz przecie, że on ci starszy, że to moja pociecha cała i opiekun jedyny, a i tobie przecie on brat, nie obcy. Żebyś

ty się tak odpisał, powiada, toby on dostał dziewuchę bogaczkę, jakiej we wsi całej niema, a i tobieby przecie przy nim lepiej było, bo jużci i on nie taki, żeby miał swojemu poskąpić. Mój Antku, mój synu, toć ty przecie pamiętasz chyba, jak cię ojciec przed śmiercią upominał, żebyś matce i bratu przeciwny nie był."

Antek miękki był okrutnie, jak mu kto ojca przypomniał, a że mu się właśnie dwadzieścia jeden lat jakoś skończyło, więc tylko ręką machnął, a jak go w dwa dni potem zawołali do wójta, to podpisał się krzyżem świętym, nie bardzo się nawet dopytując, o co chodzi.

— Chcą matula, to niech tak będzie, jak chcą.

I cicho było w chałupie i spokojnie, jak przedtem.

Jędrkowi dziewczynę przyrzeczono, ale ojciec Rozyny gospodarz był nie byle jaki. „Teraz, powiada, przednówek i to ciężki nawet; o weselu nie gadać. Jak się, da Bóg doczekać, sprzątnie z pola, a jesienią obsieje jak wypada i wykopie, to niechże będzie i to wesele wtedy." I na tem stanęło.

Ten przednówek, o którym mówił ojciec Rozyny, ciężkim był w istocie w chacie Podkowiaków, ale tego jakoś oczy ludzkie nie widziały.

Jędrek pod te czasy mało siadywał w domu, jeździł gdzieś, ale gdzie i po co, tego nikt nie wiedział, boć to na wsi każdy swojem zajęty i mniej pyta o to, co dolega drugiemu. Alboż to człowiekowi własnej jego biedy nie dosyć?

Jednego dnia piątkowego po południu przyszedł Jędrek do brata do przewozu i zażądał, żeby ten pojechał za niego do miasteczka o dwie mile odległego. Powiadał, że sam na żaden sposób nie może, że ma robotę w domu; prosił, obiecywał i przyrzekł na przewóz dać baczenie, bo Antkowi chodziło o to, aby się ludzie nie odstronili.

— A dasz ty aby sobie radę?—pytał,— bo to woda przybiera jakoś od wczoraj?

— Niech cię o to głowa nie boli. Taki ja przewoźnik, jak i ty.

— No, ale pamiętaj, żebyś biedy jakiej nie narobił. Najciężej jak się rozniesie, że się kto u Antkowego przewozu wody napił, to przez lata całe psa nie napędzisz.

— Nie marudź a jedź.

I Antek pojechał. Wrócił nad ranem i zdziwił się, że w chałupie ich świeciło się jeszcze, podczas gdy w innych ciemno było zupełnie, a zdziwił bardziej jeszcze, kiedy matkę i brata zastał czuwających. Najwyraźniej nie kładli się od wczoraj. Nie wiele do niego mówili, ale jacyś tacy byli szczególni. Opowiedział im, co zrobił, jak zrobił i poszedł spać do swego baraku nad rzekę.

Nazajutrz chmury opuściły się nizko, Antek wyjrzał ku lasowi, zobaczył jak się obłoki kłębiły od strony dąbrowy, i pewny, że trzydniówka nadchodzi, wrócił pod dach, bo i nie było naprawdę potrzeby wyglądać dzisiaj na wodę.

Około południa wpadła do niego matka; blada była, wystraszona, mówiła coś niezrozumiale, a prosiła, a zaklinała, ale Antkowi ani się było domyśleć, o co jej chodzi.

— Jeśli ci Pan Bóg miły, synu, powiedz, że to ty byłeś przy przewozie dzisiejszej nocy. Jeśli starej matki sieroty do grobu nie chcesz popchnąć, powiedz, że ty przez noc tam byłeś.

— Co się stało matko? mówcie.

— Co się miało stać? Nic się nie stało. Jaki ty, Antek, głupi zawsze jesteś. Żeby co było złego, tobym ci powiedziała.

— No jeśli się nic nie stało, to po co mi gadać, żem był, kiedy ja nie byłem.

Mówić znów zaczęła bez związku, znowu prosiła, zaklinała, w końcu mu się do nóg schyliła, zaklinała na ojca, bo wiedziała, że jak to nie poradzi, to już chyba nic nie poradzi.

Antka zimno jakieś przeszło po grzbiecie. Chciał jeszcze pytać, ale czasu na pytanie już nie było, bo się drzwi otwarły, a w nich postacie wójta i strażników dopełniły miary Antkowego przestrachu.

Na prawdziwego też winowajcę wyglądał w tej chwili młody przewoźnik. Oczy jego padły na matkę; takie jakieś miała sporzenie, rychtyk, jak ojciec, kiedy umierał, cofnęła się za tych ludzi, co weszli do izby; i wzrok miała utkwiony w syna, a ręce złożone, jak do modlitwy.

— Ty, Antek, był dzisiaj u przewozu?

Antek spojrzał raz jeszcze na matkę.

Teraz ona już nie patrzyła na niego, tylko stała oparta o ścianę, a ręce wyciągnęła przed siebie.

— Tyś przewoził dzisiaj?—powtórzono zapytanie dobitniej.

— Ja.

Stało się!

* * *

Kiedy go prowadzili związanego do miasta, patrzył błędnie przed siebie i od czasu do czasu pytał, o co chodzi?

— Toś ty się, Antek, niezgorzej wytresował widać — odpowiedział mu jeden z tych, którzy go transportowali. — Udaj ty w sądzie głupiego, tak dobrze, jak udajesz teraz, to się może i wykręcisz. O! ale ciebie nie uczyć. I ktoby to na takiego był pomyślał!

— Powiedzcież mi, o co chodzi?

— Już teraz o nic. Złapali je w Porębie Górnej. I Jaśka Stępniaka przy nich.

— Niby co złapali? Kto złapał?

— Aj, szczwany z ciebie chłop, szczwany! No, ale niech cię tam! Złapali te si-

we—wszystkie cztery. Przecie maść musiałeś dojrzeć i po nocy, bo to jasne.

Teraz już Antek wiedział.

W sądzie plótł trzy po trzy, kilka razy chciał zaprzeczyć, że był tej nocy, ale zaraz stawały przed nim te straszne oczy matki i milczał. Dostały mu się dwa lata.

Po wyroku przyszła do niego matka i przyniosła mu jakieś węzełki. Patrzył na nią wpółprzytomny, a na wszystko, co mówiła, odpowiadał jednem i ten samem:

— A toście mnie zakopali! Niechże was!

* * *

Po dwóch latach powrócił, ale chałupę ominął i poszedł prosto do przewozu. Tu zastał jakiegoś człowieka nieznajomego, któremu kazał iść precz, a taką miał szczególną minę, że ten obcy nie czekał, aż mu to drugi raz powtórzy i umknął.

Matka, ile go razy zobaczyła, cofała się za próg chaty, a brat nie znał go wcale, boć to nie i przystało zupełnie na bogatego gospodarza, jakim był teraz,

przyznawać się do jakiegoś tam, co świeżo powrócił z prochowni.

Ale ludzie oswoili się z nim wprędce. „Jaki tam jest ten Antek, taki jest, mówili, ale trzeba powiedzieć, że przewoźnika niema nad niego. Jużci nie pilno nikomu się z nim zadawać nocą, ale tak za dnia Bożego, to pewniejszy człowiek z nim, jak z każdym innym.

I tak się wlokło życie dalej. Na wsi pogadali i przestali gadać, a Antkowi jeśli było ciężko, to przez zimę tylko. Jak kry spłynęły, już on znowu patrzył, jak dawniej, w swoje płowe fale rzeki, a co myślał, to Bóg tylko wiedział jeden.

* * *

Na imię jej było Zośka, była córką ubogiej komornicy, miała lat szesnaście i dwa razy w tygodniu przychodziła prać chusty do rzeki niedaleko od Antkowego przewozu.

Przewoźnik spojrzał na nią, kiedy pierwszy raz tu się zjawiła, mruknął coś przez zęby i odszedł, bo już teraz to trzeba powiedzieć, że na wierutnego mruka

się wykierował. Za drugim razem powiedział już wyraźnie: „I po jakiego biesa znarowiło się to licho tutaj!“ Tymczasem to licho, które było bardzo ładną jasnowłosą dziewczyną, przychodziło na to odludzie, żeby uniknąć zgiełków z wiejskimi parobczakami, którzy zawsze tłumem gotowi byli iść tam, gdzie była Zośka. A matka chowała ją surowo i na żadne swawole, broń Boże, nie pozwalała. Wreszcie powiedział sobie Antek:

— Przychodzi, to niech przechodzi; co mi tam do niej, albo jej do mnie.

Jednej soboty, bo zapamiętał dobrze ten dzień przewoźnik, przyszła Zośka wcześniej nieco i wzięła się do roboty. Niedługo rozległ się krzyk, a taki szczególnie bolesny, że Antek, który dobrze wiedział, co to za psotnica ta rzeka, a na biedę ludzką czuły był dosyć, zwyczajnie jak każdy nieszczęśliwy, w jednym skoku stanął przy niej.

— Co się stało?—zapytał.

Dziewczyna wskazała mu kilka sztuk bielizny, które woda unosiła, a sama płakała i zawodziła coraz boleśniej. Niedługo się namyślał, zrzucił wierzchni kubrak

i odrazu puścił się na głębią, a właśnie jak na psotę bieliło się płótno w najgorszym wirze, i Antek choć to niby wypraktykowany był w takich sprawach, przez chwilę namyślać się zdawał. Ale co tam! Ani on taki niedołęga, ani to życie takie znowu słodkie. Co będzie, to będzie! Gęsto przebierał rękami, zadyszał się, jak wypada, ale po kwadransie wrócił i, oddając stratę dziewczynie, powiedział:

— A na drugi raz pilnuj lepiej.

Ona wyciągnęła do niego ręce i uradowana wykrzyknęła:

— Bóg zapłać. Poczciwy z was człowiek, mój Antoni!

Spojrzał teraz. Coś niby żelazo gorące przeszło mu przez piersi. Nie wiedział, co zrobić i co powiedzieć, wreszcie zabrał swój kaftan, złożony na krzaku olszowym, i odszedł do siebie. Wracając, oglądał się ciągle.

Odtąd on czekał jej przyjścia i liczył dni w tygodniu i godziny w dniu, kiedy też to ona zjawi się znowu i powie swoje: „Niech będzie pochwalony!“ bo do tego jednego pozdrowienia Chrześciańskiego ograniczyły się ich rozmowy. Tak by-

ło przez parę miesięcy, aż jednego razu śmiało zbliżył się do niej i zapytał wprost:

— Powiedz Zośka, poszłabyś ty za mnie?

— Albo ja wiem. Jakby matula kazali, tobym może poszła.

— A matula pozwolą?

— Czy ja wiem — może pozwolą, może nie.

Tego zaraz wieczora poszedł do wdowy komornicy. Co on tam gadał i jak gadał, nie wiedział sam, ale jak przestał, to usłyszał od wdowy te słowa, które zapamiętał dobrze:

— Dziwny z was człowiek, mój Antoni. Takeście jakoś nad tą wodą zdziczeli, że nie wiecie już nawet, jak się po co do ludzi przychodzi. I któż to tak sam przyłazi w takiej sprawie? Przecie to nie o wołu i nie o konia chodzi, a o dziewkę na żonę.

— Gdzie mi tam ludzi prosić o taką posługę.

— Ano to i widzicie sami. Kto nie ma nikogo, coby za nim rzekł dobre słowo, to widać...—Tu się zatrzymała—znać, że jej się Antka żal zrobiło.

A on znowu, widząc, że odmawia wprawdzie, ale nie fuka i nie wypędza, jął nalegać i prosić a schylać się do kolan, a obiecywać. Kobiecie prostej zaczęło się markocić; ale żal żalem, a dziecka jedynego na stracenie ona nie da. Jak już tego zaczęło być za długo, że to na wsi kobieta co w sercu to i na języku, więc już ostrzej i głośniej powiedziała:

— Mój Antoni, co niepodobne, to niepodobne! Zośka biedna, jak mysz kościelna, aleć ty przecie człowieku słyszał, kto był jej ojciec. W sukmanie chodził, jak i drugi, życie miał ciężkie pod koniec, jak mało kto, ale na jego pochowku sam dziedzic był, i płakał, nieprzymierzając, jak po bracie rodzonym. To też dziś my na łasce dworu, ale nie my im winne, a oni nam.

Antek nalegać nie przestawał.

— Idźcież z Bogiem, mój człowieku, zkądeście przyszli. Albo to ja dziecko chowałam dla takiego, co...

Tym razem odszedł.

W dwa dni potem powlókł się do dziedzica prosić, żeby się za nim wstawił.

Dziedzic żądania wysłuchał cierpliwie, ale powiedział to, co myślał:

— Ja słyszałem zawsze o tobie, mój kochany, żeś ty człowiek dobry, ale sam rozumiesz, że cię raz skusiło, i że się ludzie od ciebie odstronili. Jak to tam było — nie wiem i nie chcę wiedzieć, ale gdyby mnie one same nawet przyszły pytać o radę, to ci powiem, żebym im nie doradzał tego. To widzisz dziecko po człowieku nie ladajakim, a ty... pojmujesz sam...

Znowu przemęczył się kilka dni, poczem udał się po radę do proboszcza. Proboszcz był to sobie staruszek dobry, nikogo nie sądził, nie potępiał, nikomu pomocy nie odmówił. Antka wysłuchał, głową pokiwał i kazał po odpowiedź przyjść za dwa dni.

Wstał Antek o świcie, na plebanią miał ze dwieście kroków, ale wyszedł z domu i stanął za księżą stodołą, żeby przydybać proboszcza, jak będzie powracał z Mszy rannej. Dłużyło mu się okrutnie, ale się wreszcie doczekał. Poznał go starowina i odrazu przystąpił do rzeczy:

— Moje dziecko! mówiłem ja z matką, ale ci nic dobrego do powiedzenia nie mam. Już tam, co można było, to ja za tobą powiedziałem, ale tak myślę, że jej nie przeprzeć. Co prawda: jej dziecko— jej wola. Idź-że z Bógiem mój kochany, bądź cierpliwy, ludziom w drogę nie wchodź, to się z czasem mogą przejednać na ciebie i darują ci. Niech Bóg prowadzi.

Teraz już wiedział Antek, jaki jego los: Swoi zgubili, obcy odepchnęli, ona nie dla niego, a więc nie dla niego życie między ludźmi i chyba ta jedna, co go nie zawiodła nigdy, ta jedna da mu schronienie i przytułek.

Szedł automatycznie ku niej, a wiatr jesienny świszczał w lipowej alei i reszty zżółkłych liści miotał mu pod nogi.

* * *

— A patrzajcie-no moi ludzie, co to jemu do głowy strzeliło—mówiono w gromadce, stojącej po tamtej stronie rzeki wprost Antkowego przewozu — A dy to

on sobie tak w bród chce rzekę przejść, jakby kilku czółen na zawołanie nie miał.

— Ba, ale się zagrzeje dowodnie, bo to przecie jutro Wszystkich Świętych.

— Musiał czub zalać, to mu ciepło.

— Niezwyczajny on tego. A! patrzajcie: woda go bierze. Antek, pilnuj się!

— Słyszy? — nie słyszy. No moi drodzy, patrzajcie ino, to on chyba nurkuje po swojemu.

— Wypłynie on tu nie długo; nie bójcie się.

Ale Antek tym razem nie wypłynął.

* * *

Nazajutrz wieczorem odnaleziono zwłoki Antka przewoźnika u brzegu Kępy. Dano znać matce i bratu, żeby się zajęli pogrzebem. Brat zrobił, co do niego należało, i chwalili go ludzie bardzo, bo to zawsze ladaco był ten Antek. Matka płakała przez kilka wieczorów i ranków, aż raz zawołała Jędrka do alkierza, i po cichu, tak żeby żona nie słyszała, szepnęła mu do ucha:

— Zawdy ty, Jędrek, pamiętaj zmówić Zdrowaś Marya za jego duszę, bo mnie się widzi, że on nie po chrześcijańsku życie skończył, a ty wiesz przecie,..

Reszty nie domówiła.

ZADOSYCUCZYNIENIE.

Adam Z. był ulubieńcem i dumą prawdziwą kolegów, kończących szkoły w roku 18...

Posiadał wszystko, co młodego chłopca godnym robi takiego wyróżnienia, bo i dojrzałością w ogólnem rozumieniu przewyższał przeciętne wyrobienie życiowe rówieników, i przymioty istotne serca objawiające się pod formą uczynności, gotowości do usług braterskich, robiły z niego przedstawiciela wszystkich zbiorowych wystąpień—oś prawdziwą, dokoła ktorej obracały się wszystkie wielkie sprawy tego małego świata.

Jeżeli zachodziła potrzeba zaradzić biedzie jakiegoś współucznia, Adam Z. był z pewnością pierwszym, który się o tej biedzie dowiedział, i albo jej sam skutecznie zapobiegł, albo załatwiwszy

rzecz w części tylko, resztę potrzebną przez wpływy i stosunki swoje w krótkim czasie uzupełnił.

Jeżeli przychodziła konieczność zrobienia w imię solidarności koleżeńskiej jakichś przedstawień władzy szkolnej, mało kto się z takiego zadania lepiej od niego wywiązywał.

Przed zabawą, choćby nawet i ryzykowną, to znaczy w połowie tylko, albo w jednej czwartej dozwoloną, nie cofał się nigdy, a i reszta raźniej i śmielej pozwalała sobie przy jego uczestnictwie na różne drobne nadużycia, bo zawsze była tam otucha, że jeśli kto z kłopotu wydobędzie, sytuacyę ocali, nikt tego nie dokaże pomyślniej, i gładziej jak Adam Z. Zresztą przykłady takie trafiały się często.

Był to więc kolega serdeczny, towarzysz nieoceniony, a w chwilach trosk i frasunków głowa do rady jedyna.

Ani cienia przytem egoizmu, ani śladu sobkowstwa, do którego wczesna rozwaga dawała mu pewne prawa. Broń Boże! Całkiem nawet przeciwnie zachowywał się ten chłopiec w każdej okolicz-

ności wyjątkowej. Jeżeli sam nie brał udziału uczynnego w nadużyciu jakiemś, pierwszy mimo to stawał do podzielenia się odpowiedzialnością za popełnione szaleństwo, zawsze gotów dotrzymać placu w godzinach rzeczywistego, czy urojonego niebezpieczeństwa — zawsze śmiały i pewny siebie nad wiek nawet i położenie.

Niezależności używał o wiele większej, niż którykolwiek z rówieników, a to już samo przez się zjednywa w szkołach poważanie.

Taki młodzieniec niekrępowany w czynnościach swoich, niekontrolowany przez nikogo, rozporządzający sobą w domu i poza domem, to niby człowiek skończony i dojrzały, a wiadomo przecie, ile tó z każdej piersi dziecinnej wyrywa się westchnień za ową samodzielnością przyszłą, z którą niejeden nie wie później, co począć w życiu.

U siebie przyjmował Adam Z. kogo chciał i kiedy mu było po myśli. Wiedzieli przyjaciele najbliżsi i dalsi nawet towarzysze, że utracił matkę przed kilku laty, i że był u ojca jedynakiem bardzo

kochanym, którego potrzebom, wymaganiom a nawet zachciankom gotów był ten ojciec zadośćuczynić przy każdej sposobności. Tego ojca widywano także niekiedy, w dnie mianowicie liczniejszych zgromadzeń koleżeńskich i festynów dorocznych. Był to staruszek mały, pochylony, rzeźki jeszcze dosyć w ruchach i gestach, ale małomówny, zamknięty w sobie, okazujący w obec tej niedorosłej młodzieży mniej powagi odpowiedniej wiekowi swemu, a nawet mniej pewności siebie, niż zwykli zachowywać ojcowie w stosunkach z kolegami szkolnymi ich synów. Uprzejmy był niesłychanie, serdeczny, widać było nawet, że wdzięczny szczerze za przywiązanie okazywane jego dziecku; nadto nawet tych niedoświadczonych oczu nie uchodziło spostrzeżenie, że nietylko żyje wyłącznie dla tego syna i przez niego, ale że radby sam pozostać w cieniu i ztamtąd cieszyć się uznaniem i miłością, jaką tego chłopca otaczano. W chwilach gwarniejszej wesołości, przy każdym okrzyku na cześć ukochanego kolegi, a młodość lubi tego rodzaju demonstracyjne oznaki uznania, rad stawał

starowina we drzwiach i spoglądał z rozrzewnieniem po tych młodych entuzyastach, ściskał im serdecznie ręce, nie siląc się nawet na hamowanie wzruszenia, które zresztą nadto było widocznem, iżby o jego ukryciu myśleć było można.

Dziwić się należało, że takie dobrowolne a przedwczesne usunięcie się ojca na drugi plan nie oddziałało ujemnie na rozwój charakteru Adama, ale uprzywilejowana to — szczęśliwa prawdziwie była organizacya. W latach dziecinnych roztargnień rozważny był i umiarkowany; w epoce dojrzewania miał jakiś szczególny przedwczesny takt i powściągliwość; nie unikał rozrywek, ale i nie wydzierał się do nich zbytecznie, więc choć z każdym innym w jego wieku i położeniu próba podobnego pozostawienia samemu sobie ryzykowną była a nawet niebezpieczną—z nim jednym nie zagrażało, można powiedzieć, nic z tej strony. Stosunek tedy między ojcem a synem nie pozostawiał nic do życzenia ułatwiała jeszcze położenie znaczna, jak się zdawało, zamożność tego ojca, niedopuszczająca powszednich trosk, drobnych, a dokuczli-

wych przykrości codziennych, w które obfituje życie w warunkach odmiennych, a w których ludzie, pomimo przywiązania nawet wzajemnego, robią się mniej wyrozumiałymi i swarliwszymi względem siebie. Jednem słowem Adam był charakterem tak szczególnie zrównoważonym, iż niejednemu znającemu życie człowiekowi przychodziło na myśl, jakim też stopniem pomyślności obdarzyć może los tego człowieka młodego, tak wyjątkowo zbrojnego przeciw burzom, niepowodzeniom i upadkowi.

Jaką była epoka dojrzewania, taką i dojrzałość sama. Życie uniwersyteckie zupełniejsze, obfitsze w treść, zastało go przygotowanym całkowicie, wniósł też do niego całą swoją popularność szkolną, którą przechować i podnieść pozwalały mu tutaj zarówno okoliczności zewnętrzne, jak jego uporządkowany i wyrobiony tryb postępowania. Ojciec przeznaczył mu teraz udział w dochodach swoich bardzo znaczny, potrzeby osobiste o wiele nie dorównywały rozmiarami tym dochodom, a że na potrzebujących nie zbywało dokoła, stał się wkrótce Adam opatrznością

prawdziwą młodzieży ubogiej, skarbiąc sobie uczynnością serca ludzkie i znajdując dla siebie w takiej możności dzielenia się mieniem niewyczerpane źródło zadowoleń.

Był szczęśliwym prawdziwie wybrańcem losu; nauka zajmowała go, ale nie pochłaniała całkowicie, o wiele natomiast bardziej interesował świat i jego sprawy, a że w tym przedsionku życia, który się zwie epoką uniwersytecką, nie zbywa na sposobnościach uwydatniających całkowicie niemal przyszłego człowieka, więc i Adam Z. pozyskał tu wkrótce opinią wyłączną, na którą zachowaniem swojem w każdej okoliczności zapracował istotnie. Wcześnie zdobyta popularność, brak całkowity pokus, w których honor młodzieńczy na szwank narażonym bywa, i cały oparty na przywilejach śmiały taki pochód przez życie, dały mu pewność siebie może cokolwiek przedwczesną, sąd teoretycznie sprawiedliwy, ale zbyt arbitralny i nieprzejednany. Adam był ceniony, był nawet kochany, ale przyjaciele i przeciwnicy zarówno godzili się w sądach swoich o nim na jednym punkcie, a punkt

ten stanowiły pojęcia o honorze—wygórowane, wyegzaltowane nad miarę, jak utrzymywano powszechnie. „Szedł przez życie, nie potrzebując się schylić—mówiono nieraz — cóż dziwnego, że nosi głowę do góry? Łatwo to mówić takiemu, któremu klucz ogniotrwałej ojcowskiej kassy wszystkie drzwi otwierał dotąd, komentowali inni. Niechnoby on potrzebował zdobywać sam piędź po piędzi grunt pod nogami, jak zdobywają drudzy, przekonalibyśmy się, czyby tak bezwzględnym był, jak jest dzisiaj.“

A nietylko kolegów i przyjaciół raziły te jego opinie, nietylko tutaj trafiał na opozycyą; był jeszcze ktoś inny, komu ta krańcowość bardziej daleko niż rówiennikom była nie pomyśli, który ją po wielekroć razy zwalczał, a nie mogąc nic w tych sądach zmodyfikować, do prawdziwego dochodził rozdrażnienia.

Tym człowiekiem był ojciec Adama. Dziwiło to wszystkich blizkich znajomych domu, dziwiło samego Adama Z. niesłychanie, dlaczego ten staruszek taki niewymagający, taki schowany za syna i nienarzucający mu w niczem przekonań

swoich, w tej jednej, jedynej kwestyi oponował wytrwale i z uniesieniem nawet—przez tę jedną materyą, ile razy poruszaną była przy nim, wychodził ze zwykłej rezerwy swojej. Niekiedy żartowano z tego, niekiedy wnioskował ten i ów, że to troskliwość ojcowska przemawiała tak głośno przez usta staruszka. Wiadomo powszechnie, na jakie przygody często narażani bywają ludzie nadmiernie drażliwi w pojęciach o honorze, jakże się tu dziwić było ojcu tak kochającemu i troskliwemu, że zawsze mu szło o umiarkowanie, o ileby się dało, nadczułej strony synowskich przekonań. I sam Adam nieinaczej wszystkie protesty ojcowskie sobie tłumaczył, i dlatego spory takie dobrego stosunku rodzinnego w niczem nie naruszały.

Zycie płynęło sobie spokojnie, chmurki ani jednej na widnokręgu dostrzedz nie było można, a pod koniec trzeciego kursu uniwersyteckiego zjawił się nawet promień światła pod postacią kuzynki Adama, panny Jadwigi P., która objęła w tak zwane niepodzielne posiadanie dziewicze serce młodego człowieka. Stosunek

ten był znany rodzinie jednej i drugiej strony, przez obiedwie aprobowany całkowicie, a jeśli mu niedawano sankcyi ani rozgłosu, to dlatego jedynie, że takiem było życzenie obojga młodych, którzy woleli być narzeczonymi pocichu i dla siebie tylko, niż głośno i dla świata całego. Można się było domyślać, że ojcu Adama wyjątkowo po myśli był ten związek projektowany, boć jemu poczciwcowi było wszystko dobre cokolwiek mówił, robił lub postanawiał ten syn jego umiłowany—wszystko, wszystko, z wyjątkiem chyba... z wyjątkiem tej bezwzględności w zapatrywaniach na godność człowieka, pojęcia o tem, co słuszne albo niesłuszne—o tem, co się godzi lub nie godzi.

Tamto wszystko było zupełnie chorobliwe, jak mówił starzec z bolesnem skrzywieniem ust, które wtedy nabierały barwy sinej i drgały nerwowo o wiele dłużej, niż trwała dyskusya sama.

Dosyć ograniczone były stosunki starego Z. Mówiono o nim wogóle, że nigdy bardzo towarzyskim nie był, a od śmierci żony zerwał z tą niewielką liczbą kolegów i przyjaciół, z którymi żył

poprzednio. Inni utrzymywali, że od czasu opuszczenia instytucyi finansowej, w której był urzędnikiem, stetryczał starowina prawie doszczętnie, ale że obydwa te wypadki, to jest śmierć żony i porzucenie urzędowania jednocześnie prawie miały miejsce, przeto zarówno jedni jak drudzy mogli mieć słuszność za sobą co do powodów, które pana Z., niegdyś naczelnika wydziału, odosobniły od ludzi i świata.

Samotnikiem był w istocie prawie zupełnym ten człowiek. Mecenas D. cieszący się, jako jurysta, ogólnem zaufaniem, proboszcz parafii, w której od lat 30 przemieszkiwał, lekarz domowy, oto wszyscy prawie, którzy odwiedzali w dłuższych albo krótszych przerwach tego odludka czy samotnika tylko, bo nieznając pobudek jego osamotnienia, niewiadomo było, który z dwóch epitetów słuszniej mu się należy.

Niegdyś żył on w serdecznej przyjaźni z bratem żony swojej, wielce przez opinię cenionym człowiekiem, pomimo jego szorstkości w wypowiadaniu wszystkiego, co

mu leżało na sercu, ale i ten stosunek zaniedbany był od jakiegoś czasu zupełnie, i znowu łączyli ten fakt zerwania, jedni z datą śmierci żony, a inni z tem usunięciem się z urzędu.

Zawsze mieszały się ludziom w pamięci oba wydarzenia.

Pewnego dnia, pracującemu w bibliotece publicznej Adamowi Z. położył ktoś rękę na ramieniu. Obejrzał się, i spostrzegł stojącego poza krzesłem swojem doktora, o którym wzmiankowaliśmy, iż należał do małej liczby blizkich znajomych, jakich sobie zarezerwował ojciec młodego człowieka. Wstawał właśnie Adam, aby powitać przybyłego, gdy naraz uderzył go szczególny jakiś wyraz na twarzy lekarza, a uderzył tem mocniej, że wiedział, jak potrafią ludzie tej profesyi ukrywać umiejętnie wszystko, co mają w duszy, a z czem przed innymi zdradzićby się nie radzi.

— Pan doktór przychodzi do mnie umyślnie?

— No tak—niekoniecznie. Wstąpiłem przechodząc—powiedziano mi, że tu jesteś...

— Idzie zapewne o ojca?—powiedział Adam szybko i z wyraźnemi oznakami zaniepokojenia.

— Chciałem istotnie pomówić o ojcu, ale zabierz lepiej skrypta twoje i wyjdź na chwilę. Spoglądają się na nas... przeszkadzamy...

Za chwilę stali na obszernym dziedzińcu uniwersyteckim, i tu zaczął lekarz szczegółowo opowiadać, jak od pewnego już czasu zwrócił na siebie uwagę jego pacyent wyjątkowym stanem serca, którego funkcye bez żadnych widomych przyczyn słabły niespodzianie—co robił, aby temu zaradzić, i t. d., aż zniecierpliwiony zbyt długim wykładem Adam przerwał mu porywczo.

— Panie, powiedz pan wszystko odrazu... Z ojcem jest źle... Wszak prawda?

— No... dobrze nie jest... ale widzisz trzeba ci się przedewszystkiem uspokoić...

Teraz już szli krokiem przyśpieszonym, zbyt nawet śpiesznym, jak na wiek i siły starego lekarza, to też ten ostatni zadyszany, ocierając uznojone czoło, zatrzymał Adama, wyrywającego się do

domu, i zaproponował mu jazdę dorożką, a nawet sam się za towarzysza ofiarował.

W drodze jeszcze trochę przełożeń, jeszcze nieco filozoficznych zapatrywań lekarza na życie i jego obowiązki, a gdy zaniepokojony coraz bardziej młodzieniec wysiadać już miał z powozu, zatrzymującego się w tej chwili przed domem, wziął go za rękę doktór, i ze spokojem człowieka, stającego codziennie oko w oko z sytuacyami podobnemi, tonem przekonania i szczerego współczucia w głosie, powiedział:

— No, cóż chcesz mój drogi... jesteśmy tylko ludźmi... miejże przecież panowanie nad sobą .. w twoim wieku...

Reszty nie dosłyszał już Adam, ale zrozumiał zupełnie, wyrwał się też doktorowi zdążającemu teraz za nim powolnymi krokami i za kilka chwil był w mieszkaniu.

Tutaj było już wszystko skończone w rzeczy samej. Rano obudził się starzec o zwykłej godzinie, dzień rozpoczął od swoich zwykłych czynności; nie czuł, o ile się zdaje, żadnych w stanie zdrowia

oznak alarmujących, bo służący, który wszedł do pokoju, zastał go siedzącego przy biurku z okularami w ręku; przed nim leżała książka rozwarta, i byłby ten człowiek nie zwrócił nawet uwagi na to, co się stać musiało przed chwilą zaledwie, gdyby nie taki spokój nieruchomy, przedłużający się jakoś niezwyczajnie.

Jeden rzut oka przekonał go, że tu o ratunku nie było co myśleć, że nawet lekarz domowy nie miał już nic do czynienia, oprócz jednego chyba stwierdzenia tego, co nastąpiło nieodwołalnie.

Nie z inną też myślą pobiegł ktoś ze służby szukać na mieście doktora, który, znalazłszy się wobec paraliżu serca, i rozporządziwszy naprędce to, co uważał za swój obowiązek, jako przyjaciela domu, zajął się tem, co było najważniejsze, to jest uprzedzeniem syna w przewidywaniu, że może mu ktoś z ludzi służących zbyt pośpiesznie i brutalnie fatalną wiadomość zwiastować.

Adam doświadczył nagłego i bolesnego wstrząśnienia! Spadło to na niego niespodzianie, bez żadnych znaków zapowiednich i ostrzeżeń. Nie było czasu do

oswojenia się z myślą o nieuniknionej konieczności, nie było obaw, nadziei, powracających niepokojów—i znowu trwogi, i tego długiego pochodu na Kalwaryą, który właśnie przez to samo, że takim jest, spełnia często względem blizkich niszcząco dobroczynne zadanie, doprowadzając ich na sam próg katastrofy już nie w stanie wysokiego podniecenia uczuć, ale wyczerpania zupełnego.

Nie przebiegł etapu po etapie całej takiej drogi Adam Z., i dlatego niespospodziana śmierć ojca podziałała na niego, niby uderzenie maczugi. W tej chwili był tylko ogłuszony i bezradny; na inne uczucia i objawy kolej przyjść miała później. Szczupłe było grono przyjaciół i znajomych zmarłego, więc dopiero ogłoszenia w pismach i plakaty sprowadziły obcych do tego domu żałoby. Pierwsza doba zeszła synowi w odosobnieniu zupełnem prawie, przerwanem jedynie pod wieczór przyjściem proboszcza—jednego, jak to już wspomnieliśmy, z najbliższych i najzaufańszych nieboszczyka. Niedługo potrzebował czasu przybyły, żeby stwierdzić całkowitą chwilową nieporadność syna, więc

po pierwszych utartych formułach okolicznościowych, przystąpił z nim w rozmowie do spraw najbliższych.

— Radbyś, o ile możność pozwoli, uwolnić się od całego zachodu, nieodłącznego od nieszczęścia, które cię spotkało. Wszak tak?

Serdeczne uściśnienie ręki było odpowiedzią jedyną.

— Dobrze. Rozumiem to zupełnie. I nie masz zapewne nic przeciw temu, żebym jako przyjaciel nieboszczyka wyręczył cię w tem? Powiedz szczerze.

Powtórne podziękowanie milczące i wyraz żywego wzruszenia widny w spojrzeniu przekonały proboszcza, że ofiara jego z wdzięcznością była przyjęta.

— A więc bądź spokojny, i nie myśl o niczem, prócz o tem, co ci w tej chwili serce wypełnia. Stary zakon mądrze i z zupełnem zrozumieniem stanu duszy ludzkiej rozporządził się w tym względzie. Troska powszednia na dnie powszednie— tych godzin pierwszych przynajmniej nie godzi się profanować zetknięciem z ludźmi, którzy niewiele zrozumieć, a jeszcze

mniej poszanować umieją. Niech Bóg będzie z tobą i smutkiem twoim!

Słowom tym zwiastującym rozstanie nie towarzyszył jednak żaden ruch odpowiedni. Nerwowo wrażliwy dzisiaj, spostrzegawczy zmysł młodego człowieka pochwycił ten odcień. Nie można powiedzieć, żeby mu wyjątkowo ciężyć miała w tej chwili obecność człowieka obcego, ale bądź co bądź, wolałby może był, aby go pozostawiono samemu sobie. Tymczasem odwiedzający nietylko nie myślał o odejściu, ale przeciwnie, oparłszy się wygodniej w fotelu, wpadł w dłuższe zamyślenie.

Adam przypatrywał mu się uważnie. Po jakimś może kwadransie zupełnego milczenia, ksiądz odezwał się wreszcie zwolna, jak gdyby każdy wyraz, który upuszczał teraz, był obmyślany, odważony i odmierzony.

— W moich rękach jest pismo pozostawione do ciebie...

Adam poruszył się żywo. Jeśli co mogło mu być po sercu, to jakieś słowo przedśmiertne, jakaś myśl ostatnia tego ojca, którego brak tak boleśnie odczuwał w tej chwili.

— List pisany na krótko przed...?

— Na krótko? zaczekajże... No, niekoniecznie. Ten ostatni, który mi wręczył nieboszczyk, niszcząc jednocześnie oddany mi poprzednio, mógł być napisany przed trzema miesiącami.

— Wszak przynosi go ksiądz proboszcz ze sobą?

— Nie.

— Dlaczego? Jabym bardzo... bardzo rad mieć ten list teraz...

Wzruszenia stłumiło resztę słów.

— Wolą ojca twego było, abyś go przeczytał dopiero w tydzień po pogrzebie, i do tego musimy się zastosować obydwa. Co do mnie, jeśli wspominam wogóle o istnieniu tego listu, to jedynie ze względu, że bez objaśnień, jakie ci on przyniesie, mógłbyś się zbyt długo czuć pod jakąś tymczasowością, jakąś groźbą, wreszcie nie wiem, jak to właściwie określić. Żal jest żalem, a choć w szczerość twojego wierzę niezachwianie... niemniej są okoliczności... Co tu długo mówić... Bądź spokojny, nowego nic ci nie zagraża, a nakoniec tydzień czasu, to przecież nie wieki.

Zaczął teraz żegnać się i zabierać do odejścia, ale oddrzwi powrócił znowu.

— Słuchajże mnie, gdybyś przeglądając papiery ojcowskie natrafił na zupełny brak dowodów i objaśnień co do ogólnego stanu jego interesów, to wolno mi przypuszczać, że nieco światła spłynąć ci powinno z listu, o którym wzmiankowałem. Tak sądzę, ale mówię to tylko od siebie. No! bądź zdrów. Niech Bóg ześle ci pociechę i spokój potrzebny.

Z temi słowy znikła za drzwiami pochylona postać starego proboszcza, a Adam pozostał pod szczególnem wrażeniem jakiemś, którego natury określić sam nie umiał.

Czyżby wraz ze stratą, która mu tak bolesnie uciskała serce, rozpocząć się miało w jego życiu coś nowego—nieznanego—coś, co się dotąd przedstawiało pod formą mglistej zagadki, ale co wkrótce wyjaśnić się mogło pod postacią wielkiej jakiejś zapory, którą trzeba było przekroczyć, pominąć, a nie daj Boże, przeciskać się pod nią.

Jak wspomnieliśmy, Adam był zaangażowany; ze wszystkich przeciwności jakie

dla siebie przewidywał w życiu, może najbardziej lękał się tego rodzaju powikłań, któreby go mogły doprowadzić albo do konieczności zaprzeczenia głoszonym zasadom, albo do ciężkich ofiar, któreby odniesione zwycięstwo zbyt drogo okupić zmuszały. Był bezwzględnym w sądzie, ale był szczerym aż do głębi przekonania w mniemaniu swojem—obostrzył sobie dobrowolnie kodeks moralności obowiązującej, ale wiedział, że fortuna kryje w fałdach swoich moc niezmierną niespodzianek, a przytem przychodziły na niego chwile takie, w których niby w panoramie przesuwało się przed nim całe życie jego dotychczasowe. I widział je od początku to życie łatwem, bez wysiłków, walk i przeciwności, rachował się z sobą i pytał, czy podobni jemu wybrańcy losu mają prawo narzucać ogółowi przywidzenia własne, choćby też najszlachetniejsze, ale w każdym razie utrudniające i tak niezbyt już łatwe warunki bytu.

Kończyły się zwykle rozmyślania podobne jedną u Adama konkluzyą, a była ona tej mniej więcej treści:

— Mniejsza z tem! Nie narzucam nikomu mojego widzenia rzeczy, ale sam nie mam nic do ustąpienia z tego, com wypracował jako prawo dla siebie samego. Jeśli mi przyjdzie kiedykolwiek stanąć na rozdrożu, będę wiedział, że droga przedemną jedna jedyna, to jest ta, która prowadzi prosto. Może mnie to kiedyś kosztować drogo, ale zapłacić za własne przekonania potrafię; co prawda, mam też i mosty doszczętnie za sobą popalone.

Wysuwała się z tych cieniów, w które się pogrążał myślą młody człowiek posiwiała głowa ojca niekiedy, jego opozycya wytrwała przeciw temu wszystkiemu; zagadkowo zawsze przedstawiały się nerwowe rozgoryczenia starca, ale w warunkach normalnych młodość niezwykła się zbyt długo zatrzymywać przed hieroglifami takimi, zwłaszcza gdy się życie uśmiecha, a przyszłość nęci i wabi ku sobie ułudami wszystkiemi.

Tak było i z Adamem Z. Dzisiaj znowu, wobec tego świeżego grobu, który się niespodzianie otworzył, nawiedziły go te zmory dręczące, ale pomimo, że miał

wrażliwość podniesioną niesłychanie, pomimo że dziwnie mu się wikłała w myślach z tą całą sferą pojęć tajemnicza misya starego proboszcza, że uporczywie dopatrywał tutaj łączności jakiejś, serce odzyskiwało swoje prawa, żal za zmarłym brał górę nad troską, i od tych wszystkich rozmyślań pozostawiony samemu sobie młody człowiek przeszedł z lampą do gabinetu, w którym wczoraj jeszcze o tej porze przepędził wieczór ten, co tam w salonie obok spoczywał daleki już od wszystkich nędz i utrapień życia.

Dobrze Adamowi tutaj zrobiło się naraz. Zamknął starannie drzwi za sobą i pozostał tak zadumany czas jakiś, spoglądając to na portret zmarłego, wiszący ponad biurkiem, to na opustoszały fotel, stojący obok—na porozrzucane w nieładzie papiery, dzienniki, księgi rachunkowe.

Jest jakieś instynktowne pragnienie u wszystkich pozostających przy życiu, którym pamięć zmarłych jest drogą, jest taka chęć rozpatrywania się w tem, na co ostatnie padały spojrzenia nieżyjącego—na to, z czem on w przedśmiertnych chwilach

miał do czynienia. Machinalnie wziął i Adam księgę rachunkową nieboszczyka, w tem przekonaniu, że znajdzie tutaj takie właśnie świeże ślady wczorajszej jeszcze czynności ojca. Nie omylił się. Zmarły odznaczał się systematycznością wzorową w życiu, więc przepatrywał syn pozycye poszczególne księgi, a choć dalekim był od zauważenia ich wysokości i znaczenia, to przecież mimowoli uległ wrażeniu na widok niektórych cyfr.

Byłżeby ojciec aż tak bogaty? — myślał młody człowiek, odczytując wykazy wymienianych na gotowiznę kuponów.

Zdziwiło go to na razie, ale nie zatrzymało dłużej uwagi. Pomiędzy dostatkiem a bogactwem dla ludzi młodych tego sposobu myślenia, co Adam Z., różnica nie jest wielką, a przytem zbyt świeżą była strata osoby i zbyt szczerym żal z tego powodu, aby porobione niespodzianie odkrycia na korzyść materyalnego położenia, zainteresować go mogły w tej chwili.

O wiele dłużej zastanawiać się musiał nad spotykanym ciągle w księdze przelewem funduszów w ręce proboszcza.

Szczególne doprawdy! — powtarzał Adam co chwila. Ojciec, człowiek, który tyle lat pracował w instytucyi finansowej, powierza fundusze swoje osobie prywatnej, zamiast lokować je w bankach i u władz, przyjmujących depozyty. Ojciec, człowiek stary, świadomy przytem stanu własnego zdrowia, powierza mienie swoje, całe jak się przekonywam, starcowi drugiemu, bez względu na ważność powikłań, jakieby ze śmierci tego ostatniego wyniknąć mogły.

Szczególne! powtarzał pomieszany i niespokojny; pojmuję zaufanie do osoby zupełnie, ale tak oddać wszystko na łaskę losu—niepojęte, niezrozumiałe! I choć po sto razy wymawiał teraz wyraz starość, niby usprawiedliwiające wątpliwości, i nieodłączne od pewnego wieku przypuszczalne dziwactwa zmarłego, to przecież czuł sam aż nadto dobrze, że ta starość, te dziwactwa domniemane, nic go nauczyć nie mogą w tej sprawie. Im dłużej rozważał, im głębiej zazierał w przeszłość, oglądał się po za siebie, przypominał fakta, wiązał wspomnienia rozpierzchłe,

tem ciemniej i zagadkowiej było dokoła niego.

Gorączkowo podniecony szukał teraz spojrzeniem kluczy od biurka. Znalazły się i te niebawem. Przy ich pomocy pootwierał szuflady, chciwem okiem badał, azali niema jakich korespondencyj, dokumentów; alboż on wreszcie wiedział sam, czego szuka? Chciał poprostu rozpędzić te mgły i tumany, któremi los osnuwał go teraz. Naprożno! Wszystko ułożone, uporządkowane, powiązane w zeszyty lub zwoje, ale wszystko to tylko listy stare, papiery osobiste, pamiątki, wspomnienia; tego, o czem myślał Adam, ani cienia, ani śladu! Można było mniemać nawet, że chyba rozmyślnie zniszczył zmarły wszelkie dowody, że chyba w przewidywaniu blizkiej śmierci i z myślą o niej starał się tak doszczętnie uprzątnąć i zamieść po za sobą. Taki stan rzeczy pozostawić mogą tylko ludzie porządni, systematyczni, którzy w dodatku długo nosili się z myślą, aby nie pozostało po nich ani jednego świstka zbytecznego, ani kilku nawet liter niepotrzebnych.

Domysły, przypuszczenia, hipotezy — wszystko to urywało się naraz—nie pozostawało jak czekać na wyjaśnienia, które miało przynieść owo pismo zagrobowe.

Reszta wydarzeń następowała po sobie konsekwentnie. Przyszła pora właściwa na kondolencye familijne i koleżeńskie, nadeszły i obrzędy pogrzebowe, i wizyty dziękczynne Adama za okazane mu dowody życzliwości—wszystko odbyło się w czasie właściwym i wedle paragrafów kodeksu przyzwoitości nie przebaczającego ludziom nawet w godzinach tak niezaprzeczenie tragicznych, jak były naprzykład godziny przeżywane obecnie przez Adama Z.

Znużony, wyczerpany nad wszelki wyraz, zamknął się teraz na wszystkie zamki, zapowiadając służbie, że nie przyjmuje nikogo, bez względu na interes czy pretekst z jakimby przychodził, aż do czasu, kiedy będzie mógł odwołać to postanowienie wyjątkowe. Jedynie proboszcz nie objęty był tym interdyktem, ale ten zupełnie nie dawał znać o sobie.

co, przyznać musiał Adam, niecierpliwiło go w wysokim stopniu, i za co złorzeczył z głębi serca wszystkim ludziom metodycznym do zbytku, akuratnym nad potrzebę, skrupulatnym nad miarę — wszystkim pedantom i nudziarzom jednem słowem.

Ósmego dnia licząc od pogrzebu, bezpośrednio w godzinach po rannem nabożeństwie, odezwał się w przedpokoju głos dzwonka, na który Adam drgnął nerwowo, i mimowoli a wbrew zwyczajowi wymówił głośno:

— Przeznaczenie wychodzi naprzeciwko mnie!

Przeraził się treścią tego, co powiedział, i samem brzmieniem głosu własnego, a zapamiętał pierwszą i drugie zarówno.

Było to w samej rzeczy przeznaczenie, jak je nazywał Adam; obrało sobie ono za posła starego przygarbionego księdza, który nie siadając nawet, ani witając gospodarza domu, wydobył z kapelusza dużą, kwadratową, opieczętowaną kopertę i, składając ją na stole, powiedział

z całą powagą do okoliczności odpowiednią:

— Przeczytaj chłopcze, a czytając, nie zapominaj, że ten, którego masz sądzić, był ojcem twoim.

To powiedziawszy, skłonił się i wyszedł.

* * *

Długo a daremnie czekał pełnomocnik zmarłego przyjaciela swego na odpowiedź jakąkolwiek ze strony jego syna. Rozumiał dobrze, że decyzyi szybkiej, postanowienia nagłego w sprawie tak ważnej a delikatnej powziąść nie było można, ale tu mijały dnie i tygodnie, a Adam Z. nie ukazywał się wcale.

Położenie obarczonego takim ciężarem odpowiedzialności stawało się istotnie bardzo przykrem, a przykrość ta zwiększała się w miarę jak posłuchy dochodzące z miasta nabierały z każdym dniem charakteru bardziej alarmującego. Zaczęto mówić o opuszczeniu ojcowskiego mieszkania przez Adama, o wyprzedaży ruchomości, z wyjątkiem tych jedynie,

które stanowiły własność matki młodego człowieka, zmarłej przed dziesięciu mniej więcej laty. Doniesiono proboszczowi, że Adam Z. mieszka teraz na poddaszu, gdzieś w odludnej części miasta, że wycofał się ze wszystkich dotychczasowych stosunków, że nakoniec, zapewne wskutek ostatnich wydarzeń rodzinnych, charakter młodego Z. stał się nagle tak kapryśnym i zgryźliwym, iż całem sercem przywiązana doń młoda kuzynka dłużej ciężaru tego stosunku znosić nie mogła. Podobno rozeszli się młodzi nieodwołalnie.

Świat cały pozostawał w zupełnej nieświadomości przyczyn i pobudek, jakiemi się rządził w postępowaniu swojem młody fantastyk—co najważniejsza, nie powiadano nic z tego, co stanowiło istotę rzeczy i rdzeń kwestyi, bo Adam milczał, jak grób; ze starego księdza nie sposób było słowa wydobyć, więc chyba z tego, co widać było na wierzchu samym—z następstw snuło sobie wątek plotkarstwo miejskie, a przyznać należy, że nie próżnowały języki tym razem. Dzięki szerzonym wieściom, które wedle powszechnie

przyjętego prawa wzrastały w stosunku kwadratów z czasu i odległości, uchodził teraz zmarły Z. za rozrzutnika pozbawionego zdrowego rozsądku. Niewiadomo jakim sposobem rozporządził tak umiejętnie zebranym za życia żony majątkiem, że mu ten najakuratniej do ostatniej godziny jego wystarczył — wystarczył, ale ponad to nic więcej. Na drugi dzień po jego śmierci znalazł się już syn pozbawionym wszystkiego, a jako jedyne wspomnienie ojcowskiego dostatku, pozostały młodemu pańskie nałogi i nawyknienia.

Tak mówiono powszechnie. Do Adama samego nie transpirowało nic z tych posłuchów i ploteczek, ale ksiądz po kilku tygodniach ujrzał się w obowiązku zakończyć to szczególne w swoim rodzaju zerwanie stosunku, i pewnego dnia, po dojrzałym namyśle wybrał się na odszukanie zaginionego.

Jak się wkrótce przekonamy, dłużej czekać było wistocie niepodobnem.

Odnalezienie przyszło łatwo; łatwiej jeszcze było księdzu z tego, na co padł wzrok jego zaraz po przybyciu, wywnio-

skować, że misya, z którą przybył, do łatwych nie należała.

Czy ten, u którego znajdował się w tej chwili stary proboszcz, był człowiekiem gotowym do wytrwania przez lata na wytkniętej drodze — przesądzać było oczywiście nie sposób, ale że to był człowiek szybkich i decydujących postanowień, że umiał chcieć i wykonać to, do czego w danym momencie czuł się obowiązanym—to było niewątpliwem.

I rzeczywiście, na to, aby wykopać przepaść nieprzebytą między przeszłością a przyszłym trybem życia—w przeciągu kilku tygodni wyprzedać dziewięć dziesiątych ruchomości, pożegnać służbę całą, przeprowadzić się z pierwszego piętra ulicy pryncypalnej na poddasze jakiegoś nadrzecznego zaułka, to wszystko odczuć bądźcobądź w takim stopniu, że twarz nosiła wyraźne ślady przebytych cierpień, a czoło zorała bruzda—na to, jeśli prosta konieczność nie wskazywała takiego porządku rzeczy jako nieuniknionego i jedynego—na to potrzeba było przejść walki i pasowania się ze sobą, i przedewszystkiem mieć za przewodnika zasadę

jakąś potężniejszą, niż wszelkie inne względy i uczucia.

Każdy z dawnych znajomych Adama Z. byłby się tutaj rozglądał, badał, odgadywał—dla księdza jednego nie było wątpliwości żadnej. On tutaj czytał, jak w otwartej księdze—on domyślał się żalu za zmarłym, i nocy bezsennych, i prób pogodzenia obowiązku synowskiego z przekonaniem własnem—to wszystko jasnem było dlań i zrozumiałem, a wraz tem piętrzyły się trudności zadania, i myśl uczuwała potrzebę potężniejszych argumentów i subtelniejszych słów przekonania, niż te, z jakiemi przybywał.

Kłopotliwego milczenia obustronnego nie przerywał zrazu ani gość ani gospospodarz domu, aż gdy ono zbyt wyraźnie ciężyć zaczynało, uznał za stosowne ksiądz skończyć z niem w jakikolwiek sposób.

— Czekałem—nie przychodziłeś, i oto jestem u ciebie.

Adam za całą odpowiedź przysunął stojący opodal fotel, a sam usiadł naprzeciwko. Nareszcie wyjaśnienia stawały się nieuniknione.

— Jak mogłeś zostawiać mnie tak długo bez żadnej wiadomości o sobie? — zaczął starzec tonem ojcowskiego wyrzutu. — Spodziewałem się ciebie każdego dnia. Pojmujesz przecie, w moim wieku, z taką ciężką odpowiedzialnością—doprawdy, nie godziło się!

— Moje położenie było tak wyjątkowe...

— A co sądzisz o mojem?

— Winien jestem istotnie—usprawiedliwiał się pomieszany widocznie Adam;— nie godziło się tak długo nadużywać względów okazywanych nam przez szanownego księdza proboszcza, ale czułem potrzebę najszybszego zakończenia z tem wszystkiem...

— Ja myślałem, że przed tem, co nazywasz zakończeniem, należało i odemnie pewnych objaśnień zażądać, bo już o wpływie na postanowienia twoje, o jakiemś słowie dorady mówić nie chcę, widząc do jakiego stopnia była ona tobie zbyteczną, i jak się bez niej zupełnie potrafiłeś obejść. Zresztą po co mamy w ten sposób mówić ze sobą. Tu nie idzie o żadne pominięcie tuzinkowych względów

przyzwoitości, tu chodzi o coś innego zupełnie, o ciężką odpowiedzialność moją, o sumienie moje.

Ja jestem człowiek chory, grozi mi dziś—jutro to samo, na co umarł twój ojciec. Powiedz-że mi, jak jabym wyglądał wobec tego, i jak mogłeś mnie na to narażać?

Poczuł Adam, że taki sposób traktowania kwestyi prowadzi wprost na manowce, dlatego, chcąc skończyć odrazu, odpowiedział z możliwym spokojem:

— Nie zagrażało ani mnie, ani spokojowi sumienia księdza proboszcza nic z tej strony, a nawet... możeby rozwiązanie takie było jednem z najpomyślniejszych dla mnie. Ach, mój Boże!—jakżeby się to wszystko uprościło i rozstrzygnęło samo przez się — mówił Adam pod wpływem tej nowej zupełnie myśli, nie spostrzegając się nawet, że to śmierć człowieka, którego miał przed sobą, a któremu winien był względy i szacunek, za tak pożądaną ewentualność uważał.

I księdza umysł również, czem innem zupełnie zaprzątnięty, nie podjął tego szczegółu, zaczynał natomiast pojmo-

wać, że tu wypracował już młody człowiek cały tryb postępowania swego na przyszłość. Mimo to nie wyrzekając się zupełnie chęci położenia wszelkiego możliwego nacisku, kapłan odpowiedział, jak gdyby obcem mu było zupełnie, do czego zmierza Adam:

— Nie rozumiem dobrze, co chcesz powiedzieć.

Nie było jak widać sposobu wydobycia się z tej matni przy pomocy półsłówek i omówień, a tu postawienie kwestyi jasne i wyraźne takie było kłopotliwe i bolesne. Adam milczał jeszcze czas jakiś, a wreszcie powoli, dobitnie, choć z wielkim wysiłkiem i rumieńcem na twarzy wymówił:

— Te pieniądze, księże proboszczu, nie są moje...

— Nie twoje?

— Nie.

— Należały one jednak do twego ojca.

Znowu milczenie, Wyraźnie trzeba było wypowiedzieć się aż do ostatniego słowa i wypić gorycz aż do kropli ostatniej.

— Wedle mojego widzenia rzeczy, ani moje, ani mojego biednego ojca. To smutne bardzo, ale to tak jest. Przeszedłem wszystkie męki, rozpatrując położenie ze wszelkich stron możliwych; starałem się myśleć cudzemi myślami, odczuwać cudzemi przekonaniami, przywoływałem na pamięć mój obowiązek, mój żal i moją wdzięczność za tyle dowodów miłości, której byłem przedmiotem. Nie! coś protestuje we mnie na takie pogwałcenie podstawowych przekonań moich. Jednem słowem, ja nie zdołałem wymódz na sobie tego, czego żąda odemnie ojciec.

— Żąda? on prosi...

— Aż nadto czuję trudność mojego położenia; gdybym nie ulegał takiemu naciskowi moralnemu, położenie byłoby o wiele lżejszem.

— Czy wspomina ojciec o całkowitej kwocie majątku, jaka pozostaje do dyspozycyi twojej w moich rękach?

— Nie.

— Gdybym ci powiedział tę cyfrę...

— Księże proboszczu, — przerwał tonem żalu i upokorzenia Adam — możemy

obaj rozpatrywać stronę zasadniczą kwestyi; wolno nam wyrażać swoje przekonania co do tego wszystkiego, co uważamy za słuszne lub niesłuszne, ale chcieć mi insynuować, że tego, czego nie dopuściłbym się dla jednego rubla, mogę dopuścić się dla trzech naprzykład, jest to bądźcobądź lekceważyć mnie bardzo.

Ksiądz otarł uznojone czoło.

— Słuchaj mnie, chłopcze, — zaczął teraz gorączkowo—ty się mylisz. Niepodobna, ty się musisz mylić. Wśród ludzi uczciwych między jednem sumieniem a drugiem nie może być takich różnic niezmiernych. Znałem dobrze twego ojca; znałem go lepiej, niż ktokolwiek inny. To był człowiek dobry, miłosierny, czuły na niedolę ludzką, zkądby on na ten raz jedyny miał się tak zupełnie zapomnieć. Ja czuję, że ty bez potrzeby dręczysz siebie, co jest złem i nieroztropnem, ale boli mię przedewszystkiem, że ty przez to ubliżasz jego pamięci, że go sądzisz surowiej, niż on zasługuje, i surowiej, niż się sądzi ojca.

— Czy ksiądz proboszcz znasz całą sprawę?

— Znam lepiej, niż ktokolwiek inny. Znam zupełnie.

— Czy w podobnych zupełnie warunkach sumienie księdza proboszcza pozwoliłoby mu używać owoców tego nabytku?

— Dziwne doprawdy pytanie twoje. Ja jestem ksiądz, z natury powołania obcy wszelkim o grosz zabiegom; o tych sprawach ja o tyle tylko decydować mogę, że gdy nie widzę skrzywdzonego, nie słyszę o upominających się o swoją własność, a jednocześnie mam przed sobą człowieka posiadającego i używającego na dobre tego, co posiada—z oskarżeniami występować nie czuję się w prawie. Że u mnie składał twój ojciec mienie swoje, że go nie ujawniał, to mi jeszcze jako zarzut służyć nie może, bo on mógł mieć tysiączne powody po temu, a między nimi i ten także, aby jego dziecko nie popsuła przedwczesna świadomość zamożności ojcowskiej.

Biedny proboszcz czuł, że omija prawdę, ale chciał o ileby się dało wyjść ze starcia, nie poruszając strony najsłabszej.

Takie jednak nieszczere traktowanie kwestyi było z tego względu najgorsze, że nie zbliżało spierających się ku rozwiązaniu. Adam zamilkł, a ksiądz rozumiał dobrze, że to bynajmniej nie siła jego argumentów zamykała usta tamtemu. Za życia po kilkakroć przyrzekał temu biednemu ojcu, że będzie na wypadek śmierci rzecznikiem jego sprawy przed synem, czepiał się też wszystkiego, co mu na myśl przychodziło, bo istotnie w razie nawet, gdyby Adam miał słuszność za sobą, nie licząc już tego, że woli zmarłego zadosyć się nie stawało, sprawa natrafiała na trudności niesłychane, groziła ujawnieniem a nawet skandalem jawnym. Należało wyczerpnąć wszelkie środki możliwe, aby temu zapobiedz.

— Milczysz?—zapytał młodego Z.

— Cóż ja mogę teraz innego zrobić? ksiądz proboszcz najwyraźniej traktuje mnie, jak dziecko, albo sprawy nie zna wcale.

— Znam, zapewniam cię, że znam.

— Więc mówmy inaczej, albo przestańmy mówić zupełnie. Co do mnie wyznaję, że wolałbym milczeć, bo mi to co

powiedzieć muszę, przez usta przecisnąć się nie chce, ale i to pojmuję również, że się księdzu proboszczowi należy usprawiedliwienie z mojej strony. Więc mogę mówić, a raczej gotów jestem odpowiadać. Słucham.

— Dlaczego wzbraniasz się przyjąć spadku po ojcu.

— Dlatego, że moje pojęcie o słuszności zabrania mi posiąść to, do czego mój ojciec nie przyszedł drogą... no, daruj mi księże dobrodzieju ten wyraz, ja go wymówić nie mogę—mnie wstyd i żal i ból i litość nie pozwalają na to.

— Chcę się postawić na twojem miejscu; rozumiem i oceniam wszystko, ale bacz ty przedewszystkiem na to, czy nie przebierasz sam miary w surowości i wymaganiach. I świat tę sprawę sądził, a nie osądził tak, jak ty.

— Świat nie sądził, bo mu do sądzenia oddaną nie była nigdy; świat mógł zaledwie się domyślać czegoś.

— Mylisz się; sądzili ludzie tę sprawę. Ja pierwszy należałem do takich, którzy pytali, a przedsięwziąłem to, zanim się dotknąłem depozytu, bo przyjacielem

ślepo oddanym nigdy być nie potrafiłbym. Nie nadawałem, rozumie się, rozgłosu, nazwiska nie zdradziłem, ale pytając ludzi przedstawiałem rzecz całą, bo rozumiałem to dobrze, że moja księża znajomość życia dzisiejszego i jego warunków wcale tutaj nie wystarcza, no, i ostatecznie stało się tak, że przyjąłem to na siebie, jak wiesz dobrze; wątpliwości, jakie miałem, usunięto mi.

— I cóż księdzu proboszczowi mówiono?

— Powiedziano mi, że gdyby podobnymi skrupułami rządzić się mieli ludzie dzisiejsi, to nie powstałaby żadna fortuna nowa, a większość z tych, ktore od jakiegoś czasu wyrosły, trzebaby ciągnąć pod pręgierz. Cóż chcesz odemnie zresztą? Ja może bliższym jestem ciebie, niż myślisz, ale to nie są moje sprawy; w tym wypadku krzywdy nie widzę, a nadedewszystko, jak ci już powiedziałem, nie widzę skrzywdzonego, jeśli więc taki kodeks przyjęła milcząco społeczność dzisiejsza, niechaj się nim rządzi, dopóki będzie mogła, i będzie się rządzić z pewnością, choćbyśmy obaj na całe gardło

protestowali. Skoro się tedy nikt nie upomina, nie dochodzi, nie oskarża, nie występuj i ty, bo pamiętaj sobie, że jak zaczniesz od protestu, to będziesz musiał skończyć na oskarżeniu, a to już, przyznaj sam, nie twoja rola zupełnie, i to mam sobie za obowiązek powiedzieć ci zarówno jako ksiądz i jako życzliwy rodzinie twojej.

— Nie rozumiem dobrze.

— Jeśli nie rozumiesz, to ci muszę powiedzieć, że przewidujący nie jesteś. Jakże? Przecie to nie z jednostką sprawa. Tu nie będzie można przyjść i po załatwieniu się na cztery oczy i uściśnieniu ręki odejść z lekkiem sercem i czystem sumieniem. Zastanów się, rozważ, wreszcie spróbuj, gdy inaczej już być nie może, ale pamiętaj o ostrożności. Mógłbyś celu nie osiągnąć, a pamięć własnego ojca tak poniżyć, że w swoich nawet oczach zostałbyś winowajcą prawdziwym. Surowym wolno być nieograniczenie, ale tylko dla siebie.

Temi słowy pożegnał Adama przyjaciel jego ojca, szczerze tym razem

zadowolony z siebie, bo przekonany najmocniej, że mu się udało zabić prawdziwego klina w głowę upartego młodego stoika. Starcem był, jak wiadomo, ten, o którym mówimy, nie dziw też, że ile razy wzruszyło nim co silniej, zwykł był głośno myśleć, a i teraz monologował przy żywej gestykulacyi rąk, powracając do domu:

— Z jednego drzewa krzyż i łopata. Jużciż bezwzględnie biorąc racya przy nim... ani słowa!—ale toby trzeba wiedzieć, czy on do tego, czy nie... Zapewne... zasada zyskałaby na tem, ale z warunkiem, żeby ją stwierdził życiem całem, a kto mię zapewni, że on do tego dorósł... A nuż to sobie taki poryw młodzieńczy, albo co gorzej wybryk wygórowanej miłości własnej... Zresztą może i nie... toż tam coś i z krwi matczynej być musi, a to była kobieta prawości całkiem wyjątkowej... Bóg jeden wie... Zła to zresztą godzina na heroizmy wszelkie... oj zła bardzo...! w takich chwilach możeby i lepiej było nie zaczynać tak z wysoka... bo i co ztego? jeden nie zrozumie, inny ruszy ramionami, znajdą się i tacy, którzy

wprost wyszydzą, a rezultatem pogniewanie się na ludzi, na życie, na obowiązek i jeden więcej malkontent, jako zysk cały... Gdybyż to... ba! ale to nie dzisiaj... Jakie to są jednak następstwa każdego fałszywego kroku! Gdyby był tamten pozostawił takiego syna, coby za ten grosz porwał z chciwością, nie oglądając się zupełnie na to, zkąd on pochodzi, powiedziałbym: źle...! bardzo źle, i źle byłoby w rzeczy samej; teraz ten znowu myśli o naprawie, o restytucyi, a ja jakoś pocieszonym się nie czuję... Przeklęty pieniądz ten — przeklęte wszystkie zabiegi o niego...! Co do mnie zrobiłem już wszystko co mogłem, a więcej może trochę, niż mój charakter kapłański pozwalał,—niechże Bóg radzi o reszcie.

Adam przepędził znowu jedną noc bezsenną.

Znużony niewypowiedzianie, pełen nieokreślonego jakiegoś niepokoju wewnętrznego, niezdolny do żadnego postanowienia, wyszedł w rannych godzinach na miasto. Gorączkowy ruch śpieszących do pracy urzędników, uczniów

i studentów zmniejszał się powoli; teraz zdążali już tylko zapóźnieni, albo mniej skrępowani terminowym rodzajem zajęcia; na rozporządzających dowolnie czasem swoim, spacerowiczów i próżniaków z profesyi, pora była jeszcze zawczesna. Po drodze minął kilku bliższych i dalszych znajomych, kilkunastu kolegów, zdążających na kursa, ale z tymi ostatnimi oprócz zwykłego pozdrowienia, słowa jednego nawet nie zamienił. Ochłodły teraz bardzo te stosunki. Adam odsunął się, zamknął w domu własnym, unikał dawnych towarzyszów, oni też ze swojej strony, po kilku bezowocnych próbach nawiązania oziębionych relacyj, dali za wygraną zupełnie. Między młodzieżą naszą nigdy się dłużej nie można boczyć bezkarnie; w początku jest ten świat mały wyrozumiałym; gdy się taki stan przedłuża, zwykł on obserwować czas jakiś w postawie wyczekującej—w końcu zapomina nielitościwie. Coś podobnego zupełnie miało miejsce z Adamem, ale on nietylko nie zatęsknił za dawnymi kolegami i przyjaciółmi, ale nawet ich braku dokoła siebie zupełnie nie odczuwał.

Nie pożądał zgody ze światem, bo z sobą samym w niezgodzie żył dotąd. Czekał.

Szedł z głową spuszczoną, zatopiony w myślach własnych, gdy naraz zbiegowisko jakieś, tamujące zupełnie ruch na chodniku, zmusiło go do zatrzymania się. Oprzytomniawszy, powiódł okiem obojętnem po tłumie, a następnie dopiero rozglądać się zaczął w miejscowości. Drgnął mimowoli.

Naprzeciwko niego wznosił się gmach rozległy, a na nim wielkiemi literami nazwa instytucyi, która od kilku tygodni nieodstępnie towarzyszyła myślom Adama na jawie, a w nocy zmorą siadała mu na piersi i odpędzała sen z powiek znużonych. Tu przed dziesięciu mniej więcej laty pracował jego ojciec, tu on przychodził do niego niekiedy dzieckiem jeszcze, z tą miejscowością łączyło się wiele wspomnień pierwszej jego młodości. Nie mogąc się oprzeć natłokowi wrażeń, które go obsiadły teraz, niby roje much natrętnych, spoczął na ławce, stojącej przed sztachetami, i wpatrzył się machinalnie w poważną fasadę gmachu. Spotężniało to, rozrosło się od owych czasów. Dawniej

było to sobie biuro skromne, mieszczące się w jednem najemnem skrzydle pałacu, dziś i front i pawilony oba zajęte—dziś ta nieruchomość ozdobna to własność instytucyi, a ona sama świeci, sięga daleko, skupia w sobie nici rozległych bardzo stosunków—dzisiaj to potęga prawdziwa.

Czem był w tej machinie biedny nieżyjący jego ojciec? Dzięki jakiemu zbiegowi okoliczności zaszły wypadki, których następstwa tak dotkliwie czuć się dawały pozostałemu synowi? Jakie wspomnienie zostało tam po nim? Czy wogóle wiedzą i pamiętają tam jeszcze?

Adam otarł zimny pot z czoła. Wolałby stokroć, aby zapomniano zupełnie.

I oto otwierało się teraz dopiero morze całe trudności wykonania, rozpoczynała się na nowo ta sama ciągle praca mózgu? Jak przystąpić do rzeczy? Z kim mówić? Szukać objaśnień ubocznych, czy rozpocząć od zwierzchności samej? Na żadne z tych pytań nie przychodziła odpowiedź, a raczej na każde z nich tłoczyło się odpowiedzi bez miary, a wszystko

wątpliwe, chaotyczne, odstręczające w większej części.

Ruch urzędników, śpieszących przez podwórze ocucił Adama; zrozumiał on, że to pora śniadania—że do godziny południowej przesiedział tutaj z temi myślami swojemi. Zerwał się pośpiesznie z ławki i, oglądając trwożliwie po za siebie, spiesznym krokiem podążył ku domowi. Zdawało mu się, że czuje na sobie palące spojrzenia tego tłumu całego.

— Stanowczo niczego nie dokażę — mówił już w domu do siebie samego, zamknąwszy drzwi najstaranniej - nie dokażę niczego, bo nawet nie wiem jak przystąpić do rzeczy, z kim mówić, i co mówić. To są wszystko męki bezowocne— nic więcej. Ktoś za mnie możeby prędzej temu podołał—ale wnet przerwał sam sobie ten zwrot niefortunny, bo ocenił w zupełności całą niedorzeczność pomysłu i całą małoduszność własną...

Kilka dni, które teraz przepędził ciężkie były niewypowiedzianie. Ranne godziny schodziły mu w pobliżu gmachu, przed który niedawno zawiodły go bezwiednie kroki własne, i tam rozmyślał nad

koniecznością stanięcia raz przecie oko w oko zadaniu — nad wyborem czasu i osoby, przyczem układał zapytania, przewidywał odpowiedzi, przechodził i przetrawiał w sobie ciągle ewentualności tej walki, w której po jednej stronie stały, dopominające się o swoje, przekonania i zasady. a po drugiej ostrzeżenia proboszcza i zgodne z niemi jego własne uczucia—jego żal i litość nad tym biednym, niedawno zmarłym ojcem.

„Jeśli dłużej potrwa taki stan, obezwładnię się całkowicie — pomyślał pewnego dnia Adam i zatrwożony prawdziwie zerwał się z łóżka.—Trzeba z tem skończyć jednym zamachem, bo inaczej rozejdą się w nicość wszystkie zamiary i postanowienia moje.“ Ubrał się szybko i w kwadrans potem był już na ulicy. Szedł pośpiesznie i znowu w tej samej godzinie znalazł się przed tym gmachem osztachetowanym—znowu teraz, jak wtedy, napływali tu urzędnicy, rozpoczynał się na korytarzach ruch gorączkowy, biegali woźni, tłoczyli interesanci.

Trzeba sobie zamknąć drogę odwrotu, pomyślał Adam i, zbliżywszy się do

wspaniałej postawy szwajcara, włożył mu rubla w rękę wolną od halabardy, i zapytał krótko:

— Pan dyrektor?

— Za godzinę. Trzeba poczekać tutaj — objaśnił dygnitarz w liberyi, wskazując poczekalnią wewnątrz,—i skorzystać z godzin przed giełdą. Potem niepodobna będzie docisnąć się.

Ta godzina była dla Adama wielce niepomyślnej wróżby. Opuściła go naraz determinacya cała, z trwogą liczył minuty na zegarze wiszącym ponad drzwiami, a gdy ukazał się szwajcar ze zwykłem zapytaniem: „jak mam zameldować.“ Adam podał mu kartę swoją drżącą i niepewną ręką. Żałował znowu, że się lekkomyślnie i nieodwołalnie zaangażował, bo mu się w tej chwili wydało, że ostatecznie nie miał nic przygotowanego i żadnego uporządkowanego planu do rozmowy stanowczej.

Nie było jednak czasu na to wszystko; odzywający się przez w połowie otwarte drzwi głos: „pan dyrektor prosi,“ położył koniec wszelkim wahaniom:

Szczęściem dla Adama miejsce obok dyrektora, zacieśnione w tej chwili przez ciżbę podwładnych oczekujących rozkazów, pozwalało mu patrzeć, a nie być widzianym, obserwować i oswoić się z tym szczególnego rodzaju majestatem. Był to istotnie majestat nb. handlowy—nie można powiedzieć, żeby oryginalny i z pierwszej ręki, ale importowany szczęśliwie, a zarazem skopiowany z wzorów najlepszych.

Kilka śledczych spojrzeń, rzuconych z tego tronu poprzez głowy obecnych w stronę Adama, były dla ekspektanta niezrozumiałemi zupełnie, każdy jednak z obecnych tam pojmował doskonale ich znaczenie—każdy wiedział, że ta wstępna rekognicja miała zastąpić pytanie: Suplikant czy nie suplikant? Rezultat badań wypaść musiał dla przybyłego przychylnie, bo jednocześnie z położeniem ostatniego podpisu, usłyszał on grzeczne:

— Służę panu.

Interesanci rozpierzchnęli się za jednym ruchem ręki, jak dobrze tresowana służba, a Adam ujrzał przed sobą człowieka między 50-tym, a 55-tym rokiem

życia, o twarzy suchej, starannie wygolonej, z włosami rzadkimi, kunsztownie naczesanymi na skronie, nosem znamiennym, suchym, który nie dopuszczał nawet myśli, aby jego właściciel jedną chociaż kropelkę krwi słowiańskiej w żyłach swoich miał przymieszaną! Nos to był klasyczny, typowy, jakby umyślnie do wietrzenia przeznaczony, a zarazem mogący dostarczyć odpowiedzi na dwa pierwsze pytania protokułu: stan? wyznanie? Lekkie, szydercze skrzywienie dolnej wargi dopełniało charakterystyki tej twarzy wielce wyrazistej, która ani pociągała, ani ośmielała, ani odpychała, ale która wedle potrzeby zdolna była z pewnością wyrazić i pierwsze, i drugie, i trzecie. W ręku trzymał w tej chwili kartę Adama; czytając nazwisko, spojrzał nań z pod okularów i zapytał krótko:

— Syn Józefa Z.?

— Tak.

— *Enchanté!*

I wskazał ruchem ręki fotel, stojący obok. Potem słów kilka przychylnych dla pamięci nieboszczyka, coś w rodzaju kondolencyi, a potem jeszcze przechylenie

się na fotelu i skrzyżowanie rąk na piersiach, znaczące tyle: co: „Słucham:“

Adam zaczął drżącym głosem przedstawienie swojej sprawy, odwoływał się do znanej uczynności potentata, którego miał przed sobą, a w końcu wyjąkał, że interes, z którym przybywa jest natury całkiem wyjątkowej, że liczy na cierpliwe wysłuchanie i udzielenie mu następnie informacyj, których potrzebował.

— *Voyons, voyons!* — była odpowiedź łaskawa.

Ale w miejsce relacyi pożądanej i kategorycznej nastąpiła ekspozycya rzeczy nieśmiała, niejasna i tak dalece chaotyczna, że finansista nie mogąc zupełnie dociec, o co chodzi, a pragnąc dowiedzieć się czegoś przecie z tej plątaniny, uznał za stosowne położyć ośmielająco rękę na kolanie młodego człowieka, i z uśmiechem protekcyonalnym a pobłażliwym zachęcić go:

— *Du calme, jeune homme!*

Pan dyrektor szczególną miał słabość do francuzczyzny, a w tem swojem: *jeune homme*, którego pierwszą sylabę z osobli-

wym wdziękiem połykał, uważał się nawet za niedoścignionego.

Spokoju? Jak tu było i zdobyć się na spokój, kiedy kto przychodził w tak szczególnej sprawie. Adam znowu zaczął zbaczać na manowce, ale wprędce przywołany do porządku wyrazem nudy i niecierpliwości, odbijającym się na twarzy słuchacza, wyjąkał nakoniec swoje nieśmiałe zapytanie, ażali nie było między ojcem jego a zwierzchnością żadnych niechęci i nieporozumień.

— Najmniejszych, najmniejszych! — była odpowiedź. — Regularny, pilny, inteligentny...

Czas był wielki kończyć.

— Nawet w epoce rokowań pewnych... tak na krótko przed opuszczeniem stanowiska przez mojego ojca? — zapytał Adam, patrząc w oczy dyrektora.

— Nawet wtedy... owszem, to była dla ojca pańskiego chwila, w której dowiedziono mu wielkiego zaufania... wreszcie ja nie odgaduję o co pan pytasz, i dlatego nie wiem, jak mam odpowiadać,

Dyrektor wietrzył pewne niebezpieczeństwo i zrozumiał, że należy być ostrożnym.

— Mów pan proszę wyraźniej, inaczej nie porozumiemy się—zakończył z lekkim akcentem niecierpliwości.

— Czy mój ojciec z powierzonej mu podówczas misyi wywiązał się ku zadowoleniu zwierzchności?

— Gdzie ten zmierza? czego ten chce?—myślał zaintrygowany teraz na seryo finansista.

— Ku zadowoleniu? no jużciż niezadowolenia nie było... wprawdzie kto inny na jego miejscu byłby może osiągnął więcej, ale cóż pan chcesz? doskonałości niema na świecie...

— Mój ojciec jednak nie był zadowolony sam z siebie i w piśmie, które mi po nim zostało, mówi wyraźnie, a nawet zobowiązuje mnie do pewnej restytucyi... mówię to w zaufaniu zupełnem i mam nadzieję...

— Ach! ach! ach!—powtórzył na trzy odmienne tony finansista. — *J'y suis!* — a po chwili: — Czy można widzieć to pismo?

Adam miał dokument przy sobie, ale oczywiście pokazać go było niepodobieństwem. Zdawało się młodemu człowiekowi, że udało mu się sprawę postawić jak nie można było lepiej i zręczniej, ale to nie z tym przeciwnikiem wystarczyć mogła taka doza przebiegłości.

— Kto się tedy czuje obowiązanym do restytucyi, ojciec, czy pan?

— Ojciec.

— *Allons donc!*

— Zapewniam pana dyrektora...

— *A d'autres!*

— W każdym razie zapewnienie moje...

— *Passons sur ce chapitre!* Powiedzże mi pan przedewszystkiem, o co tu chodzi, bo jeśli to jest jaka bagatelka, którą nie warto zaprzątać czasu...

— Nie o bagatelkę idzie.

— No, a w cyfrych jak to wygląda?

— Ja sam nie byłbym w możności powiedzieć dokładnie, w każdym razie to będzie duża suma.

— No, widzisz pan, że to nie z dyspozycyi ojca; on byłby przecież panu oznaczył

kwotę. *N'importe!* Powiedz-że mi, panie— mówił zwolna dyrektor, nadając swojemu skrzywieniu wargi dolnej akcent bardzo wyraźny—jakiego fakultetu jesteś słuchaczem?

— Nie rozumiem doprawdy..

— *Dites toujours!*

— No!... przyrodniczego — odpowiedział Adam z niechęcią.

— Domyśliłem się odrazu... zaleciała mię taka woń szczególna...

— Doprawdy panie!...

— *Quelque chose, comme un souffle des champs et des bois...*—cedził szyderczo finasista, który widząc coraz więcej pomieszania na twarzy młodzieńca, postanowił zakończyć pojednawczem:

— *Pas de rancune! En attendant, causons affaires*

Nie mógł jednak gawędzić a nawet dosiedzieć na miejscu; owszem poruszony prawdziwie biegał teraz dokoła stołu, stojącego na środku gabinetu, wykrzykując od czasu do czasu:

— *Dieu des dieux! Que c'est instructif pourtant... Mais ce bigre de Z.!! On lui aurait pu donner le bon Dieu sans confession...*

En voilà un, qui était fort...! — Nareszcie siadając przy Adamie uderzył go poufale po ramieniu, i kończył, dając zupełną folgę własnym myślom.

— Co chcesz, to było w każdym razie z naszej strony posunięcie, co się zowie! Nam potrzeba było człowieka inteligentnego, rzutkiego, zręcznego, a sumiennego! Wybór padł na pańskiego ojca, i to było dzieło moje. Ani się tego kroku wypieram, ani wstydzę. Wybór był w swoim rodzaju jedyny, tylko... tylko, każdy taki musi też czuć swoją siłę. On był silny... dał dowód; swoje zrobił i z próżnemi rękami nie odszedł. Ale co zostawił sobie, a co dał tamtemu? W tem rzecz! No powiedz... Widzisz, to dla mojej wiadomości tylko... to ciekawe... *rien qu'au point de vue de l'art.* Nie powiesz? A przecież chcesz tę sumę zwrócić; pokazałoby się samo przez się.

— Jeśli pan dyrektor dasz słowo, że przyjmiesz zwrot i ułatwisz mi spełnienie tego, co postanowiłem, bez obciążenia pamięci ojca...

— No, mógłbym ci dać dziesięć słów wszak sami jesteśmy, ale do czegoby to doprowadziło? Zresztą widzę, że się nie dowiem, a sam winien sobie jestem; pospieszyłem się z odmową. Pokazuje się, że i ja zapędzam się w lata—dodał melancholijnie...

— Pan dyrektor twierdzi, że się nie dowie, to znaczy, że zwrotu sumy, z którą ja przychodzę, przyjąć nie myśli, jeśli dobrze pojąłem?

— A rozumie się.

— I to jest niecofnione?

— Jak przeznaczenie.

— Czy mogę wiedzieć, co przeszkadza?

— Interesa, tylko interesa, no—ale i zasady również.

— Czyje?

— Moje, twoje, osoby trzeciej, wreszcie moralność najprościejsza.

Adam tracił głowę.

— Jakim sposobem? — wybąkał otumaniony.

— *Mais il'est pueril de votre part d'insister. Comment donc? Vous n'entendez rien aux affaires? A votre âge?...*

— Wyznaję, że nie.

— *Eh bien!* Odpowiedz-że mi na kilka pytań, a potem już odpowiesz sobie na resztę sam:

„Gdyby się rzecz taka ujawniła, jak będę przed akcyonaryuszami wyglądać ja? Dalej co powie rada zarządzająca? Tyle co do mnie.

„Przypuściwszy, że ja się zgadzam — żeś mię zmusił jakimś sposobem, że rada zarządzająca przyjmuje twoją ofiarę, żeśmy pieniądze przeliczyli i odebrali—jak nam w rachunku naszym każesz nazwać i zaksięgować tę pozycyą... Sss... no dajmy na to—sprzeniewierzona w roku XX przez Józefa Z. suma XX, obecnie doręczona nam przez syna zmarłego...

„Czy po to przyszedłeś? *Qui veut la fin—veut les moyens?* No jakże?

„Pozostaje nam jeszcze ten, który wziął? Jakież prawo mamy szarpać honor tego człowieka, którego uczynność otworzyła nam nową erę pomyślności? Nie mówiąc o tem, że jego dzisiaj paraliżby chyba zabił, gdyby się dowiedział, jak się dał twojemu ojcu w pole wyprowadzić, jeśli jak zapewniasz sam, idzie

o sumę poważną. Przecież to nie robi się takich rzeczy. To byłoby ulicznikowstwo proste! *Ah! jamais de la vie!*

— Tak nam ma chodzić o tego człowieka?

— *Mais certainement!* To jest człowiek, używający powszechnego szacunku. Dzięki tej małej operacyi zdobył sobie pozycyą, no, i co chcesz? Obraca się dobrze— czynny, przedsiębiorczy. może zajść daleko, a nawet z takiego, jakim jest dzisiaj, już nie dobrze byłoby zrobić sobie nieprzyjaciela. To są względy, i bardzo poważne względy.

— Więc pan dyrektor odmawia?

— Odmawiam.

— Stanowczo?

— Do tego stopnia stanowczo, żebym pierwszy wystąpił przeciwko panu, panie Z., — zakończył dyrektor z tak szczególnym błyskiem nienawiści w oczach, że tym razem ujrzał się i Adam w konieczności podnieść z krzesła.

— Z piekła czystego wychodzę—myślał, znalazłszy się nakoniec na świeżem powietrzu.—A to świat, a to ludzie, a to moralność! Niechże ich! A jakie wszystko

butne, pewne siebie, jak gdyby reprezentowało potęgę jaką istotną; a jakie przy bezprawiu swojem lojalne i uprawnione! Co się tu dziwić, że ten, kto jest kółkiem w tym mechanizmie, obracać się może tylko zgodnie z duchem całości, a i taki nawet, któremu dostanie się szczypta inicyatywy, nie może jej użyć wbrew i na szkodę aparatu całego. Świecą tym złotem, przesypują go i nęcą, kuszą, aż oślepią, czy zahypnotyzują, a potem... Bodaj ich!

Potem, musiał sobie niestety Adam przypomnieć, że kuszony wychodzi niekiedy na kusiciela, że i jego biednemu ojcu taka właśnie przypadła rola, że i on niegdyś skromny i małych pożądań pracownik, przekupywał sam sumienia innych, i że za takie właśnie wyparcie się przekonań własnych — za taki a nie inny czyn, kazał sobie zapłacić tak sowicie. Ach! jaką on głęboką litość nosił w sercu dla tego nieszczęśliwego człowieka.

Ale kto był poszkodowanym w tym przypadku? Zdaje się, że nie mocodawca, bo ten z góry obliczył korzyści i odtrącił od nich sumę, za którą je nabywał;

korzyści te nadto musiały być bardzo znaczne, bo wedle słów dyrektora samego, otwarły one przed instytucyą nową erę pomyślności. Więc nie mocodawca, który raz wyrzuciwszy ten pieniądz fatalny, wiedzieć i słyszeć o nim nie chciał. No, ale w takim razie kto? Chyba ten jeden, dla którego były przeznaczone—ten, co za sprzedanie swoich przyjął wynagrodzenie z rąk ojca Adama, a dał się przy tej sposobności w pole wyprowadzić—ten sam, o którym mówił dyrektor, jako o negocyancie, używającym dzisiaj powszechnego szacunku,—ten nakoniec, co przy pomocy tego grosza został tak zwanym porządnym człowiekidm i swojego rodzaju cyfrą, z którą się taka potężna instytucya rachować musiała.

Czy można jednak przyjść do takiego właśnie i powiedzieć mu?

„Panie! lat temu tyle i tyle zaproponowano panu wielce brudną operacyą, za którą wyznaczono wynagrodzenie. Byłeś tak nikczemnym, że zgodziłeś się na to, a tak niedołężnym szalbierzem zarazem, żeś się zadowolił jedną czwartą przezna-

czonej dla ciebie kwoty. Zabrał ci ktoś zręczniejszy z przed nosa te trzy czwarte; tym kimś był mój ojciec i oto odnoszę ci te pieniądze."

Ani przyjmie, ani sobie nawet mówić o tem pozwoli, boż to przecie mąż ogólnie szanowany. Ukradł raz, aby sobie zdobyć prawo do uczciwości na resztę życia, no i jest dzisiaj z pewnością rodzajem Katona. Dla podwładnych surowy, nieubłagany nawet, niechybnie oddałby w rece sprawiedliwości każdego, ktoby się ośmielił wstąpić w jego ślady. Ani myśleć o czemś podobnem! Jeszczebym nie skończył mojej ekspozycyi, a jużbym się na wschodach znalazł— myślał Adam. — O tem stanowczo myśleć nie można.

Dobrze, ale w takim razie poraz setny pytał Adam, czyje są te pieniądze? Kto mi tę kwestyę rozjaśni? Z księdzem nie mam co mówić, bo on zawsze swoje tylko powtarzać będzie, a ja im głębiej się zanurzam w te brudy wszystkie, tem większego do nich nabieram wstrętu. Z dwóch ludzi, o których najpierw potrącić muszę, jeden już przyjęcia zwrotu

odmówił, a drugi, jak to zaczynam teraz rozumieć, odmówi z największą pewnością, jeśli mu zdołam zrobić tę propozycję. Gdyby ten ostatni był ubogim, oh! wtedy nie wątpię; wziął tamte, dlaczego nie miałby wziąć i tych także, ale dziś... Co do mnie, to czując konieczność pozbycia się tego ciężaru, czuję zarazem potrzebę wyczerpania kwestyi i rozstrzygnięcia, kto do tych pieniędzy ma prawo pierwsze. Nie wchodzę jakie to prawo—byle prawo. Mój teolog nie powie mi tego, prawnik żaden nie rzuci światła na te zawiłości wszystkie, bo co może mieć wspólnego prawo z bezprawiem? Pozostaje więc chyba jeden jedyny sąd prosty, niczem niezamącony—sąd jakiegoś człowieka, który nigdy nie zboczył z drogi honoru—człowieka takiego, który przedewszystkiem nigdy nie kupczył, nie handlował, nie frymarczył, a o takiego dzisiaj...

Nie dokończyła myśl Adama tego okresu. Przed nim w tejże chwili ukazała się niespodzianie z po za rogu ulicy postać przygarbionego, kulejącego starca, który szedł wolno zapatrzony w ziemię,

nie poznając nikogo, i sam przez nikogo nie zaczepiany. Jakiż to był dziwny zbieg okoliczności to spotkanie w tej chwili!— jaki przypadek stawiał mu na drodze ten uosobiony protest przeciw wszystkiemu, co w tych godzinach najmocniej raniło własny jego zmysł moralny i poczucie słuszności! Niechże to będzie przypadek, czy zrządzenie Opatrzoności; w każdym razie ja z tego skorzystać muszę“ było pierwszym jego popędem. A jacyż to byli ci dwaj ludzie dawni i blizcy znajomi! Dzieckiem siadywał Adam co wieczór na kolanach tego starca, bawił się jego nogą drewnianą, był to bowiem rodzony brat jego matki, a swojego czasu serdeczny zarazem przyjaciel ojca. Zmienił i ostudził czas te stosunki. Śmierć matki Adama rozluźniła pierwsza ścisłość węzłów, rok każdy oddalał ich od siebie, a pod koniec odwiedzał ich ten starzec tylko od czasu do czasu, możnaby powiedzieć, że dlatego jedynie, aby plotkom i potwarzy żeru nie przysparzać. Adam pamiętał tę epokę blizkich a serdecznych stosunków; zastanawiało go nieraz później ich oziębienie, cierpiał nad tem nawet po dzie-

cinnemu, ale że się u ojca swego o żadne objaśnienie doprosić nie mógł, powoli oswajał się z faktem, a nareszcie odwykł od tego blizkiego krewnego, do którego bądźcobądź czuł się zawsze pociąganym jakąś tajemniczą nicią sympatyi.

Od pogrzebu ojca nie widział go Adam, niejako mu nawet było zaczepić go teraz na ulicy, zaniedbawszy odwiedzin obowiązkowych, ale wprędce skombinował, że to nie z tymi starymi rachować się należało wedle towarzyskiego regulaminu ludzi dzisiejszych.

Pozdrowiony głośno i serdecznie zatrzymał się, i z życzliwym uśmiechem na twarzy, nie puszczając z rąk swoich dłoni Adama, mówił powoli:

— Po głosie dopiero poznałem cię mój chłopcze; coraz gorzej widzę. Dobrze, że mię zaczepiłeś, bo ja teraz mijam wszystkich, nie witając, a coraz mniej takich, którzyby się staremu przypomnieć chcieli.

— Szedłem do wuja...

— To bardzo dobrze, chodź.

— Czy zastanę kogo?

— Widzisz, jak to źle nie bywać gdzie latami całemi; kogóż to ty myślisz zastać u mnie? Pustka!

— Bo ja miałem interes pomówienia z wujem na osobności...

— Interes? Nie żartujesz?

— Chciałem się poradzić w bardzo ważnej sprawie.

— Bój się Boga! Poradzić.. mnie. to szczególne! Cóż to za materya być musi, w której rada moja przydaćby się komu mogła?

— A tymczasem mnie już tylko tej jednej szukać wolno.

— No... no! Pokazuje się, że długo żyjąc, wszystkiego się człowiek doczeka. Rada odemnie pochodząca!... Czy nie jesteś w kłopocie jakim przykrym? Powiadasz, że nic groźnego na razie? No, chodź!

Wkrótce znaleźli się w mieszkaniu tego samotnika a zapytany Adam przystąpił niezwłocznie do opowiedzenia troski, która go tu sprowadzała. Nie szło mu tak trudno, jak z tamtym człowiekiem, którego obecność sama pognębiała prawdziwie, nie mówiąc już o jego manierze

całej, jego szyderstwie i groźbie ostatecznej, z którą go Adam opuścić musiał, ale i tu były swojego rodzaju skrupuły przykre i konieczne zwroty, zmierzające do oczyszczenia pamięci ojca. Daremny to był zupełnie zachód. Ten, który słuchał, miał od bardzo dawna co do tych wszystkich wydarzeń sąd zupełnie wyrobiony— odcierpiał je i przebolał, bo się to dziwnie do skrócenia życia jego siostrze przyczyniło, jak sam teraz wyznał Adamowi.

— Matka twoja nie mogła się z tą myślą pogodzić, nie mogła uwierzyć, żeby bez pogwałcenia praw honoru i obarczenia sumienia, zostać można bogatym w jednej godzinie. Przeczuwała, że ciebie ten majątek nie uszczęśliwi, i oto masz najlepszy dowód, czem są przewidywania umysłów prostych, niedostępnych żadnym sofizmatom. Ona przeczuła, przewidziała i prawda przy niej. Z myślą o tobie zrobił to ojciec, chciał dla ciebie szczęścia; nie sądź go surowo, ale bądźcobądź przyznać musisz, że kochał cię mniej rozumnie, niż matka. Cóż myślisz robić?

— Nie wiem. Przychodzę prosić o radę.

— O jaką ci idzie radę?

— Komu oddać pieniądze?

— Mnie bo wcale nie chodziłoby o to komu, byle one przy mnie nie zostały. Oddaj, komu chcesz, choćby szatanowi samemu, bo to jego własność niezaprzeczona.

— Tak się to mówi, ale przecież trzeba wykonać to praktycznie...

— Początek twój nie był praktyczny wcale. Przyszedłeś młody i bezbronny do starego szachraja i chciałeś zdobyć nad nim przewagę. No, i stało się to, co się stać musiało: odszedłeś z niczem. Kto inny na twojem miejscu byłby mu na łeb rzucił ten cały pakiet, a ty stałeś jak student i paktowałeś. Rzucić mu było w twarz, powiadam ci, a nie suplikować; po twojem odejściu byłby podniósł, a ty się przedewszystkiem dopominałeś o jakieś oczyszczenie pamięci ojca. Tego on ci dać nie mógł, no i rozeszliście się, jak to sam wiesz najlepiej.

— No jużciż mnie o tę rehabilitacyą chodzić musiało..

— Nie wierzę ja w żadne rehabilitacye wogóle, ale jeżelibyśmy nawet przypuścili ich możliwość, to człowiek może się tylko rehabilitować sam, ale za niego i bez niego, dokonać tego nie podobna. Chciałeś niemożebności. Zresztą mój drogi, świat nie oskarża twojego ojca wcale, bo świat nie wie nic, a nie powiem ci już, coby ten świat powiedział, gdyby mu sprawę dać do osądzenia. Tego ja ci nie radzę próbować, bo chociaż ojciec twój mógłby na tem zyskać bardzo wiele, za to ty straciłbyś niemało.

— Cóżbym ja mógł stracić?

— Opinią człowieka posiadającego zdrowe klepki, a taka opinia przy dobrowolnem ubóztwie, na które się skazujesz, koniecznie ci będzie potrzebną. Zresztą, ty wszystko zdajesz się robić po to, aby z życia twojego ojca wydrzeć niejako tę kartę, która jest tobie nienawistną. Ty chciałbyś, żeby ten fakt nie istniał, a tymczasem on istniał, i tego ani piórem wymazać, ani mydłem wymyć, ani siekierą wyrąbać. Zadowolnij się tem, że świat nie wie, skoro nie po myśli by ci było, aby wiedział. O tem mówić przestańmy,

a powiedz mi lepiej, co będziesz robić, gdy się już tego spadku pozbędziesz.

— Będę pracować; za rok kończę uniwersytet a na ten rok mam byt zapewniony.

— Pewien ty aby jesteś, że nigdy nie będziesz żałował postanowień dzisiejszych?

Adam oburzył się.

— Nie wstrząsaj się tak—życie jest długie, chwil ciężkich w niem niemało, a człowiek cenionym jest wedle tego, co posiada. Gdy ci dokuczy ludzka obojętność, brak uznania, zrazi chłód i lekceważenie, koniecznie ci przyjść będzie musiało do głowy, że się z tego wszystkiego sam wyzułeś dla kaprysu jednej chwili, bo tak ci gorycz ówczesna postanowienie dzisiejsze nazywać będzie. Pomyśl!

— Wuj mnie próbuje.

— Broń mnie Boże! Ja ci owszem powiadam, że sam bym inaczej w młodości nie był zrobił, tylko tak, jak ty zrobić zamierzasz. Ale to widzisz, chłopcze, inne były czasy. Wtenczas, choćby czyn sam pozostał w tajemnicy, metoda życia, z której ten czyn wyszedł, i zasada, która ten czyn wywołała, stosowana dalej w ży-

ciu, byłaby jednała wszystkich i otwierała wszystkie drogi. A dzisiaj? Dzisiaj poprzestać ci będzie trzeba na spokojności sumienia, a gdy do sumienia zechcesz dopasować życie, to o wpłynięciu na szerokie wody nie wolno ci myśleć. Tu nie ma się co łudzić—dawne bożyszcza strącili ludzie. Ty się nowym pokłonić nie chcesz, ale ty wraz z myślą twoją bezpłodny jesteś, bo nikogo nie przekonasz, ani pociągniesz. W tobie, widzisz, pokutują reszty tych pojęć, które obowiązywały dawniej—w zetknięciu z brutalnością warunków dzisiejszych, wybuchają one protestem, burzą się, ale to są iskierki dogasające w zarzewiu—iskierki bynajmniej nieprzeznaczone na to, aby dały życie, aby rozpłomieniły, bo ich niema komu rozdmuchać. Ocalasz twoje ja, masz postanowienie strzedz go na przyszłość—to bardzo dobrze, ale niczego innego nie robisz tym sposobem; pamięci ojca nie oczyszczasz i w życiu nikomu nie będziesz przykładem, bo to trzeba ci, widzisz, dobrze zrozumieć, że jedne warunki bytu—jedne pojęcia i zasady skończyły się, a drugie się zaczynają. Jednem słowem

w tobie i jeszcze kilku podobnych, rozsypanych tu i owdzie, dogasa gatunek. Jeżeli potraficie go przechować do dalszych rozporządzeń Opatrzności, wielka będzie zasługa wasza, ale ja stary jestem, dużo widziałem, wiem, dokąd się stoczy to. co się toczy, i dlatego wiary nie mam. Powietrze jest złe...

— I co mi wuj radzi ostatecznie?

— Żebyś się tych pieniędzy—zawsze dodaję: skoro takie jest twoje postanowienie nieodwołalne, pozbył jak najrychlej, bo one już i tak zadługo są przy tobie. Ja po staremu, widzisz, biorę rzeczy: Maleparta... sam wiesz jak dalej.

— Ja nie odgaduję właściwie, o co się wuj lęka, ale przecież to trzeba obmyśleć, jak tym majątkiem rozporządzić.

— Obmyślaj, chłopcze, obmyślaj, byleś obmyślił prędko. Powietrze jest, powiadam ci, złe, a w takiej atmosferze topnieją dobre postanowienia jak śnieg na słońcu. Nie gniewaj się, ja możebym się nie lękał o ciebie, ale wiem, że na świecie: Vaesoli! a ty jesteś sam, pamiętaj o tem.

— A nie dopomoże mi wuj w tem mojem zadaniu?

— Nie, chłopcze kochany, nie dopomogę.

— Dlaczego?

— Po co ci to wiedzieć!

— I żadnej rady?

— Owszem, zawsze jedna: Skoro cię parzy—odrzuć to od siebie, bo jak skóra się oswoi, to gotowo ci przestać dolegać.

— Gorycz przez wuja mówi.

— Cóż robić? W każdym razie nie zapominaj o mnie. Powetujemy sobie przeszłość częstszem widywaniem się przez tę resztę dni, jaka nam na widywanie została. Zawsze ci rad będę.

Z tem się rozstali. Już się drzwi za Adamem zamknęły, kiedy je raz jeszcze otworzył gospodarz.

— A pamiętaj: *Cantabit vacuus, coram latrone viator.*

— A gdzież ten latro?

— Świat, życie... powietrze na nim.

— I od tej filozofii także zdechnąć można — pomruknął z bladym uśmiechem

Adam.—Nieszczęśliwy hipochondryk!—pomyślał, wydostawszy się na ulicę.

Z uczuciem niesmaku i niechęci nawet powracał do siebie Adam z tej pierwsze i, jak mniemał, ostatniej ekspedycyi między ludzi, z którymi chciał rozbierać sprawę restytucyi pozostałego po ojcu mienia.

Oczywistem było, że niema z kim i o czem mówić, że to jest wszystko najściślej osobiste, i że sprawa rozstrzygnąć się musi jego wolą—jego pomysłem i wykonaniem.

Wolę czuł w sobie—pomysłu przyznać musiał, że dotąd nie miał żadnego. Widział tylko, że los zrobił go tutaj stroną i sędzią zarazem, i że na ludzi nie było się co oglądać. Wreszcie tajemnica nie była jego tajemnicą; on chciał dla niej zapomnienia—chciał ją pogrzebać na zawsze, a tu właśnie trzeba było zacząć od wyniesienia na światło dzienne epizodu z przeszłości nieznanej, wedle niego krzywdzącej, i coraz dalej roztrząsać go, rozmazywać, a zawsze bez rezultatu i pożytku.

Nie! droga restytucyi stanowczo nie mogła być taką, jak myślał zrazu.

Jedynych dwóch możliwych konfidentów już poruszył, ale byli też to przyznać trzeba konfidenci bardzo szczególnego rodzaju. Jeden nad miarę pobłażliwy i tolerant, doradzający mu to, na co on żadną miarą zgodzić się nie mógł, drugi surowy i zgorzkniały, przytem niekrytyczny jakiś chwalca czasów minionych, posuwający nieufność aż do śmieszności, aż do zupełnej niewiary w samego siebie, w stałość własnych postanowień, we wszystko, co jest dokoła człowieka i w nim samym nawet.

Okropny jest istotnie ten starowina w swoim szczególnym zastygu przedśmiertnym!

Gdyby kto wedle tej metody chciał sobie życie urządzić, nie byłoby w tem życiu miejsca ani na samowiedzę, ani na godność i spokojną pewność siebie — pozostałaby natomiast jedna tylko jedyna chorobliwa jakaś trwożliwość sumienia i dziecinny prawdziwie lęk przed pokusami i zasadzkami, któremi ma niby świat oplątywać człowieka. Jednem słowem

niemoc jednostki zupełna w obec sił i prądów, które ją otaczają.

A jak on mu to doradzał jakieś tchórzliwe a śpieszne odrzucanie od siebie tego grosza, jak po dziecinnemu istotnie wszczepić się starał wszystkie możliwe zabobonne zapatrywania na naturę i skutki nieprawego nabytku! Nie! to znowu nie dla Adama było z pewnością—to są zabytki z epoki bronzu. Musiałby on bardzo słabą mieć ufność w trwałość przekonań swoich, gdyby podobnymi środkami zabezpieczać się miał przeciw własnej nędzy duchowej. Płochliwość jakaś tchórza, lękającego się usnąć obok nabitej broni!

Grosza, którym po dojrzałej rozwadze raz pogardził, nie dotknie nigdy, ale tak małym znowu się nie czuje, aby potrzebował ze strachu palić za sobą mosty. To byłoby jedno i to samo, co gardzić sobą i lękać się swojego cienia.

Chciałby teraz, aby ten starzec, którego zresztą lubił i cenił zawsze, aby ten starzec pożył jeszcze czas jakiś i zobaczył własnemi oczyma, jak on załatwi to wszystko, bo że załatwi, że mu

niedaleka nawet przyszłość nastręczy odpowiednią po temu sposobność, o tem nie wątpił w tej chwili Adam zupełnie.

* * *

Człowiek zachowujący sobie w życiu cokolwiek na swoją własność wyłączną, musi zostać w mniejszym lub większym stopniu jednostką wyłączną w stosunku do ogółu, w którym żyje. Adam miał coś podobnego, miał tę tajemnicę swoją, z którą się nosił, ale która go ani nadmiernie niepokoiła teraz, ani smuciła tak jak w początku, kiedy spadła nań w postaci gromu z czystego nieba. Jednakże trzeba się było rachować z tem zadaniem niedopełnionem—trzeba było żyć myślą o niem, a to musiało koniecznie oddziaływać. Było to, bądźcobądź, brzemię. Nie pognębiało, ale istniało i przypominało się często. Wywołuje stan rzeczy taki zawsze jakiś nastrój więcej kontemplacyjny, jakieś względne wycofanie się z wrzawy życiowej, a wraz z tem szukanie wrażeń łagodniejszych niż te, jakie dać może

i daje, naprzykład, życie młodzieży w wieku Adama Z. Z kolegami i znajomymi dawnymi komunikował też się on bardzo mało w tym czasie.

Stopniowo czas zmniejszał znacznie żal po zmarłym ojcu, a istota młodego człowieka zaczynała w tych warunkach coraz bardziej oglądać się za jakiemiś resursami, szukać jakiejś podpory, nadziei, czegokolwiek wreszcie, coby szarej dzisiejszej nici życia, którą świeżo począł, dodało treści czy uroku. Przychodziła mu teraz częściej pamięć o tej kobiecie młodej, do której tak niedawno jeszcze żywił tyle serdecznego przywiązania, która wchodziła już we wszystkie plany i widoki jego przyszłości. Czuł jej brak dokoła siebie, a w miarę, jak zabliźniały się tamte rany, ta jątrzyła się i dolegała coraz bardziej.

Jakaś brutalna a niewiadoma ręka porwała te węzły, skorzystała z jego żalu i niedoli całej, ktorą go przygniotły losy; rozdzielono ich szorstko a stanowczo, nie dopuściwszy do wyjaśnień nawet żadnych.

Zbyt dumnym był Adam, żeby się miał narzucać w takich warunkach, ale źle się stało—bardzo źle.

Dla niego z pewnością było to smutne niesłychanie, a dla niej...? No jużciż i dla niej chyba...

Ale kto to zrobił wszystko? Kto i w jakich widokach? Gdzie właściwie była przyczyna?

Może być, że i Adam winien był cokolwiek; tak się jakoś odsunął od niej w pierwszyh dniach swojego nieszczęścia.. ba! gdybyż to w pierwszych tylko! Wszakże to on zupełnie ją zaniedbał przez czas jakiś, tak dalece go pochłonęły niepodzielnie te jego przejścia szczególne.

Skorzystano z tego oczywiście i odesłano mu pierścionek z kilku słowami takiemi ciemnemi, a brzmiącemi tak jakoś stanowczo i nieodwołalnie, że i ktoś o mniejszym nawet stopniu miłości własnej niż on, do żywego byłby się musiał uczuć dotkniętym.

Ale i on był winien—niewątpliwie winien. Zapomniał o niej, okazał nieufność, dał do zrozumienia niejako, że jej nie potrzebuje... choćby nie wiedzieć jak przywiązaną była kobieta, takiego odsunięcia się od niej w chwilach ważnych

i decydujących nie przebaczy nigdy. Niewątpliwie obraził ją on. Ah! bo też zapanowało nad nim to wszystko, utonął w tem, zaprzepaścił się, no i zaprzepaścił oczywiście przyszłość swoją całą.

Powoli, powoli, bladły tamte troski, znikały, a ta myśl, ten żal za utraconą na zawsze pierwszą miłością wpijał mu się w duszę i przytłaczał ją boleśnie. Odżyło to uczucie, nietylko odżyło, ale i spotęgowało się przez to właśnie, że go wypadało stłumić, że strata tej kobiety wydawała się Adamowi taką stanowczą— taką niecofnioną.

A gdyby nawet i ona cierpiała tyle, co on, gdyby pierwsza wyciągnęła rękę do pojednania, czyż Adam mógł przyjąć ofiarę podobną? Nigdy! Nie połączył ich interes—to była rzecz pewna, ale przecież jego przyszłość podówczas, a jego widoki dzisiejsze, to nie były rzeczy, któreby ze sobą porównywać można.

Przed nim teraz praca tylko ciężka, zdobywanie bytu trudne, mozolne... I któż w taką drogę pociągać będzie za sobą kobietę, gdy wczoraj jeszcze zamierzając się połączyć z nią, dawał jej rękojmie

jeśli nie zbytkownej egzystencyi to przynajmniej dostatku niezaprzeczonego. Nie mówili oni ze sobą o tem nigdy, ale przecież bez wdawania się w szczegóły, wszystko to było jasne, wyraźne, niewątpliwe.

Takie były dla Adama pierwsze dotykalne następstwa jego postanowienia. Ku zaszczytowi młodego człowieka powiedzmy, że nietylko nie szukał on sromotnej drogi odwrotu, ale się nawet z żalem po za siebie nie oglądał. Dla niego tamto wszystko stało się—dokonało—spełniło.

„Hoc erat in fatis“ — powtarzał z rezygnacyą, ile razy niepokoiły go te myśli, a niepokoiły często—coraz częściej.

A jednak stało się z dwojgiem tych serc młodych tak, jak chce mieć przypowieść wschodnia.

Rozdzielili ich ludzie, unikali się wzajemnie, a przecież spotkali się znowu i zamienili za pierwszym razem słów kilka nieśmiałych, później krzyżowały się ich drogi coraz częściej, jeszcze później opowiadali znowu o nich ludzie, że są blizko bardzo ze sobą, a w niedalekiej przyszłości mają być jeszcze bliżej.

Jak się to stało, jakimi wpływami, jaką siłą, o tem nikt z blizkich Adamowi nigdy się nie dowiedział; zdaje się, że w domu pięknej narzeczonej Adama wiedziano więcej cokolwiek—może nawet wszystko, jeżeli prawdziwą jest wersya, którą ciocia i wychowawczyni panienki powtarzała z zastrzeżeniem dyskrecyi jednej z zaufanych przyjaciółek swoich. Ponieważ rozmowa, jaką w tej sprawie miały ze sobą mieć—ciocia i siostrzenica, jest jedynym promykiem, który nam te ciemności nieco oświetlić może, zmuszeni jesteśmy powtórzyć ją w całości:

* * *

— Gdybym nie wiedziała, Jadwiniu,— mówiła w miesiąc jakiś po odnowieniu stosunków między młodemi, ciocia,—gdybym nie wiedziała, że jesteś kobietą rozumną i trzeźwo zapatrującą się...

— Pozwól ciociu—dokończę... gdybyś nie wiedziała o tem wszystkiem, tobyś mi zrobiła małą scenkę za zbyt przedłużoną wczorajszą sielankę wieczorną

w towarzystwie kuzynka Adama. Wszak tak?

— Dziękuję ci—wyręczyłaś mnie.

— Oh bagatelka! Między nami nigdy nie może być zbytku uprzejmości.

— To nie jest odpowiedź, kochanie moje, jakkolwiek cieszy mnie twój ton, jako oznaka powrotu do zdrowia, ale nie o to idzie w tej chwili. Za wspólnem porozumieniem uchwaliłyśmy zerwanie zupełne z tym chłopcem. Jaki cel wznawiania dzisiaj tego, co nie może mieć następstw żadnych?

— Nie może, powiadasz ciociu?

— Ja myślę, że nie.

— A jeśli możliwem byłoby to, co ci się w tej chwili nie wydaje takiem?

— Gdyby na tem miało się skończyć, musiałabym odwołać wszystkie pochlebne określenia, jakie tylko co zastosowałam do ciebie.

— Wogóle nie dobrze jest odwoływać cokolwiek, a w tym wypadku byłoby to gorzej niż myślisz, cioteczko kochana.

— Nie mówmy zagadkami. Dlaczego próbujesz nawiązać to, z czego udało mi się wyplątać cię szczęśliwie?

— Dlatego, że to wyplątanie było zbyt pośpieszne i, po bliższem mojem rozpatrzeniu się w sytuacyi, okazało się ono krokiem chybionym, który z niemałym trudem i zachodem, i przy użyciu nadewszystko wielkiej dopiero strategii, udało mi się naprawić. Tak jest, ciociu, nie rób, proszę cię, takich wielkich zdziwionych oczu. Pomyliłaś się—to fakt!

— Mówmy rozsądnie, a przedewszystkiem mówmy porządkiem. Więc Adam?

— A więc Adam jest od wczoraj moim narzeczonym, jakim był, zanim ci się, ciotuniu, udało tak szczęśliwie rozłączyć nas, czy rozplątać—jak wolisz...

— Mistyfikacya!

— Ależ nie. Nie potrzebujesz przytem, ciotuniu, tak troskliwie śledzić zniknięcia z ręki mojej pierścionka, bo przecież po raz drugi tego samego nie byłabym użyła nigdy. Zbyt łatwo było ci dokonać rozplątania przy tym talizmanie, którego siła, jak się pokazało była niedostateczną. Zresztą, jeśli idzie o prawdę, obeszliśmy się tym razem bez emblematów. Uroczystość nastroju nie dopuściła

nam obojgu przypomnieć sobie o tym drobiazgu...

— Oczywiście! Byliście tak wzruszeni! Takie odnalezienia się po tygodniach całych rozłąki muszą usposabiać zupełnie wyjątkowo. Wystawiam sobie to doskonale; i dlatego nie złorzeczę wcale losowi, że mi tej sielanki własnemi oczami oglądać nie dozwolił. A ponieważ nie widziałam prologu, wolno mi zapewne będzie nie widzieć żadnego z pięciu aktów, które po nim nastąpią.

— Myślisz, ciotuniu, że będzie ich aż pięć?

— Dramaty mają zazwyczaj tyle.

— Ach! Więc to będzie dramat!

— Prawdziwy dramat, jeśli ci nie po myśli używać nazwy tragedya.

— Przerażona jestem doprawdy przepowiednią. A więc śmierć tragiczna poprzedzona morderstwem, czy też...

— Nic chyba w tym rodzaju. Ot takie sobie prawdopodobnie jakieś pięć albo sześć tygodni szału niezdrowego, potem oswajanie się z koniecznościami życiowemi, których do rzędu pomyślnych zaliczyć będzie nie sposób, a potem

jeszcze: najcodzienniejszy, najpowszedniejszy brak czy niedostatek... Co tu wreszcie mówić? tu rzecz mówi za siebie sama (po chwili). I kiedy się robi to wszystko? Po naszych wspólnych naradach nad położeniem, które oceniłyśmy jednako zupełnie—po wnioskach wyprowadzonych za zgodą wspólną, i po wystąpieniu mojem czynnem do Adama, za twojem zezwoleniem, którego w tej chwili nawet, o ile przypuszczam, wypierać się zapewne jeszcze nie zechcesz.

Doprawdy to można oszaleć!

(*Milczenie dłuższe, podczas którego ciocia nie przestaje chodzić miarowym, tragicznym krokiem, a siostrzenica nie przestaje się w nią wpatrywać ze spokojnym półuśmiechem, nie pozbawionym pewnej przymieszki szyderstwa czy wyższości. Wreszcie ciocia zatrzymuje się, zapytując z uniesieniem:*)

— I cóż dalej?

— Dalej nic! pozwalam unosić się fali (*śpiewa*) „Vogue ma nacelle!“

(*Ciocia znika za drzwiami, zamykając je za sobą z akcentem, wyrażającym zupeł-*

ny brak spokoju ducha. Po chwili wychodzi za nią siostrzenica, a wkrótce ukazują się z powrotem obie. Ciocia pozwala się prowadzić i posadzić na fotelu. Twarz podstarzałej damy wyraża zdumienie i zapytanie.)

— Otóż chyba mam już mój rewanż! A ponieważ udało mi się bezkarnie użyć jednego cudzoziemskiego wyrazu pod nieobecność mojego narzeczonego, który jest zawsze stróżem językowej czystości, przeto korzystam z tej przedślubnej swobody, i oznajmiam ci, moja dobra ciotuniu, że *menażowałam ci pewną siurpryzę* i dlatego chciałam cię pomęczyć cokolwiek. Wreszcie zasłużyłaś na to.

— Wyborne są dzisiaj twoje niespodzianki. Czy to będzie jeszcze jedna z takich?

— To będzie tylko dalszy ciąg poprzedniej. Posłuchajże mnie, ciotuniu, bądź cierpliwą, nie przerywaj nadewszystko, bo narracya straci na efekcie (ze wszystkiem okaleczę dzisiaj ten drogi, ojczysty język). Otóż tak mają się rzeczy:

Gdybyś ty miała, ciotuniu, pamięć dobrą, i przypomniała sobie, jakim dreszczem zgrozy przejmował mię w swoim czasie uwielbiany przez ciebie „le roman d'un jeune homme pauvre“, nie byłabyś dzisiaj naraziła się na tyle nieprzyjemności, nie pozwalając mi przyjść do słowa, i budząc przez to we mnie niepoczciwą chęć zemsty za wszystkie niebaczne posądzenia, któremi podobało ci się w porywczości twojej obrzucić mnie, nieszczęśliwą opuszczoną Aryadnę. Tak jest! nienawidziłam tego romansu, bo mam wstręt do wszelkich takich i pokrewnych im sytuacyj w życiu, i nie ma żadnych renumeracyj, któreby mi o tych wstrętach zapomnieć pozwoliły. Dlaczego ty, ciotuniu, posądziłaś mnie o coś podobnego—zkąd przyszło ci podejrzewać we mnie żyłkę sentymentalizmu, której niema, nie było i nie będzie? Nie wiem—nie rozumiem—nie domyślam się, ale ponieważ jest mój dobry dzień dzisiaj, przeto po monarszemu skłonną jestem do przebaczeń, i tobie, ciociu, przebaczam, ale pod warunkiem...

— Niechże ci Bóg nagrodzi, dziecko drogie! Śmiertelnie mnie nastraszyłaś.

— Ale pod warunkiem, że mi dalej przerywać nie będziesz.

Jestem tedy powtórnie narzeczoną mego pięknego kuzynka...

— Zawsze powracasz do tej niedorzeczności. Myślałam przecież, że to były żarty...

— Nie skończymy nigdy w ten sposób. Nie były żarty żadne i nie będzie można na przyszłość traktować tej sprawy żartobliwie, bo ja mam zamiar przed upływem pół roku zostać żoną tego człowieka, którego skazałyśmy niedawno niebacznie na celibat doczesny za jego mniemane ubóstwo. Że zaś okazuje się, iż nietylko wydałyśmy wyrok nieuzasadniony, ale nadto, że podsądny posiadał kwalifikacye o wiele wyższe, niż mniemałyśmy wówczas, kiedy on miał sobie przyrzeczone szczęście zostania w przyszłości moim mężem, przeto nie pozostało nic, jak sprostować pomyłkę, czyli — pozbawionemu praw zrobić nadzieję odzyskania wszelkich nietylko praw, ale i przywilejów—

jeśli mi wolno posłużyć się tutaj stylem urzędowym,

— Niepodobieństwo! Brednie! Naiwna jesteś, dziecko moje, a on przebieglejszy, niż myślałam. Poprostu wyprowadził cię w pole. Ah! biedne wy dzieci jesteście z całą zarozumiałością waszą. I to na tej postawie odbudowywasz twoją sielankę? A wiesz ty, że można zapłakać nad tobą! Wyborna! Nieoceniona!

— Oszczędzaj sobie ciociu wzruszeń, bo jeszcze daleko do końca. Za dużo będziesz miała emocyj, zanim się dowiesz wszystkiego. Tymczasem prowadzę moją rzecz dalej.

Otóż po amnestyi, jaką musiałam udzielić biednemu chłopcu, którego stan majątkowy przeszedł wszelkie oczekiwania moje...

— Dobrze! Uwierzę, jak zobaczę na własne oczy.

— Ja musiałam uwierzyć, bo widziałam—z zastrzeżeniem wszakże, że ten amnestyonowany kuzynek nie jest zdecydowanym fałszerzem dokumentów, że nie podrabia dowodów wydawanych przez banki zagraniczne, a jeśliby tak było, to

musiałby on ten proceder prowadzić od jakiegoś już czasu, bo wszystko tam wydaje się jasne, oczywiste i posiada wszelkie cechy autentyczności.

— Widziałaś? Miałaś w ręku? Mówże.

— Widziałam—miałam w ręku.

— A suma?

— Pamiętasz zapewne ciociu cyfrę majątku, o jaką posądzałaś wujaszka Józefa w czasach, gdy założyłaś sobie uszczęśliwić jego syna moją osobą?

— Pamiętam.

— Otóż myliłaś się. Ten wujaszek poczciwy był więcej, niż dwa razy, tak bogatym, jak mniemałaś.

— I to wszystko prawda? to wszystko nie żarty żadne?

— Skończmyż z temi wątpliwościami. To zaczyna być jednostajne nareszcie.

(*Ponowna pielgrzymka cioci po pokoju, wzruszonej tym razem w najwyższym stopniu. Od czasu do czasu gesta i wykrzykniki. Nagle ciocia zatrzymuje się*).

— Ale w takim razie zkąd ta mistyfikacya cała—zkąd to ubóstwo pozorne? Nic nie rozumiem.

— A nareszcie!

— No, słucham! Boć przecie bez ważnych powodów nikt nie przebiera się się za żebraka. Co to jest?

— Co to jest? To jest sobie fragmencik z tysiąca i jednej nocy, zmodernizowany cokolwiek. Widzisz, ciotuniu, żeby to opowiedzieć zwięźle a dostępnie, rzeczy miały się tak. Wujaszek Józef nie urodził się, jak wiesz, milionerem; pracował nawet długo podobno, tak jak pracuje tysiące murzynów tutejszych, ale że mu to widać dolegało, więc wyczekiwał sposobności, którąby w jednej godzinie dała mu więcej, niż lata całe jego murzyńskiej pracy. Czekał, czekał i doczekał się, a że ten wujaszek wyprzedził nawet do pewnego stopnia swoją epokę, więc powetował sobie tryumfalnie lata swojej niedoli, no... i w jednej godzinie został bogatym.

— Bój się Boga! Szkaradzieństwo jakie może?

— Nn...o! Szkaradzieństwo... to nie jest wyraz właściwy.

— Brudzik jakiś maleńki?

— I to nie, bo wreszcie ani brudzik, ani maleńkie to nie było wcale, jak widzisz z cyfr.

— No, ależ przecie kryminałem nie trąci sprawa w żadnym razie?

— Kryminałem? Broń Boże!

— Jakże to nazwać?

— Ludzie nazywają to dzisiaj zręcznością. Zresztą, o co ci chodzi?—wszak nie słyszałaś, aby ktokolwiek za życia, czy po śmierci szarpał dobrą sławę tego człowieka?

— Ach nie! Owszem!

— A więc wszystko w porządku.

— No, ale jakiś znaczek zapytania jest jeszcze tutaj? Jednem słowem: Adam jest bogatym, czy nie jest? Robisz jakiś grymas dziwny. Jest czy nie jest?

— To zależy.

— Nie wiem co chcesz przez to powiedzieć.

— Kwestya, czy on jest bogatym lub nie, zależy od tego, jak się na to zapatrywać mogą najpierw ludzie, potem on sam, no i ja wreszcie, bo przyznać trzeba, że jestem i ja w tym rachunku

cyferką maleńką, a przynajmniej mam szczerą ochotę zostać tą cyfrą w przyszłości. Otóż dla świata jest Adam ubogim, ale to drobiazg—ważniejszem o wiele jest to, że za ubogiego uważa się on sam...

— Tak, to daleko ważniejsze. Znaczy to, że twój sentymentalny narzeczony różnił się i różni dotąd z papą swoim w poglądach na moralność tego nabytku.

— Wybornie zaczynasz odgadywać ciociu.

— Że postanawia zrezygnować ze spadku i poślubić ubóstwo dobrowolne, a do udziału w tem szczęściu zaprasza ciebie, co mu się bardzo chwali, jako pomysł.

— Coraz lepiej!

— A ty? Bo widzę, że zaczyna coś cała sprawa schodzić napowrót na tory pierwotnej niedorzeczności. Cóż ty?

— Ja? Otóż tu zaczyna się moja rola właściwa, moja jak ją nazwałam wielka strategia, i mój tryumf niezaprzeczony. Ach, ciotuniu, co to było za arcydzieło w swoim rodzaju ten mój debiut

wczorajszy! Nietylko przeszłam samą siebie, ale przeszłam zwyczajną miarę, dostępną dla kobiety w takiej okoliczności. Chwilami lęk mię brał jakiś na myśl, że przesadzam dozę, że on to zrozumie, że się pozna na tych sidłach, które doprawdy każdemu chyba wydałyby się zbyt widoczne, ale co tu chcieć od takiego biedaka opanowanego przez myśl wyłączną, notabene przez myśl, która mu się wydała wielką. Połykał wyraz za wyrazem, chwytał, upajał się...

Łatwo to recytować rolę wyuczoną, wystudyowaną, przekrytykowaną, ale niechno sytuacya zastanie kogo tak nieprzygotowanym, jak nieprzygotowaną byłam ja, i niech taki czy taka znajdzie się w konieczności zaimprowizowania planu postępowania w jednej chwili i wykonania go na miejscu. Ale jakiego wykonania! Ristori, Sara Bernhardt, Modrzejewska! — coby powiedziały te biedaczki, gdyby miały były szczęście podziwiać mnie wczoraj?

— Tak mu w jednej chwili wyperswadowałaś wszystko?

— Oh! ciociu. Zaczynałaś już pojmować i odgadywać nieźle, a teraz utykasz tak sromotnie. Perswazya—jemu? W takim stanie umysłu? Jak tylko przekonałam się, że chęć pozbycia się tego spadku jest jego ćwieczkiem stałym—jak mi opowiedział przeszkody, które mu nie dopuściły tego dotąd wykonać, pomyślałam zaraz, że ktoby na tego człowieka uzyskał wpływ, a miał przed sobą czas, ten mógłby sobie powiedzieć śmiało, że majątek należy do niego. No, i postarałam się o ten wpływ i zdobyłam go w jednej chwili. On, widzisz ciociu, miał zamiary, ale nie umiał ich dotąd wcielić sobie w formę żadną—jemu brak było inwencyi, idei. Ja to wszystko znalazłam na poczekaniu, i nietylko, że aprobowałam jego postanowienia, ale nadawałam im kształty, entuzyazmowałam się sama, prześcigałam go w szaleństwie. No! żeby to ocenić, potrzeba było widzieć koniecznie.

— No, no? a on?

— Cóż taki biedak! klękał, całował nogi, prosił żebym mu była aniołem stróżem, natchnieniem. Aż się żal robiło chłopczyny chwilami, ale jak pomyślałam,

że z tą swoją szlachetną łatwowiernością mógłby wpaść w ręce jakie niegodziwe, darowywałam sobie doprawdy komedyę całą.

— I odszedł pewny, że cię pozyskał dla swojej myśli?

— Odszedł szczęśliwy.

— No... dobrze, ale co się tego szczęścia tyczy... jakże jest z tobą?—powiedz ty mi na seryo.

— Na seryo jest ze mną tak: Wolę Adama, niż kogokolwiekbądź innego—wolę go z tym ćwieczkiem, jak bez tego ćwieczka—wolę go i nie dam go sobie zabrać, bo jest inny, niż reszta—nie taki przeciętny, jak reszta, nie taki wyssany i wystudzony—wolę go, bo więcej w nim człowieczeństwa niż u tamtych, i takiego pragnę mieć choćby na czas jakiś, choćby na krótko, a co tam z nim zrobi los, okoliczności, konieczność, jednem słowem, życie samo, o tem nie chcę w tej chwili myśleć. Chcę mieć moją wiosnę i ja także, i będę ją miała.

— A potem?

— Potem przyjdzie kolej na co innego zapewne; wreszcie będę i ja tam na

tej radzie. Spokojna jestem o to, co będzie po tem. Nie zapominajmy, że mówiąc między nami, starsza jestem od mego przyszłego o dwa lata blizko.

— Bardzo to piękna jest ta twoja pewność siebie, ale powiedz że mi, gdyby też ten twój niewolnik dziesiejszy, a w gruncie ideolog i entuzyasta szczery, bo widzę sama, że tak go nazwać trzeba— gdyby też on zbuntował ci się, i to w chwili, kiedy ci to najmniej będzie na rękę? Bo to widzisz o wszystkiem należy pomyśleć. Jednem słowem biorę ewentualność taką: jego ćwieczek okazuje się niespodzianie silniejszym od twojej no... dajmy na to—twojej przebiegłości. Cóż będzie wtedy?

— Eh! ciotuniu moja, co tam będziemy o tem mówić. To są alarmy niepotrzebne. Szaleństwa snute teoretycznie szkodliwemi nigdy jeszcze nie były. Chcąc swoją mrzonkę wcielić w życie, trzeba sobie znaleźć wspólników. Otóż niech sobie Adam szuka wspólników do tego cudactwa, która ja jemu zaproponowałam, niechaj nawet zapali Dyogenesowską świeczkę wśród dnia białego i probuje

znaleźć choćby drugiego tylko takiego waryata, jakim jest sam. A toż ja ich znam przecie wszystkich. Cherlactwo bogate w słowa tylko!

— Powiadasz, dziecko kochane, że nie znajdzie?

— Muszę ja być dobrze pewną, że nie znajdzie, skoro w zastaw oddaję siebie.

(*Dużo uścisków i innych dowodów wzruszenia ze strony cioci*).

* * *

Wszyscy, którzy znali później tych dwoje, kiedy połączeni już, szli razem przez życie, uważali ich za najszczęśliwsze stadło, jakie znaleźć można na tym padole płaczu. Byli w początkach młodzi i szczęśliwi, zapatrzeni w siebie, później znano ich jako ludzi możnych, przyjmujących i udzielających się towarzystwu, i co za tem idzie—używających wziętości i szanowanych.

Pewien tylko pessymista—jeden z tych, których nikt nie słucha, a wszyscy się lękają potrochu, wyrażał się o nich, że pani

wielce umiejętnie chowa się po za osobę męża wtedy właśnie, gdy wszystko dzieje się najbardziej wedle jej myśli, a pan ma minę człowieka, który niegdyś—bardzo już dawno, coś zgubił, a teraz ciągle się za tą zgubą ogląda.

Ha! jużciż przyznać trzeba, że zgubił istotnie.

LEGENDA.

Było to bardzo, bardzo dawno.

Były wtedy i puszcze niezmierne, a w nich bestye apokaliptyczne, i wieszczki opiekuńcze i pustelnicy-czarodzieje, od których jedni dowiadywali się tajemnicy przeznaczeń swoich, a inni zasięgali ich rady, albo prosili o pomoc.

A nieżądali w zamian nic mędrcy takowi, krom wiary i posłuszeństwa—otrzymywał każdy, czego potrzebował.

Do chaty takiego pustelnika, o jakim mówimy, zakołatał ktoś późną nocą; otworzono mu, bo ten pustelnik-czarodziej nikomu wstępu niebronił, ani pomocy odmawiał.

— Czego żądasz, dobry człowiecze? Wody życia, ziół cudownych, czy powrotu młodości?

— Nic z tego wszystkiego, mędrcze! Oto stary jestem, i dogasa we mnie ogień życia; wiem o tem i ani chcę przedłużać istnienia, ani broń Boże, wstecz się cofać, bo po za sobą widzę ciemność wielką, a przedemną majestat spokoju. Niedostąpić mi go jednak przed zgonem, bo patrzę na trzech synów moich, dorodnych, jak dęby tej puszczy, którym brak tylko dźwigni do ręki, a świat z posad poruszyłby każdy. Umieram ubogi, tej dźwigni dać im niemogę, i smutno mi jest, a przeto i w grobie odpoczynku nieznajdę, a duch moj ciszy po nad wszystko spragniony. Daj mi radę, mędrcze!

— A czego ty chcesz dla dzieci twoich?

— Ja niewiem.. szczęścia chyba...

— Niemało żądasz, ale mniejsza z tem. Trzeba mi tylko powiedzieć, jakie ma być to szczęście.

— Niezaznałem go sam, to i niewiem, jakiem ono bywa, a choćbym i wiedział, to bym wybrać nie umiał, bo to co jabym rad posiąść mogłoby niebyć po ich myśli.

— A potrafiąż wybrać oni?

— Może i nie potrafią, ale niech mają, czego pragną.

— Mądrze mówisz starcze. Idź w pokoju, a jak będziesz czuł, że godzina twoja nadchodzi, powiedz synom swoim, żeby przyszli do mnie, a otrzyma każdy, co zechce. Niechże to mają, jako pamiątkę po tobie, i niech tobie a nie mnie dziękują za to, bo zaprawdę, wielu już odemnie żądało, a otrzymawszy, z podzięką niepowrócił żaden. A wiem, że osiągnął każdy, co chciał, chyba tedy niebyło zadowolonych między nimi. Niechże mi ani dziękują, ani złorzeczą.

Stało się, jak przykazał pustelnik-mędrzec.

Po paru dniach poczuł starzec, że godzina jego nadchodzi, a przywoławszy synów do łoża, tak do nich przemówił:

— Ulitował się Pan Bóg niedoli mojej i zaprowadził mię do człowieka mądrego. Dzięki jemu umieram spokojny, bo on obiecał mi szczęście dla każdego z was. Ale uważajcie dobrze czego żądać macie, bo on darów swoich dwa razy nieudziela, przeto namyśl się każdy, zanim pragnienie swoje wypowiesz, bo to los na całe

życie wybierać będziesz wtedy. Znajdziecie tego człowieka łatwo, idąc na wschód ciągle, a jak mnie pogrzebiecie i puścicie się w drogę niezwłocznie, to o świcie ujrzą oczy wasze jego schronienie na skraju puszczy dębowej, kędy się schodzą dwie drogi i przerzynają dwie ścieżyny. Idźcież w imie Boże!

Pobłogosławił ich i umarł.

* * *

Synowie dosłownie wykonali, co im ojciec polecił. Udali się drogą na wschód i równo z ukazaniem się gwiazdy dziennej ujrzeli chatę, a przed chatą mędrca-czarodzieja.

— Jesteście synami tego, co umarł wczoraj?

— Tak jest.

— I przychodzicie każdy po swoją dolę?

— Tak nam powiedział ojciec.

— Dobrze! Niechaj idzie za mną ten, który jest najstarszy.

I weszli do chaty, a pustelnika otoczył niebawem obłok przejrzysty, i słychać

było jak wymawiał tajemnicze słowa w mowie niezrozumiałej, a potem czynił zaklęcia, a jeszcze potem ujrzał młodzian pierwszy, jak dobył z pod nakrycia mchowego cztery szkatułki jednakie kształtem, których wieka, jak skoro nad niemi znak nakreślił, same się otwarły.

We wszystkich dostrzegł młodzian pierścienie żelazne z tajemniczymi napisy, a zaraz potem usłyszał głos starca-czarodzieja:

— Oto widzisz cztery skarbnice, z których każda drogę do szczęścia otworzyć przed tobą może; mów czego pożądasz?

— Mądrości!

— A więc myśli, A wiesz-że ty czego pragniesz? To krynica, z której nikt, ze śmiertelnych dotąd pragnienia nie zaspokoił. Szczęścia nie zaznasz, spokoju nie zakosztujesz, chwały za życia możesz nie zdobyć, bo myśli twoje, by też największe, mogą spółczesnym do miary nieprzypaść, a ty zejdziesz w takim razie ze świata niepoznany od swoich, a kiedyś, kiedyś dopiero, gdy ciebie już tu nie będzie, rozchwytywać będą tacy, których nieznasz

okruchy myśli twojej i dzielić się nią i uwielbiać ciebie, a pomniki tobie stawiać. Ale twoje oczy mogą tego wszystkiego nie ujrzeć wcale. Wszystko zależne od tego, jaką dolę tobie Bóg wydzielił; ja rozdzielam jego dary, a ty wybieraj. Może być, że trafisz, może być, że się zawiedziesz.

— Chcę mądrości.

— Masz, czego żądałeś, a niezłorzecz mi w żadnym razie, bom ci kolei twoich nie taił. Idź; zdobywaj i zasiewaj myśli, a przyślij mi twego brata, tego, który po tobie najstarszy w rodzie.

I wszedł młodzian o oku ognistem a wyniosłem czole, wszedł śmiało a znać było po nim, że wie z czem przychodzi, bo się z odpowiedzią na zapytanie starca ani chwili nieociągał.

— Czego pożądasz?

— Czynu!

— Wielkich rzeczy pragniesz, a siłyż twoje potemu?

— Chcę zdobyć albo umrzeć!

— Podobnyś ty na to. Oto masz, ku czemu się duch twój wyrywa. a bacz na

znaki ostrzegające po drodze twojej, bo nie każda siła jest z woli Bożej, choć się jej rozwijać i wzrastać dozwolono; bacz także, żebyś miary nie przebrał, bo się o pychę własną roztrącić możesz, a wtedy ci, co przed tobą wczoraj czołem bili. gardzić tobą będą i znęcać się jako nad rzeczą nikczemną, bo najwięcej zawistnych ma potęga tego świata, i najwięcej się rąk po nią wyciąga. A pamiętaj, żem cię ostrzegał, bo wyżyny, na które się pną ludzie czynu, zdradzieckie są i zawrotne, i łacno dla nich zapomnieć o wszystkiem, co człowieka jest. Masz także i to wiedzieć, że może przez życie kroku nie uczynisz, i wszystkie liche a nikczemne widzieć będziesz przed sobą i po nad sobą.

Idź w pokoju, choć tego pokoju nie zaznać chyba tobie. Chciałeś.

A gdy wszedł młodzian trzeci, zauważył pustelnik. jaki on od tamtych odmienny był całkowicie. Śmiały mu się oczy do życia, a z postaci całej wdzięk niezmierny uderzał, ale kto, jak ów starzec patrzeć umiał, widział odrazu, że jest on

jako one naczynia piękne, i nęcące wzrok, puste jednak wewnątrz i próżne ducha— takie właśnie, za któremi wielu upędzać się zwykło.

— Czego ty pragniesz, dziecko? — zapytał starzec z odcieniem litości w głosie.

— Nie wiem.. chciałbym szczęścia...

— Różne są jego rodzaje; jest takie, co się nosi w sobie, jest takie, co przychodzi od ludzi.

— Ja nie wiem...

— Nie wiesz? Poczekajże—ja tobie powiem. Najprzód powinienem cię uprzedzić, że ja darów ziemskich samych nie rozdzielam; ja tylko daje siłę, co do ich uzyskania prowadzi. Mogę ci dać taki talizman, z którym bogaty czy ubogi, potężny czy w pustelniczej chacie, czuć się będziesz szczęśliwy. Chcesz?

Milczenie. Najwyraźniej nie było to, o czem myślał najmłodszy.

— Dobrze. To widzę nie dla ciebie. A chciałbyś sławy?

— Chciałbym sławy, ale...

— Ale nie chciałbyś na nią długo czekać? — dopowiedział czarodziej, który

od tego przecież był czarodziejem, żeby w myślach ludzkich czytał, jak w otwartej księdze, a musiało to tak być w rzeczy samej, bo na zapytynie odebrał odpowiedź potakującą; mówił też dalej:

— Chcesz, właściwie mówiąc, nie sławy, a poklasku ludzkiego; niemasz ochoty na tę sławę długo pracować, bo powiadasz sobie: Co mi po wieńcu na białe włosy? Ty pragniesz zakosztować życia, odurzyć się kadzidłem, a nieuznoić czoła.

Wstyd było młodzieńcowi potwierdzić wyraźnie, ale po uśmiechu bladym i trwożnym poznał starzec, że odgadł dobrze.

— Niechętnie ja rozdzielam takie dary, bo to nasiona potęg ujemnych, ale moc Boża wszystkiego do wiadomych sobie celów potrzebuje i używa; skoro jednak chcesz, weźmij oto z tej szkatuły pierścień, ale iżem jest człowiek stary, a moc moja od szatana nie jest, przeto ostrzegam cię: porzuć go lepiej.

— A czy będę szczęśliwym?

— I za to poręczyć nie mogę, bo nie wiem, na jaką chwilę trafisz z darem twoim. Dałem tobie to, co tłum lubi najbardziej, na co się chwyta najłatwiej, a jaką dolę będzie miał świat za dni swoich, odpowiednie będą i losy twoje. Idź w pokoju a staraj się robić złego, jak będziesz mógł najmniej.

Poczem wyszedł razem z młodzieńcem i zastał przed chatą tamtych obydwóch; ciekawi byli wyboru, jaki zrobił najmłodszy, a przytem chcieli raz jeszcze podziękować i jakie słowo od mędrca usłyszeć, więc zapytał najstarszy:

— Powiedzcie ojcze, który z nas wybrał najlepiej?

— Dola ludzka zakryta i nieprzenikniona. Postawiłem przed wami cztery szkatułki, a każda z nich mieściła talizman inny. Z pierwszej, w której były żądze umiarkowane, niezaczerpnął żaden— ten oto wziął dar wielkich myśli, ten wielkich czynów, a ten wasz najmłodszy wybrał sobie wielkie słowa; niemi chce się dobić szczęścia i sławy. Odradzałem mu—niech sam powie. Idźcież w po-

koju, a jak dwudziesta trawa na mogile rodzica waszego porośnie, w sam dzień jego śmierci stawcie się do mnie.

* * *

Trzej bracia poszli w świat, a stary pustelnik powrócił do rozmyślań swoich, i dwadzieścia lat onych zeszło mu, jako dzień jeden, bo to był człowiek, co żył siłą potęg tajemnych, jemu tylko i niewielu wybranym wiadomych.

Kiedy się w onę dwudziestą rocznicę o wschodzie słońca przed chatą swoją rozglądał, ujrzał, jak każdą z dwóch ścieżyn od prawej i lewej strony, kroczyli dwaj jacyś podróżni, a środkiem szerokiego gościńca jechała pozłocista karoca, a dokoła niej tłum dworzan, giermków i służby wszelakiej.

Kiedy już wszyscy, i owi dwaj piesi wędrowce, i ten możny pan z kolasy, stanęli przed pustelnikiem, rzekł on do nich:

— Niepoznaję twarzy żadnego z was, bo was lata zmieniły, ale że mi losy

świata całego wogóle obcymi nie są, przeto powiem wam, który jest najstarszym, który średnim, a który najmłodszym z rodu, bo oto na twarzach waszych przynosicie mi świadectwa doli waszej.

Ty oto musisz być najstarszym, bo ci myśl poorała czoło i blask oczu przyćmiła, a przychodzisz do mnie z kijem żebraczym w ręku na świadectwo, że wielkie myśli na tę chwilę zbyteczne były światu. Bądź spokojny—nieśmiertelność dla ciebie po za grobem i tu między ludźmi, którzy po nas przyjdą.

Twoja twarz męczennika i nędza, gorycz, a zniechęcenie w oczach okazują, że zarówno jak odrzucano wielkie myśli, odwracano się i od wielkich czynów. Nieprzepadną jednak chęci i pragnienia twoje, bo nieprzepada nic w stworzeniu, a każdy zawód, każda gorycz i każdy ból bezsilności twojej, w czasie policzonym ci będzie.

Tobie jednemu odradzałem, a ty trafiłeś najlepiej, boś przyszedł na świat w takiej godzinie, gdzie płaciły wielkie słowa, a choć jesteś dziś, jak on robotnik biblijny, który już całą zapłatę swoją

odebrał, osiągnąłeś tani poklask, potęgę i szczęście.

Dobrze odgadł starzec czarodziej, bo istotnie była to taka epoka, gdzie na świecie po nad wszystko ceniono wielkie słowa.

Biblioteka U.M.C.S.

SPIS RZECZY.

Premiówka 5
Pod strzechę. 157
Jeden z tych, o których nikt nie wie. . 177
Zadosyćuczynienie. 197
Legenda 303

6.00

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11877 2

1000171566